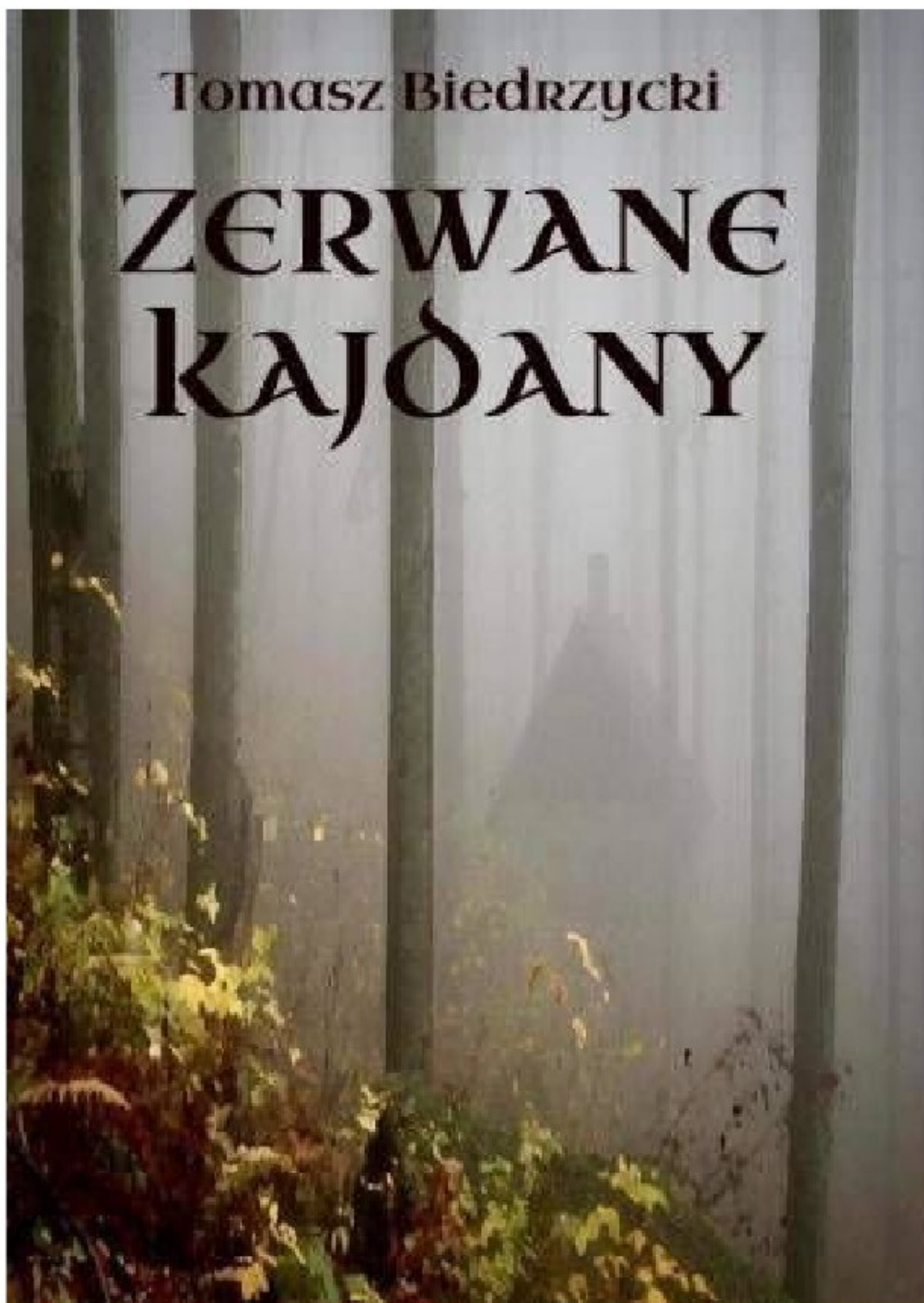


Tomasz Biedrzycki

# ZERWANE KAJÓANY



**Tomasz Biedrzycki**

# **ZERWANE KAJDANY**

## Spis treści

BUNT

CESARZ

KSIĘŻNA

BITWA

LURTON

UDERZENIE WOJOWNIKA

BOHATEROWIE

NEKROMANTA

KRÓL I KSIĄŻĘ

UCIECZKA

## BUNT

Mury rozległej twierdzy ozłocił jeden z ostatnich blasków zachodzącego ognia. Długie cienie kładły się na niemal pustych blankach i tylko gdzieś tam widniała samotna sylwetka strażnika. W ogromnym oknie sali rycerskiej pojawiła się postawna sylwetka dziedzica, był to krępy brunet o krótko przyciętej brodzie i kruczoczarnych włosach. Jego błękitne, zimne oczy omiotły najbliższe mury. Mimo zewnętrznego spokoju, wrzał w nim gniew. Odwrócił wzrok by spojrzeć na ciemne wnętrze sali gdzie prócz długiego stołu i osiemnastu krzeseł, wśród kamiennych murów była już tylko ciemność. Wszystkie łuczywa zostały wygaszone przez służbę.

„Do czego to doszło...” pomyślał z przekąsem. Władca królestwa Barthii, najsilniejszego królestwa Wschodu, przyjmował rzemieślnika po ciemku, cichcem niczym lichwiarz, co to niejedno ma za skórą. Władca zamku pokręcił przecząco głową, jakby zaprzeczał swoim własnym myślom. Spoczął na krześle u szczytu stołu. Z daleka dał się słyszeć miarowy chód okutych butów. Cicho skrzypnęły drzwi i stanął w nich szeroki, krępy człowiek. Jego twarz przedstawiała szczególny widok. Rozległe oparzenia szpeciły całą lewą stronę. Skłonił się nisko.

- Panie, wzywałeś mnie – drzwi za mężczyzną zamknęły się z cichym skrzypnięciem. Dziedzic skinął głową wskazując krzesło tuż obok siebie.

- Aine, cieszę się, widząc cię całym – przyjrzał się uważniej bliznom w zapadającym mroku.

- Wielkie nieba – mruknął.

- Miałeś wiele szczęścia. – Pokręcił głową ze zdumieniem. W nienickim blasku wydawało się, że blizny żyją własnym życiem. Książę przez moment wpatrywał się w nie zafascynowany.

- W rzeczy samej – przybysz stanął przy stole i położył nań szeroką, skórzaną torbę. Trzy wyryte znaki cechowe zabłysły na moment w ostatnich promieniach słońca i sala rycerska zamku Ravalion utonęła w mroku. Zapanowała głucha cisza potęgowana przez ciemność, po czym dobiegł z niej głos rzemieślnika.

- Panie, czy to nie nazbyt ryzykowne, kazać mi przynosić tutaj tę broń? – W głosie rusznikarza zabrzmiał niepokój.

- Jakem Bridhard, dawno nie słyszałem bardziej przedniego żartu – rozbrzmiał rozweselony głos dziedzica.

- Aine, władca ognia, obawia się przychodzić do zamku – rozległ się stukot krzesiwa i zabłysł kaganek. Księżę postawił go pośrodku szerokiego stołu. Słaby płomień wyłowił z mroku błyszczące oczy rzemieślnika.

- Tu nie rozchodzi się o mnie – Aine pokręcił głową, odkładając torbę.

- Ty panie jesteś dla nas jedyną nadzieją. Elfi namiestnik tylko czeka by powieść was w kajdanach do serca Cesarstwa. A króćca to dobry powód. Bardzo dobry – mówiąc to, Aine otworzył skórzany kolet. W zniszczonych dłoniach rzemieślnika pojawił się pistolet. Blask ognia odbijał się w sześciograniastej lufie. Ręka Bridharda, przesuwająca się wzdłuż pistoletu zdrząła. Oto po kilku miesiącach starań mieli wreszcie broń, która mogła przechylić szalę na korzyść królestwa Barthii, dla chwały wszystkich uciemżonych ludzi. Broń zakazana, za którą karano na gardle i jednocześnie efekt geniuszu uciśnionego ludu.

- Pięknie się spisałeś. – Aine skłonił się nisko z uśmiechem, który wykrzywił zmasakrowaną twarz. Przypominał teraz kamiennego gargulca, które zwieńczały mury twierdzy. Nie zwracając nań dalszej uwagi, dziedzie uważnie obejrzał mechanizm spustowy. Przesunął wzrok wzdłuż zdobień, wykonanych zapewne amieńskimi albo i elfimi dłońmi. Misterne, miniaturowe płaskorzeźby wyobrażały smoka w locie, plującego płomieniami. Przed oczami stanął mu ojciec i jedyne polowanie w puszczy, gdy po raz pierwszy ujrzał podobną broń w działaniu. Od tego czasu zmieniło się wiele. Rzemieślnicy znacznie ulepszyli mechanizmy tej broni od tamtych czasów. Zamiast zawodnego lontu, Aine zastosował krzemień, wynalazek, który przywędrował wprost z leśnej krainy myśliwych, z leżącej na północy Telii.... Szmer przy drzwiach rozwił wspomnienia. Bridhard spojrzął w stronę drzwi i przez moment wydawało mu się, że drzwi się poruszyły. Światło kaganka skutecznie go oślepiło. I wtedy obaj z Aine usłyszeli szybki trucht na schodach. Zerwali się na nogi.

- Ostrzegalem Panie – mruknął rzemieślnik i szybkim ruchem zgarnął króćcice do torby.

- Straże! – Bridhard przypasał miecz. Jego myśli biegły z prędkością błyskawicy.

Pistolety to był test, nie tylko dla Aine. Przy bramie rozległ się krótki krzyk bólu. Dziedzie otworzył drzwi i zbiegł po kamiennych schodach. Odgłos kroków, niczym dzwon odbijał się echem. Przez wąskie okno dostrzegł jednego ze strażników, leżącego na podwórzu zamkowym. Z jego piersi wystawało złamane ostrze włóczni. Bridhard zmełł w ustach przekleństwo i szybkim, ale spokojnym już krokiem podążył w dół, wprost do dużych okutych drzwi. Tu spotkał pędzącego kapitana straży. W ciemnościach nocy rozbrzmiał dzwon alarmowy, w który

zapamiętałe bił jakiś strażnik.

- Przestań dzwonić! – Ostry krzyk Bridharda uciszył wibrujący dźwięk. Kapitan zatrzymał się w pół kroku. Żyłastymi dłońmi chwycił żelazną klamkę i z niepokojem odwrócił siwą głowę, spoglądając na księcia.

- Cóż kapitanie – głos Bridharda dźwięczał niczym stal. – Ten jeden ci uciekł. Niestety, to był ten najważniejszy. – Wskazał dłonią na uchylone drzwi. Przy zabitym zebrało się kilku żołnierzy. Właśnie kładli go na zaimprovizowane nosze i ponieśli bezwładne, zakrwawione ciało do koszar.

- Panie – kapitan straży schylił głowę. – Zdrajcą okazał się Wiliam, tak jak podejrzewałeś - głos zdradzał sędziwy wiek żołnierza. Pełnił swe obowiązki do tej pory ze względu na sentyment władcy do tego weterana wielu bitew.

- Nie mamy już czasu – Bridhard otworzył wierzeje na całą szerokość i postąpił krok na podwórze. Z zaciętą miną spoglądał w uchylone drzwi koszar, za którymi znikli żołnierze wraz z zabitym, po czym powoli zwrócił wzrok na wciąż schylonego starca.

- Weźmiesz trzydziestu najlepszych żołnierzy i przyprowadzisz mi tu arcybiskupa. Nieważne, czy będzie spał, czy się modlił. I zawołaj natychmiast Ditricha. Będzie mi potrzebny – Kapitan skłonił się jeszcze niżej, błyszcząc rzadkimi, siwymi włosami w świetle tu i ówdzie zapalonych łuczyw i latarni burzowych. Ruszył ociężałym truchtem w stronę koszar, budząc niepokój kilku żołnierzy, którzy pojawili się w wejściu do swej siedziby. Bridhard bardziej wyczuł, niż dostrzegł obecność Aine. Nie patrząc nań, rzekł.

- Przygotuj mi władco ognia obie króciice. Dziś się przydadzą... - Rzemieślnik nie wdając się w dyskusje, począł nabijać broń, budząc zdumione spojrzenia nadchodzących żołnierzy. Blask latarni odbijał się w ich rynsztunku. Bez wątpienia zaliczali się do elity gwardii książęcej. Każdy okuty był w stalowy napierśnik i kolcze rękawy. Na płaszczach widniał herb Białego Gryfa, herb królestwa Barthii. Wśród nich, wzrostem wyróżniał się potężny mężczyzna o ogorzalej twarzy i jasnych włosach opadających na ramiona. Jego twarz przekreślała szeroka blizna zadana orężem elfiego miecznika. Potężne mięśnie grały pod skórą, które niejedną już raz ocaliły Bridharda od pewnej śmierci. Stał przed swym władcą w otoczeniu podwładnych i z głębi tej ludzkiej góry wydobył się dudniący basem głos.

- Ditrich na rozkaz, panie – zabijaka skłonił się przed Bridhardem a w migoczącym blasku ognia łuczyw, szczeniasty zarost Ditricha skrzył się srebrem.

- Przygotuj swoich ludzi do natychmiastowego wymarszu – twarz księcia wyrażała długo skrywany gniew.

- Panie, gdzie ruszamy? – Ditrich nigdy nie mówił dużo. Wykonywał za to rozkazy z isticie piekielną sumiennoscia. I za to cenil go ksiazę, który teraz usmiechnal się mściwie i powiedział powoli, cedząc słowa.

- Czas wyrównać rachunki z twoim ostatnim ciemniejszym... - Przy Ditrichu pojawilo się jeszcze kilku żołnierzy. Ci nie przypominali straży zamkowej. Każdy inaczej uzbrojony, każdy w swoich barwach. Twarze, które nocą przywodziły na myśl demony wśród bogobojnych mieszczan. Teraz ich oczy jaśniały blaskiem zemsty, która naraz pojawila się jak z dawna oczekiwana nagroda. Każdy z nich odczuł na plecach ciężki bat namiestnika Valharu, brata samego cesarza. I każdy miał swoje rachunki do wyrównania z najgorszym elfim sadystą po wschodniej stronie Złych Ziemi. Ditrich wraz ze swymi ludźmi i gwardią sprawnie ustawili się w szyku marszowym. Oczy błyszczały podnieceniem przed walką. Książę, przełożywszy obie króćce przez pas rycerski, stanął na czele niewielkiego oddziału. Wsiadł na podstawionego wierzchowca. Dał znać i ruszył stępa, a za nim ludzie Ditricha. Mury twierdzy odbijały stukot kopyt po kamiennym bruku i trucht wielu okutych butów, cichnący w oddali.

\*

Budynek rajców miejskich spowijał mrok, rozjaśniany gdzieniegdzie palącymi się łuczycami. Płomienie oświetlały kamienną podstawę i wysokie mury ratusza, mające za sobą wiele wieków. Dwójka strażników oparta o zwietrzałe kamienie, rozmawiała między sobą. Ich głosy niesły się w ciemnościach daleko opustoszałymi ulicami pograżonymi w mroku. Tylko przy niektórych budynkach świeciły się chybottliwym blaskiem latarnie. Ruch w jednej z ulic zwrócił uwagę obu strażników.

- Kto idzie?! – Zawołał jeden z nich, smukły i wysoki elf postępując krok naprzód. Dłoni ukryta w kolejnej rękawicy opadła na rękojeść miecza. Wtedy z cienia rzucanego przez wysoki budynek jednej z kamienic wytoczył się ledwie trzymający się na nogach obdartus. Niepewnym chodem zataczał się od ściany do ściany. Dotarłszy do jednej z kamiennych ścian przewrócił się, obserwowany przez obu strażników. W nocnej ciszy rozbrzmiał gulgot, pijak skulił się w rynsztoku leżąc we własnych nieczystościach. Strażnik wpatrujący się dotąd w przybysza z uwagą, skrzywił się z niesmakiem. Drugi odłożył włócznie i sięgnął po długi łuk mierzący

przynajmniej dziesięć stóp. Jego towarzysz pokiwał głową ze zrozumieniem. Skoro kolejny przybłęda nie słucha obwieszczeń cesarskiego namiestnika, tym gorzej dla niego. Elf nie spiesząc się wybierał strzałę. Jego towarzysz tknięty przecuciem obrócił głowę i otworzył szeroko oczy ze zdumienia, widząc krępą, niską postać człowieka w skórzanym kaftanie tuż za plecami łucznika. Trzymanym w dłoni sztyletem zadał błyskawiczny cios elfiemu wojownikowi, który z przerażającym jękiem runął przy drzwiach Domu Rajców. W świetle pochodni rękojeść sztyletu widniejąca w plecach strażnika wyglądała upiornie. Błękitna krew wąską strugą poczęła kapać na kamienne płyty rynku. Towarzysz zabitego błyskawicznie wyciągnął miecz. Nim zdołał zadać cios zabójcy, świsnęły trzy dobrze wycelowane belty. Ze zdumieniem malującym się na przystojnej twarzy, wpatrując się w lotki wystające z piersi, padł obok towarzysza. Przez chwilę panowała cisza, zakłócana szybkim oddechem krępego człowieka. Podeszedł on do zabitych i wyszarpnął z pleców elfa sztylet. Spokojnie wytarł go w szaty zabitego i przystanął przy bramie, nie zwracając uwagi na całą grupę ludzi kłusem przemknęła przez szeroki rynek. Leżący dotąd w rynsztoku pijak, na widok krótkiego starcia podniósł się i zrzuciwszy łachmany również ruszył w stronę Domu Rajców, prostując swą potężną posturę.

- Teraz nie ma już odwrotu – mruknął Bridhard patrząc to na martwe ciała strażników, to na umorusanego przybocznego. Spojrzał na zawarte przed nimi potężne, okute drzwi prowadzące do wnętrza. Zostały zablokowane wieczorem, jak zawsze, za pomocą potężnej stalowej belki, wsuniętej w uchwyty przez strażników.

- Nie ma panie – potwierdził Ditrich. Ruchem ręki przywołał dwóch najsilniejszych wojowników. We trójkę chwycili belkę w silne dłonie i powoli, z chrzęstem starego żelaza, niosącym się daleko w ciemności poczęła się wysuwać z uchwytów. Wreszcie z westchnieniem ulgi położyli potworny ciężar wprost na ziemi. Teraz Ditrich szarpnął za okute podwoje, które uchyliły się ze skrzypieniem i przez powstały otwór na zebranych przed Domem Rajców zbrojnych padło jasne światło. W otwartych drzwiach stał zaskoczony majordomus cesarskiego namiestnika. W prawej dłoni trzymał bogato zdobiony świecznik pięknej, elfiej roboty. W jego oczach pojawiło się przerażenie, gdy topór wiedziony mocarną ręką Ditricha wszedł w jego ciało okryte jedynie zwiewną szatą. Zabity nie wydał nawet jednego dźwięku padając na marmurową posadzkę. Świecznik z brzękiem potoczył się pod nogi Bridharda, który odtrącił go stopą. Za otwartymi wierzejami widniał długi wysoki korytarz. Podłoga i ściany wyłożone zostały najprzedniejszymi marmurami, tworzącymi przepiękne mozaiki. Po obu stronach korytarza



widniały gobeliny, najczęściej zagarnięte z książęcej twierdzy lub z domostw znaczniejszych wielmoży stolicy. Zdyscyplinowani żołnierze, bez jednego okrzyku ruszyli w głąb korytarza, wprost do szerokich schodów, z potężnymi zdobionymi oparciami dla dłoni. Bridhard był tu może ze dwa razy w życiu i za każdym razem zadziwiał go delikatny urok wnętrza, który elfy zdołały wydobyć z topornej budowli ludzi. Teraz nie było czasu na podziwianie sztuki. Żołnierze idący przodem dostrzegli przysypiających strażników opartych o szerokie włócznie. Stali przy schodach na dole i nie dojrzeliby nawet oręża, który pozbawił ich życia. Bridhard z kamienną twarzą przypatrywał się tej rzezi. Po raz pierwszy od bardzo dawna, to niebieska posoka barwiła posadzki. Widział jak po schodach wbiegają gwardziści i najemnicy Ditricha a chwilę potem usłyszał na piętrze odgłosy walki. Na ten odgłos obrócił się w stronę otwartej bramy wejściowej i rzekł do jednego z kilku gwardzistów, którzy pozostali na dole.

- Gerhard, zabarykadujcie wrota, co by światło nie ściągnęło nam na karki zbyt wielu ciekawskich – książę wskazał uchylone wrota i pognał na górę. Jego szybkie kroki tłumił zielony, atlasowy dywan, którym wyłożono schody. Minął zataczającego się żołnierza, trzymającego się za zakrwawiony kikut przedramienia. Dotarł na samą górę, nie zwracając uwagi na złote płaskorzeźby zdobiące szeroki korytarz. Za rogiem dał się słyszeć szczęk oręża. Biegnąc niemal potknął o dwa ciała jego żołnierzy leżące na podłodze, oba były potwornie pocięte. Wtedy usłyszał przerażający wrzask Ditricha. Książę dotarł do szeregu swoich żołnierzy widząc pobłyskujące ostrza broni. Na korytarzu trwała zacięta walka. Naprzeciw ośmiu dobrze uzbrojonych ludzi stał szczupły elf a jego rozszarpana w kilku miejscach szata ukazywała nienaturalnie błyszczącą kolczugę. Kryła jedynie tułów wojownika. Bezpośrednio na zbroi widniał herb Skrzyżowanego Miecza. W obu dłoniach elf trzymał lekko zakrzywione miecze reńskie. Bridhard widząc to zacisnął zęby. Nie udało się zaskoczyć najtrudniejszego przeciwnika. Na drodze do komnaty Valharu stał miecznik, elfi wojownik z kasty, która dała ostrouchym zwycięstwo nad ludźmi. W dodatku chroniła go adamantytowa zbroja, sądząc po blasku nasycona nie tylko olejami ale i magią. Nie imają się go rzucane włócznie i sztylety – kilka leżało za jego plecami. Książę wyciągnął miecz i wtedy drzwi na końcu korytarza za miecznikiem, uchylili się z cichym skrzypnięciem.

- Co się dzieje? – książę usłyszał zniechęcony głos namiestnika. Spoza drzwi wyłoniła się wysoka, szczupła sylwetka cesarskiego bratanka. Na ten widok, żołnierze księcia zawyli niczym zwierzęta. Namiestnik spłoszony spojrzał nic nie rozumiejącym wzrokiem na postacie w

korytarzu. Zazwyczaj jego wzrok, twardy i zdecydowany, teraz wyrażał dezorientację swego właściciela. Widząc to, Bridhard postanowił działać i skinął głową na Ditricha. To porozumienie dostrzegł miecznik i natychmiast zaatakował. Gdyby nie interwencja jednego z żołnierzy, który w porę wysunął włócznię, książę otrzymałby cios prosto w twarz. Elf zwinął się w bok ścinając ostrze włóczni a drugim ostrzem trafiając żołnierza w prawy bok. W tym samym momencie Bridhard wypalił z króciicy, trafiając miecznika w brzuch. Kula nawet z tak bliska nie zdołała przebić pancerza, ale impet uderzenia zgiał miecznika w pół. Huk strzału ogłuszył zebranych. Ditrich niepomny na wszystko zamachnął się trzymanym w rękach toporem. Tego ciosu miecznik nie był w stanie uniknąć i ostrze prowadzone pewną ręką Ditricha rozcięło elfią głowę na dwoje.

- Brać go – warknął książę i wskazał Valharu dymiącą lufą pistoletu. Ostatni żywy w budynku elf otworzył zmartwiałe usta widząc opancerzonych osiłków zmierzających w jego kierunku z nastawioną do walki bronią. Gwardziści z wrzaskiem rzucili się na zaskoczonego namiestnika. Elf został rzucony na ziemię i związany. Pomni na rozkaz księcia, nie ważyli się go uderzyć.

W budynku zapadła nagle cisza przerywana przyspieszonymi oddechami ludzi. Spoglądali po sobie, jakby nie dowierzając oczom, czego dokonali. W ciągu ostatnich trzydziestu lat nikt nie ważył się na podobny czyn. Ludzie, który sprzeciwił się woli elfa i pochwycili członka rodziny cesarskiej, który teraz leżał związany na atlasowym dywanie pomiędzy gwardzistami. Bridhard mógł być pewien, że już zapisali się w historii jego rodu i królestwa Barthii. A to, że kuzyn cesarza żył, dawało nadzieję na możliwość odzyskania brata, więzionego na cesarskim dworze w stolicy Cesarstwa Zachodu Rothret. Zerknął na ciemne oczy namiestnika, miotającego mordercze spojrzenia. Ludzie Ditricha związali go bardzo dokładnie, dając niewielką możliwość ruchu. Bridhard machnął ręką, dając znać ludziom, by przeszukali komnaty namiestnika. Pochylił się nad leżącym elfem, ale nim zdążył cokolwiek powiedzieć w zapadłą nagle ciszę wdarł się bas Ditricha.

- Otóż i zbrodzień – Pod nogi księcia potoczył się skulony Wiliam, do niedawna sługa Bridharda. Ciało Wiliama okryte lnianą, białą koszulą drżało. Służący nie próbował nawet spojrzeć na księcia obawiając się konsekwencji zdrady. Przeklinał w myślach dzień, w którym pojawił się w komnacie namiestnika i przyjął od niego pieniądze. Te same, które teraz Ditrich wysypał mu z brzękiem na głowę. Monety leżały wokół skulonego służącego, kłując w oczy

zdradziecką poświatą.

- Zabierz to ściervo. – Książę spojrział w witraż znajdujący się na końcu korytarza. Zbliżający się wschód słońca poczynił krzesać iskry na przepięknych kolorach witraża. Z ust służącego dobył się cichy jęk, gdy dwóch rosyłych gwardzistów chwyciło go pod ramiona i powlokło na dół.

- Przed Domem Rajców powinniśmy postawić pierwszy pal – z mściwym uśmiechem na twarzy warknął Bridhard patrząc na Ditricha. Ten skłonił nisko głowę i nie zdradzając się ani słowem podążył śladem gwardzistów, ściskając topór w wielkiej, sękatą dłoni.

\*

Słońce stało już wysoko na niebie a jednak ulice Ravalion pozostawały wyludnione. Wieść o nocnych wydarzeniach lotem błyskawicy obiegnęła stolicę królestwa, toteż nikt nie kwapił się do wyjścia. Nikt nie wiedział, jak zareagują cesarscy gwardziści, których cały legion obozował pod murami stolicy. Główny trakt Ravalion rozbrzmiał naraz stukotem setek kopyt na kamiennym bruku. Na drodze wiodącej wprost na rynek pojawiła się duża grupa jeźdźców. Jechali równymi szeregami, z których każdy liczył siedmiu wojowników. Chorągwie jednoznacznie wskazywały na przynależność zdyscyplinowanego oddziału. Tylko cesarska gwardia mogła sobie pozwolić na tak wyszkolonych żołnierzy. Każdy z nich ubrany był w adamantytową kolczugę. Pancerne rękawice skrywające smukłe elfie dłonie były przykładem mistrzowskiej roboty, pokryte miniaturowymi płaskorzeźbami. Orszak przypominał ogromną wyprawę artystów. Skrzył się w słońcu, świecącym mocno na bezchmurnym niebie. Wojownicy nie zwracali uwagi na pozamykane okna i bramy. Zmierzali wprost ku Domowi Rajców. Przed pierwszy szereg wyjechał smukły elf. Kruczoczarne włosy opadały mu łagodnie na ramiona okalając spokojną, pociągłą twarz. Bez wątpienia przewodził gwardii. Uniósł w górę dłoń ukrytą w pancernej rękawicy i na ten gest rzędy jeźdźców zwolniły. Stępa wjechali na rynek równie opustoszały jak główny trakt. Już z daleka kapitan cesarskiej gwardii dostrzegł bystrymi oczyma pal wbity przed Ratuszem. Wyraz przystojnej twarzy elfa nie zmienił się na jotę. Gwardia zatrzymała się przy samym palu. Kapitan rozpoznał twarz nabitego nań nieszczęśnika. To był Wiliam Haeno, ponoć sługa księcia Ravalion ale przede wszystkim szpieg namiestnika. Kapitan powiódł oczyma po gładkim drzewcu i zakrzepłych strugach krwi i zatrzymał się na otwartych wrotach Domu Rajców. W uchylonych drzwiach okutych żelaznymi, czarnymi pasami stał krępy,

czarnowłosy mężczyzna. Krótko ostrzyżona bródka opuściła się lekko, gdy jej właściciel rzekł z krzywym uśmiechem.

- Kapitanie Janne – elf oparł dłonie na łąku siodła.

- Książę – skinął głową kapitan elfiej gwardii. Z uwagą przyjrzał się sylwetce księcia, za którym jak cień podążał potężny osiłek. Z pewnym podziwem spoglądał na księcia. Nie spodziewał się po nim takiego zachowania. Pamiętał Bridharda jako skryte, zamknięte w sobie, zagubione książętko. Zupełnie inny od tych, z którymi przyszło mu się potykać kilkadziesiąt lat temu. Elf brał już udział w tłumieniu buntu królestwa Faro ponad sto lat temu – i pamiętał ile wysiłku i ofiar wojsk cesarskich kosztowało zanim wyrżnięto buntowników. Bridhard bez lęku spojrzął na równe szeregi cesarskiej gwardii i dziesiątki wpatrzonych weń oczu. Napotkał wzrok kapitana.

- I cóż zamierzacie począć teraz? – Zapytał spokojnie kapitan cesarskiej gwardii. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Każde słowo było dokładnie przemyślane. Nawet w tej wydawało się beznadziejnej sytuacji, jego twarz nie wyrażała emocji.

- Myślę, że to chyba nie pozostawia żadnych złudzeń – Bridhard znaczącym ruchem dłoni wskazał na pal. Janne spojrzął w górę. W górnym oknie Domu Rajców dostrzegł sylwetkę cesarskiego namiestnika w Barthii, Valharu. Na jego szczupłej szyi widniała pętla przywiązana do belki wystającej z dachu. Za nim stało dwóch najemników Ditricha. Janne spojrzął wprost w przerażone oczy Valharu. Opuścił wzrok na swego rozmówcę i bez cienia emocji rzekł.

- Odpowiadam życiem za namiestnika – kapitan spoglądał z kamiennym spokojem na księcia. W ciemnych oczach elfa Bridhard wyczytał wyrok śmierci.

- Jeśli coś mu się stanie, twoi ludzie nie zdzierzą nawet pacierza, wiesz o tym - Janne, na potwierdzenie swych słów, wskazał dłonią na szeregi swoich gwardzistów i ciągnął dalej.

- Spójrz książę. Ukarzemy prowodyrów, wy wróćcie na zamek, my odzyskamy namiestnika. Wszyscy będą kontenci – zakończył z naciskiem.

- Niestety drogi Janne – Bridhard rzekł niemal po przyjacielsku. Dopiero teraz elfi kapitan dostrzegł za pasem rycerskim księcia pistolet, na widok którego twarz elfa ściągnęła się. Zorientował się, że Bridhard nie będzie negocjował.

- A wasz brat panie? – kapitan znacząco wskazał wzrokiem na namiestnika.

- Dopóki mój brat żyje, będzie żył Valharu. Aboć zdecydujecie się zrobić coś głupiego.

Wtedy namiestnik odczuje, co znaczy smażyć się w ogniach chaosu. – Powietrze przeszył dźwięk

trąb. Obaj jak na komendę spojrzeli na trakt wiodący do twierdzy. Książę wskazał na zbliżający się orszak. Łopotały nad nim chorągwie biskupa Ravalion. Przodem szło kilkunastu żołnierzy w barwach księcia, dalej szło trzech kapłanów, pomiędzy którymi widniała wysoka i koścista sylwetka biskupa Vladimira. Janne uniósł w zdumieniu brwi i zacisnął usta. Teraz dowiedział się, o co właśnie zaczęła toczyć się gra. To nie był przypadkowy atak zdesperowanych niewolników, a dobrze przygotowana akcja, choć na twarzy biskupa rysowało się zdumienie. Z okien Domu Rajców rozbrzmiały okrzyki radości. W oknach kamienic wokół rynku pojawili się pierwsi ludzie. Jedynie cesarska, elfia gwardia pozostała niewzruszona. Orszak zatrzymał się dziesięć kroków przed Ratuszem. Żołnierze rozstąpili się na boki, nie spuszczać oczu z nienawistnych sylwetek elfach gwardzistów. Przez utworzony szpaler przeszli kapłani a zaraz za nimi wysoka postać biskupa. Na surowej twarzy Vladimira nie drgnął ani jeden mięsień gdy Bridhard skłonił się nisko.

- Książę biskupie – książę wskazał na sylwetkę Valharu widoczną w oknie.

- Chciałbym, byś w obecności cesarskiego namiestnika poczynił przygotowania do ceremonii koronacji – w wysuszonych, bladych oczach kapłana pojawiły się łzy wzruszenia.

Niemniej jednak zachował powagę i nie zwracając uwagi na stojącego nieopodal Janne rzekł

- Ależ twe dłonie splamione są krwią – rozległ się cichy, ale twardy głos biskupa.

- Będziesz zaś musiał pokutę odprawić – Książę posłusznie skłonił głowę. Zerwał się wiatr, szarpiąc biskupimi szatami, które z szelestem zasłoniły na moment postać księcia. Wokół, na rynku zaczęli pojawiać się ludzie. Trzaskały otwierane okiennice. Nawet przy cesarskiej gwardii zaczęli się zbierać mieszczanie. Tłum gęstniał wokół elfów, nie zwracających uwagi na szemrzących coraz głośniej ludzi. Stugębna plotka zaczęła się szerzyć z prędkością błyskawicy i na ulicach wiodących do rynku było coraz więcej osób. Na dźwięk trąb, ludzie na głównym trakcie rozstąpili się przed orszakiem biskupa Vladimira, który pieszo i boso podążył w stronę katedry Ravalion – Świątyni Królów. Ludzie zebrani na rynku ruszyli śladem biskupiego orszaku. Książę spoglądał chwilę za odchodzącymi. Poczul na sobie wzrok elfiego kapitana, wciąż spokojnie czekającego na dalszy ciąg rozmowy. Jakby przybycie biskupa nie zrobiło na nim żadnego wrażenia. Bridhard ze spokojem powiedział wpatrując się w bladoniebieskie oczy Janne.

- Opuście mury miasta – książę spojrział twardo na dowódcę cesarskiej gwardii. Głos Bridharda zadźwięczał niczym wyciągana klinga.

- Macie trzy pacierze – książę odwrócił się plecami do dowódcy gwardii.

- Nie zwlekajcie... – Rzucił przez ramię podążając do Domu Rajców. Elf przez moment zwalczał dziką chęć rzucenia się na pyszałka i skrócenia go o głowę. Wydawał się niedosięgly niczym obłoki na niebie. Spojrzał jeszcze raz na przerażonego Valharu i odwrócił się odprowadzany błagalnym wzrokiem namiestnika. Jeden ruch ręki wystarczył, by zdyscyplinowana gwardia zawróciła na powrót ustawiając się rzędami marszowymi, tym razem w stronę bramy.

Bridhard ukradkiem obserwował zachowanie Janne przez ramię. Z cichym westchnieniem ulgi dostrzegł, że kapitan spokojnym ruchem zawraca swojego konia i z kamienną miną rusza w stronę bramy a za nim gwardziści. W skrytości ducha liczył na taki rozwój sytuacji. Elfy, które znał, zawsze rozpatrywały sprawę spokojnie, bez pośpiechu. Zaskakująca sytuacja, w której znalazł się kapitan gwardii, bez wątpienia wymagała narady wśród elfich oficerów. Stukot kopyt po bruku niósł się daleko. Cesarska gwardia opuszczała miasto odprowadzana nienawistnymi spojrzeniami ludzi. Bridhard spoglądając na szeregi odchodzących gwardzistów, ruchem ręki przywołał Ditricha.

- Wyruszysz zaraz do Oleron, dam ci pismo do księcia Duncana – zdziwione spojrzenie przybocznego sprawiło, iż dodał.

- Teli jest nam dziś sprzymierzeńcem a wrogowie idą tam – wskazał dłonią na niknących za zakrętem gwardzistów.

- Wyruszysz natychmiast. Powiesz Duncanowi, że pilno musi zbierać wojska. I wracaj jak najszybciej... – Ostatnie słowa księcia zagłuszył dźwięk trąb. Jeden z wozaków przyprowadził przepięknego wierzchowca – najlepszego ze stajni zamku Ravalion. Potężnie zbudowany siwek był istotnie królewskiej urody. Bridhard przykrył dłonią jego chrapy, po czym wsunął nogę w strzemię i lekko wskoczył na siodło. Przodem szedł jeden z najlepszych żołnierzy Ditricha – Nulni. Niemal równie potężny jak jego dowódca, na krótkim łańcuchu trzymany w lewej ręce niewolił spętanego namiestnika. Prawa dłoń dzierżyła krótki miecz. Nulni nie ryzykował. Ostrze celowało wprost w smukły kręgosłup Valharu. Cały orszak powoli kierował się w stronę katedry, witany owacjami. Za wojownikami Bridharda postępował tłum a w powietrzu czuć było jego niesłychane uniesienie. Lata zniewolenia, zdrad i wyniszczających kontrybucji znikły, jakby nigdy nie istniały. Teraz, w oczach wszystkich Barthijczyków była tylko wspaniała sylwetka księcia, i bratanka samego cesarza idącego pieszo, w kajdanach. Pancierz księcia jasno błyszczał

w słońcu, gdy zatrzymał się przed katedrą, wznoszącą się wysoko w niebo. Legenda głosiła, że świątynia została wybudowana dla pierwszego króla Barthii, w czasach gdy złoto było równie powszechne jak piasek. Potężne wieże kryły dzwony koronacyjne, bijące ostatni raz dwieście lat temu. Teraz rozbrzmiały znowu, zaledwie księżę zeskoczył z konia. Naprzeciw wyszedł biskup Vladimir wraz z dwójką kapłanów. Bridhard ukląkł na jedno kolano i skłonił głowę. Tłum dookoła gęstniał. Dzwony umilkły. W zapadłej nagle ciszy słychać było jedynie przyspieszone oddechy stłoczonej mas ludzkiej. Jakby na dany znak wszystko ucichło i dał się słyszeć silny, zgrzytliwy głos biskupa.

- Namiestniku Valharu, czy jako przedstawiciel cesarza w królestwie Barthii – słowo „królestwo” kapłan wypowiedział z jakąś zawziętą satysfakcją. - Wyrażasz zgodę na koronację Bridharda z Ravalion? – Z tymi słowy zwrócił się wprost do bladego ze strachu cesarskiego bratanka. Ten nieprzytomnie skinął głową. Zmiętoszone szaty namiestnika nie dodawały mu dostojęstwa. Teraz jednak elf nie myślał o tym, otoczony dziesiątkami nienawistnych spojrzeń.

- Tak – zająknąwszy się, namiestnik Valharu przymknął oczy. Nie chciał widzieć tych pokracznych twarzy, które jeszcze wczoraj drżały ze strachu przed jednym uniesieniem brwi. Zanim wstał dzień, był panem życia i śmierci tych groteskowych spojrzeń. Teraz jedno nieopatrne słowo mogło spowodować jego śmierć.

- Cesarz wyraża swą wolę przeze mnie – głos namiestnika słyszeli tylko najbliżej stojący. Był cichy i płaczliwy.

- Wyraża zgodę na koronację.

- A zatem –głos biskupa zagrzemiał niczym grom.

- Dokonało się. - Słowa te rozeszły się szerokim echem. Biskup powoli podszedł do wciąż klęczącego księcia. Oparł dłonie na jego ramionach i rzekł donośnym głosem.

- Podążaj za mną pomazańcu – księżę krok za krokiem, na kolanach, podążał za biskupem. Kapłani narzucili na Bridharda czerwony płaszcz podbity złotą nicią i ruszyli wraz z nim... .

Namiestnik z trudem wędrował za klęczącym księciem, rozglądając się z trwogą. Wciąż czuł ostrze miecza Nulniego na plecach, który mimo podniosłej chwili nie spuszczał zeń czujnych oczu. Obaj poczuli chłód wypełniający wnętrze katedry. Valharu z ledwie ukrywaną pogardą rozglądał się po świątyni w której nigdy nie był. Rzeźby, które wydawały się ledwie zaczętą robotą, zwłaszcza przy elfich arcydziełach. Niknący w mroku sufit, kryjący prastare

malowidła, słynne na całą kontynent Dicut. Zapach kadzideł, odurzający wchodzących ludzi, nie robił na cesarskim namiestniku wrażenia. Katedra wypełniała się dziesiątkami ludzi. Każdy chciał zobaczyć tę chwilę. Do ołtarza wiódł czerwony dywan, po którym książę dotarł do kamiennego klęcznika przykrytego złotym suknem. Rozpoczęła się ceremonia... Każde słowo biskupa i każda odpowiedź księcia powodowały falowanie tłumu. Wzmagало napięcie. W powietrzu dał się słyszeć cichy pomruk, gdy jeden z kapłanów wniósł prastarą koronę królów Barthii, tyle lat ukrywaną przed elfim okupantem. Namiestnik spoglądał na nią z dobrze ukrywaną złością. Mieniła się wszystkimi kolorami tęczy, sprawiała wrażenie żywej, gdy niezwykle delikatne ornamentacje odwzorowujące liany wiły się wokół złotej obręczy wysadzonej drogimi kamieniami. Wykonali ją najlepsi mistrzowie spośród Elfów i Krasnoludów, jeszcze wtedy, gdy wszystkie rasy żyły ze sobą w pokoju. Zapadła całkowita cisza, w której jak grom dały się słyszeć słowa biskupa Vladmira.

- Mocą nadanej mi władzy bogów, czynię cię królem całej Barthii na chwałę jej ludu.- Słowa te odbiły się głębokim echem wśród kolumn i krużganków katedry. Korona wysunęła się z rąk biskupa by spocząć na skroniach Bridharda. Świeżo koronowany król wstał powoli i dostojnie. Odwrócił się w stronę zebranego tłumu i wznosił dłonie ku górze.

- My, król Barthii dopilnujemy by kraina nasza nie cierpiała nigdy więcej pod butem ciemności... - Głos ten zabrzmiał znacznie słabiej niż Vladimira. Ale to właśnie w odpowiedzi na przemowę króla z setek gardeł dobył się ryk radości. Rozdzwoniły się ponownie królewskie dzwony katedry, do których dołączały inne świątynie. Na wysuszonej, wyżłobionej głębokimi zmarszczkami twarzy biskupa Vladimira stojącego za królem pojawiły się łzy głębokiego wzruszenia.

- Panuj nam, oby jak najdłuższej – szepnął cicho. W potężniejszej wrzawie nikt nie usłyszał biskupiego życzenia.

Nie znalazłbyś w Ravalion nikogo, kto nie dowiedziałby się o wydarzeniu w katedrze. Nawet zgromadzeni przy bramie gwardziści wpatrywali się w tłum i słyszeli przekazywane sobie z ust do ust słowa wypowiedane w świątyni. I tylko trójka jeźdźców Ditricha, ominąwszy obóz elfich żołnierzy oddalała się szybko od miasta.



## CESARZ

Słońce stało wysoko na niebie, lejąc z nieba żar wprost na dziesiątki postaci mrowiących się na uprawnych polach ciągnących się po horyzont. Na niebie brak było choćby jednego obłoku. Świst bata przeciął ciszę poranka. Na plecach półnagiego człowieka pojawiła się krwawa pręga tnąc w poprzek wcześniejszą bliznę. Niewolnik drgnął, nie zmieniając rytmu pracy. Obok schylał grzbiet kolejny wychudzony nieszczęśnik. W pobliżu dał się słyszeć drugi świst. Spalone mocnym słońcem ramiona z wysiłkiem unosiły prymitywne motyki i uderzały w wyschły ugór, który poddawał się powoli i z oporem. Równoległe do traktu bieging bruzdy wyrte przez zastępy ludzkich niewolników i nikiące gdzieś w oddali. Około dwóch stają od jasnego traktu widniał szereg szalaszów, ledwie widocznych zza setek ludzkich postaci schylających się w jednostajnym rytmie. Pomiędzy nimi, konno, przechadzało się kilkunastu strażników. Odziani w twarde, skórzane kaftany, robili częsty użytek z trzymany w ręku skórzanych harapów. Prymitywne twarze nadzorców wyrażał tępe zadowolenie z zadawanego cierpienia a baty śmigały w powietrzu znacznie częściej niż powinny. W powietrzu dało się słyszeć jednostajne zawodzenie, pomagające niewolnikom w mordędze.

Na trakcie zatrzymało się kilku jeźdźców. Słońce odbijało się od misternie wykonanych pancerzy z adamantytu. Odbicia promieni pełgały na miniaturowych rzeźbach naramienników niczym płomienie. Spływały na kolcze rękawice, wykonane przez najprzedniejszych mistrzów. Część pracujących przy samym trakcie na moment przystanąło, patrząc na urzekające widowisko. Bat przywrócił im pamięć i zmusił do pracy.

Wśród całej grupy jeźdźców zdecydowanie wyróżniał się wysoki brunet o niezwykle przystojnej twarzy i wąskich ustach. Wysunął się pół kroku naprzód. Teraz wykrzywił je w grymas obrzydzenia.

- Spójrz na to Garlilu – zwrócił błękitne oczy do jednego ze swoich towarzyszy.  
- Zachowują się jak zwierzęta. Zupełnie jak zwierzęta. Nie do wiary, że walczyli z nami ramię w ramię. – Wysoki elf pokręci głową z niedowierzaniem i zawrócił wierzchowca. Potężne zwierzę posłusznie zwróciło łeb w stronę widniejących w oddali, gigantycznych murów największej twierdzy na kontynencie zwanym Dicuą. Orszak stał u wrót stolicy Cesarstwa, Rothret.

Zagadnięty wojownik odsunął kruczoczarne włosy z ponurym uśmiechem. Odpowiedział

aksamitnym głosem, wpatrując się w kilku, pracujących najbliżej.

- Zaiste Hatrirze, jest to zagadką bogów, czy ludzie istotnie posiadają duszę, czy to tylko uczone zwierzęta potrafiące mówić.

Stępa ruszyli naprzód, wzdłuż niekończących się pól. Zerwał się delikatny wiatr, przywiewając z pól smród spoconych ciał i odchodów. Żaden mięsień na twarzach elfich wojowników nie drgnął.

- Zainteresuje cię to baronie – ciągnął rozmowę Hatrir – ci ludzie to w większości urodzeni tutaj. A jest ich ponoć więcej niż w wolnych królestwach za Złymi Ziemiami.

- Mam nadzieję, że cesarz nie dopuści, aby nazbyt się rozplenili – odpowiedział Garlil tęsknie wpatrując się w dalekie mury stolicy. – Sądzę, że jest ich wystarczająco dużo, zwłaszcza tu.

- Cesarz Fryderyk wie, co należy robić – Hatrir uśmiechnął się złośliwie i wskazał smukłą dłonią, odzianą w przepiękną, kolczą rękawicę na zagony pokryte ludzkim mrowiem.

- Dopóki mnożą się tu, robią to na chwałę cesarstwa, żywiąc swoją pracą cały elfi ród. W końcu do tego zostali stworzeni... -

Chwilę jeszcze jechali stępa, ale wzmagający się smród stawał się nie do wytrzymania dla delikatnych elfach nozdrzy. W pewnym momencie cała grupa, jak na dany znak, przyspieszyła. Umilkły rozmowy. Potężne konie, wszystkie pochodzące z rozległych równin Rawenny, wypoczęte rwały do przodu. Za pędzącą grupą zaczął unosić się tuman kurzu, sypiąc się na pracujących wokół ludzi. Mury Rothret rosły w oczach. Szybkość rozwijana przez wspaniałe zwierzęta była imponująca. Wkrótce niewolnicze pola zostały za nimi a ich miejsce zajęły ogrody cesarskie, słynące ze swej bajkowej urody. Hatrir zwolnił a wraz z nim pozostali. W ciszy przejechali pod baldachimem wijących się lian, ruchomych drzew i przepięknych ptaków, przysyłanych przez dyplomatów z całej Dicuti. Minęli szeroką fosę, która wyznaczała granicę miast i dotarli do głównej bramy miejskiej. Potężne kamienne mury wznosiły się wysoko. Każdy kamień został wyszlifowany przez krasnoludzkich mistrzów i indywidualnie spasowany. Elfy przyozdobiły je jedynie kilkoma płaskorzeźbami próbując tchnąć w surową toporność budowli nieco swego uroku. Brama zwieńczona potężnymi, żelaznymi okuciami była zawarta. Na ten widok przyboczny Hatrira, młody elf o smukłej twarzy przytknął do ust róg, zadął weń i wypowiedział następujące słowa.

- Książę Hatrir wraz z pocztą – mimo swej niepozorności przyboczny potrafił nadać

swemu głosowi siłę gromu. Trzech cesarskich gwardzistów zasalutowało długimi halabardami. Chwilę później zaszczękały łańcuchy i wrota uchylły się ukazując drewniany trakt i drugą fosę. Grupa dostojnie przekroczyła grube, ciosane mury twierdzy i wkroczyła na szeroki, drewniany most. Na bramie miejskiej, wzdłuż której wisiały flagi w złotych barwach Cesarstwa Zachodu, pojawiły się sztandary i rozległ się czysty dźwięk ogromnych, rzeźbionych trąb. Na wysokich blankach pojawiły się dziesiątki twarzy. Wszystkie wpatrywały się w tych kilku jeźdźców. Cóż za osobistość pojawiła się w murach Rothret, że nad Wschodnią Bramą zagrały trąby „Głosu Cesarza”? Końskie kopyta zadudniły na starannie wycyzelowanym bruku miejskim i dobrze znanych, zgrabnych kamieniczek, jakże innych od topornych budowli ludzi, które orszak był zmuszony oglądać przez ostatnie miesiące. Hatrir z zadowoleniem dostrzegł zgromadzony po obu stronach mur przyjaznych, elfich twarzy. Odwzajemniał pozdrowienia. Kochał to miasto i jego mieszkańców. „Uśmiechnięty książę” był tu wprost uwielbiany. O tę popularność bratanka sam cesarz Fryderyk bywał zazdrosny.

Hatrir cieszył oczy głównym traktem stolicy. Pnące się tu kamienne domy były dziełami sztuki. Wyciosane przez ludzi, zdobione przez krasnoludy i elfich mistrzów zawsze cieszyły książęce oczy. Wjechali na główny rynek Rothret, gdzie na przybyszy czekał sam cesarz Fryderyk w otoczeniu kilkunastu gwardzistów. Błękitny płaszcz otaczał ramiona smukłego i niezwykle przystojnego władcy, sprawiając wrażenie, iż płynął w powietrzu. Zatrzymali się naprzeciwko siebie. Zgodnie z tradycją, Hatrir pierwszy schylił głowę i wyciągnął przed siebie obie dłonie w poddańczym geście. Cesarz chwycił je i podniósł księcia z kolan.

- Witaj bratanku. Stęskniłem się po tobie – szeroki uśmiech Fryderyka nie odbijał się w jego szarych, stalowych oczach. Hatrir zauważył to od razu. Przed nimi był przede wszystkim czas na powitanie. Nie musieli się spieszyć. Elfy nigdy nie musiały walczyć z czasem... . Na poważną rozmowę przyszedł czas, kiedy słońce niemal skryło się za horyzontem, gdy Fryderyk przyjmował bratanka w ogromnej sali balowej pałacu cesarskiego, wypełnionej przepięknymi dziełami sztuki. Wzdłuż potężnych ostrołuków zwisały setki gobelinów i obrazów pochodzących z całego kontynentu. Wokół niosły się delikatne dźwięki lutni, pobłyskujących w świetle potężnych świeczników wiszących u powały. Górski kryształ, z którego były wykonane, rzucał na wszystkie ściany wielobarwne, bajkowe błyski. Padały również na te niezliczone pary, które wirowały w tańcu, niemal nie dotykając stopami podłóg. Elfi taniec zawsze hipnotyzował inne gatunki a cesarza zawsze wprawiał w dobry nastrój. Dlatego też każde spotkanie było okazją do

cieszenia oczu kilkusetletnim doświadczeniem smukłych tancerzy.

- Musisz wiedzieć mój bratanku – cesarz usiadł na podstawionym fotelu, wykonanym z rzadkich gatunków giętkiego drzewa Verun sprowadzanego z dalekiego południa. Żywe liany wiły się wokół obłych oparc, tworząc fascynującą, żywą rzeźbę wartą fortunę. Hatrir z fascynacją obserwował jak siedzenie przystosowuje swój kształt do ciała cesarza.

- Za Złymi Ziemiami znów pojawiły się niepokoje – księżę uniósł w zdziwieniu brwi. Cicha dotąd muzyka zabrzmiała głośniejszą potęgując słowa cesarza. Jako bratanek cesarza zawsze twierdził, że ludzie nie są już w stanie stawić oporu, że najbardziej oporna krew została wyróżniona i w tym mniemaniu był zawsze popierany przez wuja.

- I pojawiły się w Ravalion – ciągnął dalej Fryderyk. Mówiąc, kiwnął dłonią na służącego, który podszedł niezwłocznie, niosąc srebrną, głęboką tacę. Cesarz spojrzał wprost w oczy Hatrira. Księżę poczuł nieprzyjemny dreszcz spoglądając w bezdenną otchłań cesarskich oczu i opuścił wzrok.

- Bridhard został jedynakiem – Cesarz dał znak ruchem głowy i służący uniósł pokrywę mieniącą się w blasku tysięcy świec. Na tacy leżała doskonale wypreparowana głowa Rolanda, młodszego księcia Barthii.

- Wyobraź sobie – ciągnął dalej Fryderyk nie bacząc na wstrząsające wrażenie, jakie wywarł na bratanku – ośmielił się sięgnąć po moje włosy. A jest tylko jeden władca na Dicui. Tylko jeden!. – W głosie cesarza zabrzmiała stal. Na moment zapadła cisza. Cesarz spojrzał na swego bratanka i dokończył.

- Trzeba będzie to ludziom przypomnieć – Hatrir z chorobliwą fascynacją wpatrywał się w leżącą na tacy głowę. Sprawiała wrażenie, jakby Roland spał. Naturalny kolor skóry, przymknięte oczy i lekko rozchylone usta. Ani kropli krwi. Cesarski bratanek miał przez moment ochotę sprawdzić, czy aby nie jest to okrutny żart i reszta ciała nie jest ukryta w magiczny sposób pod stołem. Powstrzymał się jednak i słuchał cesarskiego wywodu. Wokół siedzących zawirowało koło tancerzy. Wraz z kryształowymi refleksami tworzyli barwną mozaikę, oddzielającą cesarski tron od reszty sali. Cesarz wpatrywał się w olśniewające widowisko odbijające się w zimnych oczach i ciągnął dalej, nie patrząc na bratanka.

- Stłumiłem jedno ludzkie powstanie zanim wstąpiłem na ten tron – przywołane wspomnienia wywołały u Fryderyka lekki uśmiech. – Przyszła pora na kolejne. Nasi nieocenieni niewolnicy mają krótką pamięć. A ich odświeżenie wymaga upuszczenia nowej porcji krwi –

jeden cesarski gest spowodował rozpoczęcie uczty. Zmieniła się muzyka, na spokojniejszą, kojącą nerwy. Tancerze rozsiedli się wygodnie na skórzanych pufach cyzelowanych złotem. Po półnagich ciałach spływał pot i olejki tworząc niepowtarzalną woń przesyconą erotyzmem. Fryderyk wskazał dłonią na najlepsze potrawy, przyniesione przez służbę. Zaczęła je stawiać wokół srebrnego półmiska z głową Rolanda, której makabryczny widok wciąż im towarzyszył.

- Dziwisz się, czemu pozostawiam tu to truchło? – Hatrir kiwnął głową i z trudem przełknął rozpluwającą się w ustach polędwiczkę. Zazwyczaj nic nie było w stanie wzruszyć tego znakomitego szermierza. Pobyt w sali tronowej twierdzy Rothret kojarzył się zawsze z znakomitą jeżdżeniem i przygodami erotycznymi, a nie makabreską.

- Zbyt byliśmy łagodni dla nich – Fryderyk niemal z czułością spojrzął na głowę Rolanda. Chwytał przygotowane specjalnie dla niego, próbowane przez trzech kucharzy, delikatne mięso z języków arna, rzadko spotykanej leśnej antylopy.

- Zbyt pobłażliwi. I mamy niestety tego efekty. Twój kuzyn Valharu nie zdołał wydostać się z tego gniazda ludzkich żmij – księżę skinął głową ze zrozumieniem spoglądając na spokojną twarz Fryderyka. Lekki niepokój w oczach Hatrira szybko znikł, gdy cesarz dodał swym spokojnym barytonem.

- Nie ma powodów by się niepokoić bratanku. Valharu nic nie grozi. – Fryderyk powiedział to pewnym, silnym głosem. Księżę nie wiedział, w jaki sposób, ale słowa cesarza obudziły w nim nadzieję. Hatrir czuł roztańczającą się aurę ciepła i dobroci. Bez wątpienia moc Fryderyka rosła wraz z wiekiem. Zgromadzeni przy stołach tancerze zaczęli zawodzić jedną z najstarszych elfich pieśni sławiących naturę. Uczujący przy stołach, połączywszy się dłońmi, poczęli się kołysać w rytm pieśni. Obaj rozmawiający zamilkli przymykając oczy, dając się kołysać prastarym słowom

- „Niss va eane se... - niosła się pieśń wzdłuż kruzganków i korytarzy ogromnej Sali Cesarskiej. I wtedy dał się słyszeć huk z nagła otwartych, ciężkich drzwi. Czar pieśni natychmiast przysł. Znikła jasność i uczucie błogości, ucichła pieśń i muzyka. Tancerze przestali zawodzić, a smukłe nagie ramiona rozłączyły się. Oczy wszystkich zebranych zwróciły się ku otwartym z nagła wierzejom. Zapadła nienaturalna cisza. Pośrodku wejścia stała wysoka, smukła postać kapitana gwardii cesarskiej Janne de Leoua, do niedawna przybocznego namiestnika Valharu. Kolczudze świetnej roboty, wykonanej z adamantytu, brakowało całego naramiennika. Kilkanaście skrajnych kółek zbroi było poszarpanych. Ramię i dłoń kapitana pokrywał

opatrunek. De Leoua dostrzegł postać cesarza i zgodnie z tradycją ukląkł w wejściu jak przystało na przynoszącego złe wieści. Wzrok wszystkich zebranych zwrócił się teraz na władcę. Fryderyk spokojnie wstał i przypasał krótki miecz reński, usłużnie przyniesiony przez jednego z wielu adiutantów. Cesarz dostojnym krokiem, pobrząkując ryszunkiem dotarł do klęczącego oficera. Wszyscy odczuli zmianę nastroju, gdy wypowiedział słowa, cedząc je z zimną nienawiścią.

- Z czym przychodzisz? – Echo zapytania po wielokroć odbiło się w potężnej sali. Hatrir a wraz z nim pozostali odczuli nagle ogromne przygnębienie i niepokój. Cisza przytłaczała obecnych w sali. Przygasły ognie, dotąd wesoło pęłające na świecznikach. Moc cesarza objawiała się nie tylko przy uczcie. Nikt nie był w stanie się jej przeciwstawić. Zwłaszcza teraz.

- Panie – Janne nie śmiał podnieść wzroku, czując nadchodzącą nienawiść. Czując jak sięga do wnętrza jego umysłu. Mimo to kapitan, patrząc na marmurowe płyty podłogi, odważnie ciągnął dalej.

- Książę Bridhard sprzeniewierzył się danej tu przysiędze. Zniszczył swój honor i podniósł dłoń na namiestnika. – Na moment zapadła cisza przzerwana przerażającym, choć absolutnie spokojnym głosem Fryderyka. Zapowiadającym los gorszy od zwykłej, żołnierskiej śmierci.

- Odpowiadałeś zań życiem – de Leoua schylił się jeszcze niżej. Nawet książę Hatrir poczuł ściśnięcie gardła.

- Tak panie – kapitan mówił dalej, coraz odważniej podnosząc głowę, mimo coraz większego bólu odczuwanego w umyśle.

- Nie mogąc ryzykować życiem namiestnika wycofaliśmy się poza mury. Nie sądziliśmy jednak, że odwieczny wróg Barthii, Telia, odpowie na jej wezwanie. Nasze oddziały zostały zaatakowane i nie sprostały podstępemu przeciwnikowi, choć wiele czerwonej posoki spłynęło pod murami Ravalion. - Przez długą salę przemknął ognisty piorun i z hukiem roztrzaskał się nad głową kapitana. Janne nie przerywał, choć piorun osmalił mu schylone plecy.

- Atakujący użyli ognistej broni. Wsparli ich żołnierze Barthii. Osobiście widziałem króla Bridharda używającego tych zakazanych urządzeń.

- Co powiedziałeś? Króla? – Cesarz po raz pierwszy zmienił ton głosu. Ziała w nim otwarta nienawiść. Dłoń Fryderyka, z nagłą zasłonięta nieprzejrzystą osłoną, która pojawiła się znikąd, chwyciła za smukłe gardło kapitana. Silny uchwyt niemal rozerwał krtań kapitana.

- Namiestnik Valharu wyraził twą zgodę na koronację panie – zaskrzeczał z wysiłkiem

oficer. Jego oczy zaszyły mgłą i niemal w ostatniej chwili cesarz rozluźnił uchwyt. Gdy odwrócił się, ściana za nim na moment stanęła w ogniu, uderzając gorącem w zebranych. Twarz władcy wyrażała gniew, mieniając się wszystkimi kolorami tęczy. Płomienie w sali przygasły. Atmosfera z nagłą zrobiła się duszna. Znikła gdzieś beztraska i zapach zabawy. Cesarz potoczył wokół rozognionym wzrokiem i utkwiał go ponownie w kapitana.

- De Leoua! – Wezwany schylił głowę nisko, wciąż klęcząc pośrodku ogromnej komnaty na błękitnej wstędze. Cesarz błyskawicznym ruchem wydobył oręż i uderzył, zatrzymując w ostatniej chwili ostrą krawędź miecza. Fragment włosów kapitana łagodnie spłynął po zbroi wprost na marmurową podłogę, odsłaniając jasną szyję.

- Następnym razem, moja dłoń się nie zatrzyma – warknął cesarz, równie błyskawicznie chowając miecz. Na szyi kapitana pozostało ciemne zadraśnięcie. Ślad po cesarskim mieczu, który nigdy już nie miał się zagoić. Płomienie świec zabłyśły jaśniej, gdy cesarz odwrócił się tyłem do posłańca i uniósł dłonie ku górze. Spojrzał na strwożonych tancerzy i po dłuższej chwili powiedział spokojnym głosem, z którego znikła nienawiść. Niemniej jednak głos ten odbił się stukrotnie wśród wszystkich zakamarków ogromnej komnaty.

- Bawcie się dalej, dla Rothret i dla mnie... - opuścił dłonie i spojrzał na swego bratanka, który wciąż stał przy stole, na którym pomiędzy przysmakami z całego kontynentu wciąż leżała głowa Rolanda.

- Wieści przyniesione przez posłańca zmieniają cel twojej podróży bratanku, czas po temu by omówić nowe wyzwania.

- A co do ciebie De Leoua – rzucił cesarz przez ramię – ruszysz wraz z księciem Hatirem. Jeśli nie wywiązesz się z obowiązku jego ochrony, stracisz nie tylko włosy... - kapitan skłonił się nisko i znikł za drzwiami. Cesarz skinął głową na księcia i ten natychmiast wstał zza stołu, idąc za swym władcą. Nim opuścili salę cesarską, znów rozbrzmiały pieśni, a płomienie rozpalily się z ogromną mocą rozjaśniając wnętrze. Hatir z niechęcią opuszczał ucztę, która mogła trwać jeszcze długo. Nie zamierzał jednak wdawać się w jakąkolwiek dyskusję z Fryderykiem... .

\*

Cesarską sypialnię spowijał półmrok. Na ścianach wyłożonych białym dębem, widniały rzeźbione sceny z życia cesarskiego rodu. Poczesne miejsce wśród nich zajmował oczywiście

aktualny lokator komnaty. Naprzeciw drzwi wejściowych, w niewielkim, czarnym kominku, szalał ogień a pośrodku komnaty stało ciężkie łoże. Zamiast materaca, elfi mistrzowie tkaczy utkali prawdziwą pajęczą sieć z cienkich nici jedwabnych, na które nałożono specjalnie wyprawione skóry. Całość osłaniał lekki baldachim, w tej chwili zasłonięty. Nałożnice, które zazwyczaj przesiadywały w sypialni, znikły. Pozostały po nich jedynie dobrze wyprawione skóry z żubra i nieco pachnideł. Przez wąskie okna w grubych murach nieśmiało przeciskało się księżycowe światło. W rogu komnaty stał duży drewniany stół, z fantazyjnie zakręconymi nogami przypominającymi odwrócone rogi byka. Tu właśnie toczyła się dyskusja Fryderyka i jego bratanka. Siedzieli naprzeciw siebie Cesarz z kamiennym spokojem obserwował ogień płonący w marmurowym kominku. Nie przestawali rozmawiać od chwili powrotu z niespodziewanie zakończonego balu. Pomiędzy nimi leżał znakomity manuskrypt opisujący kontynent aż do Wielkiej Pustyni na wschodzie.

- Bratanku – głos cesarza brzmiał spokojnie i zdecydowanie. Hatrir odwrócił wzrok. Wstał i podszedł do kominka wyciągając w jego stronę smukłe dłonie. Wpatrywał się w ogień, słuchając monologu Fryderyka.

- Ruszysz na wschód. Do towarzystwa, prócz twych wojsk, będzie ci gwardia cesarska jak i cesarscy łucznicy. Musisz do Rothret przywieźć głowę Bridharda z Revalion – w miarę jak mówił, głos Fryderyka począł dźwięczeć jak stal – ten bunt musisz utopić w czerwieni krwi. Dłoń podniesiona na elfi ród musi zostać ucięta przy samym ramieniu – Hatrir uśmiechnął się krótko i zjadliwie. Od dawna marzył o sprawdzeniu się w walce. Stąd były jego długie rajdy w puszczy Veren. Ale bandy złodziejasków nie mogły się równać w walce z przeciwnikiem pokroju Besaryjczyków.

- Z ogromną rozkoszą Panie – cesarz odwzajemnił ten uśmiech – zabierzesz ze sobą kapitana Janne de Leoua. Chcę mu dać szansę zmazania swych win, choć nie będzie to proste dla niego – razem pochylili się nad manuskryptem. Doskonałe odwzorowanie wskazywało na robotę elfich mistrzów. Przez całą noc kształtował się plan odpowiedzi na bunt Barthii. Sądząc po reakcji cesarza na wieści de Leoua, wydawało się, że reakcja będzie szybka i nieprzemysłana. Nic bardziej mylnego. Fryderyk I Mściwy często był impulsywny i wtedy objawiały się jego talenty magiczne. Ale w sprawach Cesarstwa Zachodu zawsze zachowywał chłodny umysł. Tak było i tym razem. Wystarczyło spojrzeć na mapę, by zrozumieć, że rebelia Barthii zagraża całej wschodniej części Cesarstwa. Niepokoje mogły stąd promieniować na północ, w lasy Telii jak i



na południe, na żyzne pola Faro i portowe miasta Kaharty. Poprzednia próba zrzucenia jarzma przez królestwa ludzi została łatwo zdławiona w zarodku. Nie ogarnęła większych połaci lądu, gdyż zaczęła się właśnie w Kaharcie. Kupcy nie porwali wszystkich do boju. Barthia, kraj wojowników – mogła. Dlatego plan, który skryształizował się nad ranem, zakładał bezwzględne rozprawienie się z buntem. Siły przeznaczone do jego zdławienia były znaczne. Cesarz niczego nie pozostawiał przypadkowi. Legion wojsk przydzielony księciu miał być tak naprawdę strażą przednią. Na rozkaz cesarza miano zaostriżyć dyscyplinę i wzmocnić garnizony we wszystkich większych miastach królestw Wschodu.

- Wesprą cię również wojska najemne – zakończył Fryderyk. Przez okna wpadały pierwsze promienie słońca, wędrując po ściennych płaskorzeźbach.

- A teraz ruszaj do alkowy. Jutro musisz być już w drodze – cesarz wstał od stołu i podszedł do okna. Jego postać kładła długi cień na podłogę wyłożoną najprzedniejszymi gatunkami drewna. Cesarski bratanek zmęczony pracowitą nocą skinął posłusznie głową i bez słowa udał się do komnat gościnnych. Nawet wdzięki przysłanych na tę okoliczność dwórek nie były w stanie odwieść go od długiego, krzepiącego snu.

\*

Nieba nad stolicą cesarską nie zasłaniał nawet jeden obłok, słońce powoli przesuwało się po niebie. Mimo żaru lejącego się z nieba, na mury Rothret wylegli mieszkańcy. Przybyli wraz z Janne de Leoua żołnierze roznieśli wieść o koronacji Bridharda po całej stolicy. Dlatego z ogromnym zainteresowaniem obserwowali wymarsz armii pacyfikacyjnej. Mieszczanie łaknęły potwierdzenia, że podnosząca się hardo ludzka hydra zostanie ubita, nim zacznie kąsać. Widząc orszak towarzyszący księciu Hatrirowi nie mieli złudzeń, co do losu człowieka – króla. Adamantytowe kolczugi gwardii cesarskiej lśniły w promieniach słońca. Każdy z nich dzierżył wydłużoną lekką, ale wytrzymałą tarczę z herbem cesarza a dłonie trzymały włócznie. Wśród tych przednich wojowników, wielu zdobywało swoje umiejętności podczas poprzedniego buntu ludzi. W równych szeregach jechali niemal sami weterani. Przy głównej bramie, na potężnym czarnym perszeronie siedział sam cesarz i błogosławił armii. Przechodząc obok władcy prezentowali broń. Długie szeregi bitnych gwardzistów prowadził cesarski bratanek z nieodłącznym Garlilem u boku. Najstarsi mieszkańcy stolicy pamiętali już raz taki wymarsz. Gdy Chaos uderzał przez Wielką Pustynię, gdy Złe Ziemie jeszcze dawały plony. Tak jak wtedy

daleko na horyzoncie widniały chorągwie orczych oddziałów najemnych. Nawet doborowa jazda rycerska Barthii nie mogła mieć szans w starciu z taką potęgą. Wśród jadących wyróżniała się wysoka postać mędrca Tasamana de Travoii, zwanego błękitnym magiem. Twarz Maga nie zdradzała żadnych myśli i uczuć, wyglądała jak wykuta z kamienia. Wpatrywał się w przestrzeń przed sobą, nie zwracając uwagi na idących obok gwardzistów.

Rzadki wśród elfów albinos do niedawna przebywał na wyspie magów Arata-hoi. Cesarz dopilnował, by wieść o użyciu broni palnej przez ludzi dotarła do uszu zwierzchnika Wyspy Magów. Pojawił się w Rothret w dniu wymarszu armii księcia Hatrira bez pytania o zgodę ruszył wraz z cesarskim bratankiem. Nie przyjął ofiarowanego mu rycerskiego wierzchowca, zadowolając się niewielkim, karłowatym konikiem.

Patrząc na maszerujące wojsko, błyszczącą broń i dumne spojrzenia wojowników, Fryderyk w duchu żałował, że musi pozostać w stolicy. Chciał zobaczyć tę armię w starciu. Ogromnie ciekawiła go również walka wielkiego maga i buntowników. Po raz pierwszy ludzie w sposób zorganizowany i jawny otwarcie zlekceważyli zakazy zakonu Arata-hoi. Zakazu używania broni palnej, którego nie ośmielił się ominąć sam Cesarz Zachodu. Wynik starcia byłby pewny nawet bez księcia Hatrira i prowadzonej przez niego armii. Jednak negocjacje pokoju, prowadzone pod nieobecność cesarskiego namiestnika mogłyby zaprowadzić rozwijające się wydarzenia w kierunku, który nie odpowiadał cesarzowi. Pośród pól widniały tysiące ludzi chłopów, którzy leżeli plackiem na widok setek elfich wojowników. Nie chcieli ryzykować. Żaden nie został ugodzony ani sponiewierany jak to onegdaj bywało. Traktem maszerowała zdyscyplinowana armia, uskrzydłona celem, nie zwracająca uwagi na sparaliżowany strachem ludzki motłoch... .

## KSIĘŻNA

Bezkresna puszcza ciągnęła się aż po horyzont. Wiatr poruszał koronami potężnych drzew, które tworzyły zielony kobierzec falujący na podobieństwo oceanu. Kilka ptaków o szerokich skrzydłach kołowało nad leśną głuszą. W promieniach zachodzącego słońca pióra skrzyły się jasną bielą. Miarowo poruszały skrzydłami, bacznie rozglądając się wokół. Nagle jeden z nich zwinął skrzydła i pomknął w dół, wprost w zieleń listowia. Przebił je a liście zasłoniły przejście na podobieństwo morskiej wody. Po chwili wyłonił się ponownie a w potężnych pazurach bezradnie szarpał się niewielki królik. Szybko zapadający zmierzch zasłonił widok uczt skrzydlatych drapieżników. Niżej, pod ogromnym baldachimem z liści tysiącletnich drzew zabłyśły pierwsze światła. Przyciągały wzrok stając się coraz bardziej jedynymi jaśniejszymi punktami na tle rozciągającej się wokół ciemności. Ognie łuczyw nieregularnym płomieniem oświetlały prastary, drewniany dwór. Wysoka palisada zbudowana z ciemnych, równo uciętych bali zaostrzonych na końcu, zdobiona była delikatnymi płaskorzeźbami. Wydawały się lekko zarysowane a jednak przykuwały wzrok. W pełgających odbiciach płomieni oświetlających wnętrze dworu wydawały się poruszać. Wydawały się idealnym połączeniem elfiej i ludzkiej sztuki. W istocie, ich twórcami byli amieńscy mistrzowie, pogardliwie zwani przez elfi ród „mieszkańcami”. Po obu stronach szerokiej bramy wejściowej w system obronny wpleciono dwa potężne dęby o tysiącletniej historii. Na krańcach potężnych, przyciętych konarów zabłyśły oliwne latarnie. Ich blask rozpraszał potężniejszy mrok. Skrzypnęły potężne wrota głównej bramy, pchane przez kilku osiłków, opancerzonych od stóp do głów, zamykając dostęp do wnętrza dworu. Dobiegała stamtąd cicha, ale wesoła muzyka. Połączone rytmy dzikiej radości ludzi i doskonałości elfów. Przy rozpalonych na szerokim podwórzu ogniskach w zapamiętaniu wirowało kilkanaście par. elfy i ludzie razem. A wśród nich mieszkańcy obu ras zwani w Wielkiej Puszczy amienami. Ognie trzymany w dłoniach tancerzy łuczyw, oświetlały stary, kilkusetletni dwór. Każdy jego , nawet najdrobniejszy element, wykonany został z niezwykłą dbałością o szczegóły. Każdy kolejny właściciel dworu dodawał coś od siebie. Przepiękne zdobienia fasady nawet jak na elfią robotę robiły wrażenie. W migającym świetle płomieni wydawało się, że rzeźbione liany wspinają się jak żywe na szeroki, drewniany balkon. Oplatały go niczym węże. Stanowiły też podparcie dla dwóch sylwetek widniejących na nim w słabym świetle ognisk. Jedną z nich, masywna i barczysta należała do Bridharda z Ravalion.

Wpatrywał się w ogień, kryjąc w kanciastych dłoniach smukłą, niemal przezroczystą dłoń stojącej obok elfki. Przy swym towarzyszu wyglądała na drobną i niezwykle delikatną. Długie, czarne włosy okrywały ramiona przepięknej kobiety. Ogromne, błękitne oczy utkwiała w twarzy człowieka.

- Ukochany, mogliśmy ukryć się tutaj. Żyć naszym życiem – Bridhard smutno się uśmiechnął wskazując na tańczących. Ogień odbijał się w jego oczach, w których czaił się strach o najbliższą sercu osobę. Bridhard dostrzegł ten niepokój, ale mimo to powiedział, wskazując dłonią na dziedziniec.

- Gabrielo, spójrz na tę radość. Patrz jak roztaczasz ją wokół siebie. A ja nie chciałem, by pozostała ukryta. My jesteśmy żywym dowodem, jak może wyglądać cały kontynent, cała Dicua. Wpatrywali się przez moment w festiwal radości, gdy dziewczyna odezwała się cichym, smutnym głosem.

- Utraciłeś brata – na twarzy elfki pojawiły się niepasujące do elfiego opanowania łzy. Człowiek westchnął głęboko i wbił wzrok w ciemność ponad płonącymi ogniskami. Iskry lecące w ciemne niebo sprawiały wrażenie szlaku gwiazd. Nikt jeszcze nie dotarł do Barthii z wiadomością o śmierci Rolanda, ale Gabriela nigdy się nie myliła w swych przewidywaniach. Poczul na policzkach jej smukłe, chłodne dłonie. Niosły ukojenie, wnikające głęboko w umysł. Bridhard bezwolnie zamknął oczy. Czuł jak dłonie ukochanej prowadzą w głąb dworu. Cichły śpiewy i śmiech. Zatracił się w niej całkowicie, dając choć na chwilę wytchnienie skołatany nerwom.

\*

Ranek przywitał stary dwór delikatną mgiełką. W poranną ciszę wdarł się wesoły świergot ptaków. Z nocnej zabawy pozostało pięć nieregularnych, czarnych plam znaczących miejsca, w których nocą płonął ogień znaczących dziedziniec. Za palisadą dworu wszczął się ruch. Skrzyknęły szerokie skrzydła bramy i powoli się otworzyły. Za nimi widniał zbierający się oddział zbrojnych. Wśród nich wielu ludzi z elfimi rysami twarzy. Zarówno przybysze, jak i mieszkańcy dworu, którzy wybierali się w podróż wraz z królem Barthii wdziewali zbroje i przysposabiali konie do długiej jazdy. Zaledwie kilku miało na sobie ciężkie zbroje płytowe. Większość posiadała amieńskie zbroje łuskowe, które szeleściły cicho, gdy ich właściciele poprawiali uprząż i sprawdzali ekwipunek. Wszyscy mieszkańcy dworu wylegli na dziedziniec by

pożegnać idących w bój. Wśród wojowników pojawił się Bridhard z zaciętą, chmurną twarzą. Oslaniała go znakomita zbroja naprawiana we dworze od zeszłego roku. Na łuskach okrywających tułów króla widniały miniaturowe herby i totemy księstw i plemion Wielkiej Puszczy. Jej właściciel cieszył się zawsze poparciem całego leśnego ludu. Bridhard doceniał wartość udzielonego poparcia, wszędzie wokół widział ufne twarze a inne zmartwienie zaprzętało mu umysł. Przez połowę nocy próbował namówić Księżną na podróż do Revalion. Gabriela zbyła te prośby z rozbrajającym uśmiechem. W murach miasta czułaby się obco. Cóż mogło jej grozić w głębokiej puszczy, w otoczeniu przyjaznych amieńskich plemion, wśród dzikich zwierząt? Mimo zagrożenia, którego obawiał się Bridhard nie zamierzała przenosić się w bezpieczniejsze okolice. Księżna stała teraz na balkonie w długiej, zwiewnej sukni, obserwując ukochanego, który na czele oddziału wojowników opuszczał przytulne kąty dworu. Król Barthii uniósł dłoń w geście pożegnania. Gabriela pomachała swą chustą uśmiechając się szeroko. Bridhard ruszył pierwszy, za nim całą grupą pozostali jeźdźcy. Patrzył jeszcze przez chwilę wprost w oczy uśmiechniętej Gabrieli, po czym odwrócił się. Chwilę później znikł za wysokimi zaroślami, porastającymi jedyną, wąską ścieżkę prowadzącą do dworu. Oddział jadąc powoli znikł w kniei a uśmiech znikł z twarzy Księżnej a przepiękna twarz ściągnęła się, ukazując głęboki smutek. Nie wszystko opowiedziała Bridhardowi. Nie mogła. Przyszłość, którą ujrzała w swej wizji była zbyt koszmarna. A tylko ona miała szansę ją zmienić. Musiała to zrobić... .

\*

Zgiełk kolumny wojowników płoszył ptaki. Z obu stron piaszczystego gościńca Zwierzyna uciekała w las niczym przed ogniem. W powietrzu niósł się kurz unoszony setkami zgodnie uderzających stóp obutych w ciężkie skórzane buty. Słońce paliło z czystego, bezchmurnego nieba niemiłosiernie. Miedzianokóre stworzenia o wzroście człowieka szły zwartą grupą, przekrzykując się w swym dziwnym, skrzekliwym języku. Pod grubą skórą prężyły się mięśnie. Gdzieniegdzie przebłyskiwały żelazne pancerze, ale większość nosiła twarde, skórzane kaftany, nabijane ćwiekami. Sękaty łapy dzierżyły topory i krzywe, potężne szable. Było ich z pięciuset. Blizny pokrywające ich ciała i wyczyszczona, naostrzona broń wskazywały na weteranów. Za nimi ciągnęła się cała kolumna wozów. Przodem szedł posiwiwały już osobnik, w nie mniejszym stopniu umięśniony niż jego młodszy podwładny. Uniósł wielką, szeroką dłoń w górę. W świetle słońca błysnęły pazury. Jego suchy, skrzekliwy rozkaz osadził całą kolumnę w

miejscu. Niemal natychmiast wozy idące z tyłu zatoczyły koło, zostawiając jedynie pojedyncze szersze miejsce. Część wojowników natychmiast ruszyła w las, znosząc świeżo ścięte drzewka i chrust. W ciągu niecałej godziny wokół wozów pojawiła się niska palisada złożona z krótkich, sękatych bali. Dopiero wówczas w kręgu stworzonym z wozów pojawiły się szałas i zapłonęły niewielkie ogniska. Słońce już nisko stało na niebie, płonąc czerwoną poświatą na horyzoncie, gdy na trakcie pojawili się elfijscy gwardziści, a wśród nich wysoka sylwetka cesarskiego bratanka – księcia Hatrira, prowadzącego zaciekłą dysputę z jadącym obok baronem Garlilem. Orki stojące przy palisadzie, widząc nadjeżdżających, sprezentowały halabardy. Hatrir oderwawszy się od rozmowy, skinął głową krótko i z chłodnym wyrazem twarzy wjechał do środka, zatrzymując się pośrodku kręgu stworzonego z wozów. Z uznaniem rozejrzał się po naprędce przygotowanym obozowisku. Bez wątpienia, cesarz przydzielił mu doświadczonych najemników. Podczas dwumiesięcznej podróży ani razu nie zdarzyło im się przenocować w słabo chronionym obozowisku. Za każdym razem Orki Odela – Tara był w stanie przygotować miniaturową twierdzę na długo przed tym, nim dotarli doń gwardziści. Baron Garlil w przyplwywie zazdrości zwykł gderać, że Odel jest pierwszym orkiem magiem. I tylko tym, nadnaturalnym umiejętnościom zawdzięcza taką sprawność swoich żołnierzy. Hatrir z westchnieniem ulgi zeskoczył z wierzchowca, oddając go pod opiekę jednego z podróżujących z nim służących. Ten akurat był wychudłym niskim człowiekiem. Książę nie zaszczycił go jakimkolwiek gestem, spoglądając ku największemu ognisku. Tam, na jednej z beczek siedział potężny ork o siwych włosach. W szerokiej łapie trzymał rachityczną fajkę, z której raz za razem wypływały obłoczki białego dymu. Widząc księcia, wstał ociężale i trzymając fajkę schylił się lekko. Potężna szczęka, z której wystawały dwa kły, rozchyliła się lekko w drapieźnym uśmiechu.

- Witaj Hatrrrrrrze – warknął Odel i usiadł z powrotem. Elfi książę nie odwzajemnił uśmiechu i z chłodnym spokojem uniósł dłoń w pozdrowieniu. Giermkowie właśnie rozkładali jego namiot. Książę ogarnął wzrokiem rosnące wokół namioty gwardii i wszedł do swego namiotu jak tylko służba ustawiła główny maszt, odprowadzany drapieźnymi spojrzeniami orków. Cesarski bratanek z ulgą zanurzył się w chłodnym cieniu jedwabi. Służba widząc niezadowoloną minę swego władcy, dwoiła się i troiła, by jak najszybciej zniknąć z książęcego namiotu. Hatrir nie zwracając na nich uwagi usiadł wygodnie w fotelu i zamyślił się. Zasłony zasześciły, gdy majordomus pośpiesznie opuścił namiot. W otworze wejściowym dało się

zobaczyć kilku potężnych orków. Księżę spoglądając na nich, pokiwał głową przyzymkając oczy, mimo niesamowitej sprawności w boju nie przepadał za towarzystwem wojowników Odela-Tara. Podobnie jak większość elfów uważał orki za pół-zwierzęta. Za drapieżniki, które dziwnym zbiegiem okoliczności nauczyły się mówić i jak zwierzęta, bywały nieprzewidywalne. Drażnił go ich zapach, szorstkie, nieokrzesane zwyczaje. Tak naprawdę potrzebni byli tylko i wyłącznie do bitwy.

Rozmyślania księcia przerwał szelest. Hatrir poczuł zniechęca bliżej nieokreślony niepokój i otworzył oczy. Dostrzegł sunącą ku niemu wysoką, chudą postać. Okrywał ją ciemny, budy habit a twarz osłaniał szeroki kaptur. Tylko jedna osoba towarzysząca wojownikom ubierała się w ten sposób i nie przestrzegała zasad dworskiej etykiety. Księżę miał już dość zwierzchnika wyspy magów, bądź co bądź wasala Cesarza. Czas był już by dać nauczkę zadufanemu suchotnikowi.

- de Travo!... – Zaledwie zaczął księżę, ale głos uwiązł mu w gardle. Przez przerażająco długą chwilę trwała cisza. Hatrir nigdy dotąd nie czuł się tak dziwnie. Mag zsunął kaptur na ramiona. Hatrir zafascynowany spoglądał na długie, siwe włosy ponad tysiącletniego elfa. Głębokie zmarszczki – rzecz niezwykła nawet przy wieku Tasamana znaczyły wysiłek i pozostałości po obcowaniu z siłami wyższymi. Teraz wycedził przez zaciśnięte usta.

- Nigdy więcej nie zwracaj się do mnie inaczej niż Mistrzu – każde słowo sprawiło Hatrirowi niewyobrażalny ból. Przy ostatnim, kilka ciężkich kropli niebieskiej krwi kapnęło wprost z kącika smukłych ust księżęcych. Młodego i świetnego wojownika na moment opanował wprost zwierzęcy strach, gdy jednokolorowe ciemne oczy Maga spojrzały wprost w jego oczy i sięgnęły do głębi jestestwa księcia. De Travo! odwrócił wzrok i Hatrir odzyskał wolę w dłoniach. Zaczepnął kilka szybkich oddechów, jak po długim biegu. Mag stał nieruchomo, zbierając myśli. Nie zwracając uwagi na chwiejącego się na miękkich nogach księcia mówił dalej, a każde słowo brzęczało stalową przerażającą wolą maga.

- Teraz słuchaj uważnie młodziku – głos Tasamana wwiercał się w umysł niczym bolesny kolec, wbijający się raz za razem.

- Ruszam dziś na południe. Do towarzystwa dasz mi swoich mieczników – słowa maga zdumiały cesarskiego bratanka. Słowa Wielkiego Maga wyrażały rozkaz wydany władczym tonem. To była pierwsza rozmowa z namiestnikiem Wyspy Magów, jakże odmienna od tej, którą sobie wielokrotnie wyobrażał. Zamrugał oczami w geście zaskoczenia.

- Nie rozumiem, przecież buntownicy pustoszą północne krańce królestwa... - Przerwał czując zbliżającą się falę bólu.

- Nie każe ci rozumieć chłopcze – twarz maga wykrzywił sarkastyczny uśmiech – nie trać mego czasu. Wyruszę zanim słońce skryje się za puszcza – de Travo! odwrócił się i opuścił namiot Hatrira. Dopiero teraz cień przesłaniający umysł księcia znikł. Okowy, które spadły nań tak niespodziewanie, znikły i książę odetchnął głęboko. Teraz dopiero zrozumiał, co miał na myśli sam cesarz, mówiąc o wygranej wojnie, gdy Wielki Mag przybył do stolicy cesarstwa. Przypomniał sobie kilka niewybrednych żartów, które opowiadał ze znajomymi i skóra mu ścierpła. Zrozumiał, że Mag o wszystkim wiedział, wszystko słyszał. Tytuł Wielkiego Maga i zwierzchność nad Arata-hoi, Wyspą Magów, nie otrzymał bezpodstawnie. Wierzchem dłoni otarł krople błękitnej krwi z kącików ust i pot, który zrosił smukłe czoło. Dostrzegł jak jedno ze skrzydeł wejścia odchyliło się i ukazała się w nich zaniepokojona twarz Garlila.

- Wszystko w porządku książę? – Badawczo spoglądał na Hatrira. Dopiero teraz nienaturalna bledź ustępowała z twarzy. W dłoni książę trzymał chusteczkę haftowaną złotymi nićmi, poplamioną błękitną krwią. Baron zauważył ją i w jego oczach zabrzmiało pytanie.

- A jakże mój Garlilu – odpowiedział słabo cesarski bratanek, co jeszcze wzmogło niepokój towarzysza.

- Czego chciał nasz samotnik? – Hatrir ostro spojrział na mówiącego, mając w pamięci ból w umyśle jaki zadał mu mag.

- Przygotuj oddział mieczników do wymarszu. Ruszysz na ich czele wraz z Mistrzem – baron aż usiadł na szerokiej skrzyni, w której Hatrir przechowywał swój dobytek. Uniósł w górę gładkie łuki brwi.

- Jeśli jest mistrzem, po co mu nasi ludzie... – przerwał, gdy książę podszedł do niego gwałtownie i syknął.

- Nie dyskutuj. – warknął książę, co nigdy dotąd mu się dotąd nie zdarzyło w stosunku do przyjaciela i dodał chrapliwym głosem.

- Przygotuj się i ruszaj natychmiast – Garlil wstał pośpiesznie i skinął głową. Nie spotkał się wcześniej z taką reakcją przyjaciela, dlatego wołał nie ryzykować i szybko opuścił namiot. Po chwili Hatrir usłyszał jego rozkazy wypowiedane silnym i pewnym głosem. Przez moment poczuł się zagubiony niczym jagnię pośród ciemnej puszczy w bezksiężycową noc. Potrząsnął głową i westchnąwszy, klasnął w dłonie. W namiocie niemal natychmiast pojawiło się dwóch



służących – ludzi.

- Szykować posłanie, ino chyżo – widząc zły humor swego pana, dwoili się i troili oby tylko szybko rozłożyć skromne umeblowanie namiotu. Nie przeszkodziło to zadaniu im kilkunastu razów przez księcia. Zazwyczaj nigdy tego nie czynił ale kontakt z umysłem Tasamana, choć chwilowy, wytrącił cesarskiego bratanka z równowagi. Swój gniew wolał wyładować tu, gdy nie widzieli tego żołnierze a zwłaszcza orkowie. Z namiotu wyszedł dopiero gdy słońce wysyłało ostatnie promienie. Wokół wozów wyrosła w tym krótkim czasie palisada, wzmocniona linami. Przy wyjściu z obozu stało trzydziestu mieczników. Każdy z nich, w pełnym uzbrojeniu. Część miała przy koniach troczone juki. Przewidujący Garlil zaordynował zabranie przynajmniej podstawowych zapasów. Tuż przed nimi stała wysoka, chuda postać de Travoi. Głęboko nasunięty kaptur nie pozwalał stwierdzić w którą stronę spogląda, ale Hatrir nie mógł pozbyć się przerażającego wrażenia, że wie o każdej jego myśli. Zwłaszcza krytycznej wobec Wielkiego Maga, które podsuwały mu się same. Przez jedną, przerażającą dla księcia chwilę, kaptur maga zwrócił się wprost na niego. Hatrir wstrzymał na moment oddech, jak gdyby mogło go to uchronić przed umysłem Tasamana. Do stojącego przed namiotem księcia podjechał Garlin, co odwróciło uwagę Hatrira od mrocznej postaci maga. Blask ostatnich promieni słońca odbijał się w załamaniach zbroi Garlila, gdy ten pochylił się lekko, witając swego władcę. W oczach barona czało się wielkie pytanie. Hatrir nie rozwiązał wątpliwości swego przyjaciela. Zamiast wyjaśnień, rzekł krótko.

- Garlilu, od tej chwili słuchasz Mistrza de Travoi we wszystkim, co tylko wam rozkaże. Od tego nie ma odwołania – skinął dłonią w pożegnalnym geście. Garlil skłonił się nisko, odpowiadając służbiście.

- Co tylko rozkażesz panie! – Odwrócił wierzchowca i ruszył truchtem a za nim jego oddział. Orki natychmiast zatrzasnęły wejście, jak tylko miecznicy opuścili obozowisko. Na palisadzie zabłyśły latarnie burzowe i kilka smolnych łuczyw. Miecznicy skryli się w szybko zapadającym mroku. Księżę odprowadzał ich tęsknym wzrokiem. Sam wywodził się z prastarego rodu mieczników – władców mieczy jak o nich mówili. Teraz odchodzili wraz z potężnym magiem na południe. Perspektywa odejścia bitnych żołnierzy nie zakłóciła snu księcia. Wkrótce po ich wyjeździe zaszył się w namiocie, chroniony przez orczych najemników.

Gabriela obudziła się. Czuła ogromny niepokój. W izbie panował mrok. Dookoła panowała cisza. Wszystko wydawało się znajome i uspokajające a jednak nie potrafiła się pozbyć rosnącej nerwowości. Smukłe dłonie złożyła na delikatnym czole i zamknęła oczy. Wydłużone, niemal idealne wargi zacisnęły się, gdy elfia Księżna skupiła umysł. Prastary dwór był bezpieczny. Wyczuwała byty mieszkańców. Żaden nie był zaniepokojony. Część spała snem sprawiedliwego, a młynarka z kuchmistrem... – usta Gabrieli rozchyliły się na moment w pobłażliwym uśmiechu. Jej umysł powędrował dalej. Poza palisadę. Kilka zwierząt a zwłaszcza sowy, powitały ją pohukiwaniem, dostrzegając obecność zwiewnej istoty. Gabriela odetchnęła z ulgą. Już miała zawrócić, ale przypomniała sobie o ścieżce do traktu. Chciała powędrować śladami ukochanego gdy natknęła się istoty podążające wąskim szlakiem. Zaciekawiona i zaniepokojona zbliżyła się do szlaku, budząc kilka śpiących ptaków. Spoglądała z góry na jadących powoli jeźdźców. A wśród nich... . Nagła ciemność ogarnęła przerażony umysł Gabrieli. Z wewnętrznym krzykiem próbowała się wycofać czując jak palce ciemności drapieżnie wdzierają się do jej duszy. Usłyszała potępięcze jęki i kościste dłonie wysuwające się z ciemności. Zrozumiała, że pozostało jej mniej niż jedno uderzenie serca. Przed oczami stanął jej Bridhard i jego oddanie. Żelazny uścisk morderczego mroku zelżał na moment. Gabriela wykorzystwała to uciekając wiotkim umysłem przez ostatnią szczelinę, pozostawioną w całunie ciemności. Pędząc nad ścieżką słyszała ścigające ją słowa. Przerazające zaklęcia przywołujące ciemność. Frazy, które nigdy nie powinny być wypowiedziane. Czuła nienawiść i nicłość próbujące zawładnąć jej duszą. Już widziała palisadę dworu. Przemknęła nad nią wprost nad swe nieruchome ciało. Na chwilę przed powrotem poczuła silne szarpnięcie. Rozdarcie spoistości świata niczym smagnięcie bata uderzyło w jej duszę. I wtedy Gabriela otworzyła oczy i powoli opuściła drżące dłonie. Na czole pozostały ślady po paznokciach a po wiotkim ciele spływał pot. Dostrzegła w drzwiach postać niskiej i krępej dwórki o imieniu Teani. Zaniepokojona amienka odgarnęła krótkie, czarne włosy z czoła i wpatrując się w poszarzałą nagle twarz księżnej zapytała chropowatym głosem.

- Pani, krzyczałaś – Gabriela pokiwała ciężką jak kamień głową. Z wysiłkiem wyszeptała.

- Wody – opadła na szerokie łoże. – Wezwij kapitana Krigara. Szybko! – Dwórka jak błyskawica pognęła na dół. Elfia Pani jak przez sen słyszała jej energiczne okrzyki. Chwilę później w komnacie pani dworu pojawił się krępy człowiek o twarzy naznaczonej bliznami, w towarzystwie Teani oraz dwójki panien służebnych. Światło przyniesionych latarni wyluskało z

mroku delikatną twarz Gabrieli. Przez prawy, alabastrowy policzek biegła krwawa pręga. Spoglądała na poddanych półprzytomnymi oczami.

- Uciekajcie mili moi, ciemność się zbliża – ledwie dało się słyszeć jej szept. Teani podeszła do swej pani i podała jej kielich źródlanej wody. Księżna wypła ją jednym haustem. W jej matowych oczach pojawił się blask.

- Pani, nie zwykłem porzucać najbliższych – powiedział mocnym głosem człowiek. Poruszył się i zbroja łuskowa, którą był okryty, zaszczękała. Powiedział głośniej.

- Jakem Krigar, zostanę przy Tobie i pierwej szczenę, niż pozwolę na twą krzywdę – ukląkł na prawe kolano z chrzęstem zbroi i pochylił głowę.

- Zbliża się zagrożenie – głos Gabrieli był mocniejszy. Księżna nabierała sił w oczach – przygotujcie obronę kapitanie. I nie miejcie zbyt dużej nadziei. – Jedna z panien służebnych pobladała. Nigdy nie słyszała podobnych słów z ust swej pani.

- Teani – zwróciła się doń księżna siadając na łożu – przygotujesz mi natychmiast wywar z zioła Rassapunki. Potem ukryj się wraz ze służbą. – Amienka pobiegła na dół. Nie potwierdziła ostatnich słów swej pani, co miała w zwyczaju. Za nią pobiegły panny służebne. Krigar skinął krótko głową w stronę księżnej i spokojnie, bez pośpiechu podążył na dół. Jego twarz, przeorana bliznami, pokryta krótkim, szpeciniastym zarostem nie wyrażała ni krzty strachu. Zszedłszy na dół i rozejrzał się. Oliwne lampki ledwie się tliły a w tym lichym oświetleniu dało się rozróżnić długie ławy i stoły, przy których spało kilkanaście postaci. Krigar chwycił za jedną z lampek i przytknął do łuczyw ułożonych w uchwyty przy ścianach. Zapaliły się silnym światłem a wtedy kapitan zawołał gromkim głosem.

- Wstawać opoje. Przed nami bitwa – ostry, gwałtowny ton głosu obudził wszystkich w izbie, nawet Grubego Loreta, który kładąc się spać, był nie do obudzenia. Teraz zerwał się na swe krótkie, krzywe nogi. Nie zadając pytań, rzucili się do koszar. We dworze zabłyśły łuczywa i na dziedzińcu zrobiło się jasno jak w dzień. Okrzyki żołnierzy mieszały się z tumultem jaki czyniła służba. Na palisadzie pojawili się wojownicy w pełnym uzbrojeniu. Hałas zaczął cichnąć. Krigar zdążył wspiąć się na wieżę obserwacyjną i spojrzeć w stronę ścieżki prowadzącej do traktu. Mimo ciemności dostrzegł pojedynczą sylwetkę, która wyszła z kniei. Serce podskoczyło mu do gardła mimo, że nie dostrzegł przy wysokim nieznajomym ani jednego blasku zwiastującego broń. Czuł rosnący niepokój z każdym krokiem przybysza. W nikłym świetle gwiazd widniał ledwie zarysowany budy habit skrywający nieznajomego. Powoli płynął w stronę

głównej bramy. Jego widok był wręcz hipnotyzujący. Krigar potrząsnął głową i spojrzał w stronę dworu. Kilka ciemnych postaci ostrożnie zsuwało się po gonce w dół. Natychmiast zapomniał o nadchodzącym mnichu. Chwycił kuszę i szybko naciągnął cięciwę. Szybciej niż mgnienie oka przyłożył ją do ramienia. Bełt ze świstem pomknął w dół, nim towarzyszący Krigarowi wojownik wszczął alarm ale było już za późno. Nieznani napastnicy zeskoczyli na szeroką werandę a cel kapitana w niewiadomy sposób zdołał uniknąć trafienia, nie racząc nawet spojrzeć w stronę skąd padł strzał. Wszędzie dookoła, na palisadzie poczęły pojawiać się wrogie sylwetki w nienawistnych, cesarskich barwach. Rozgorzała zacięta walka ale napastnicy górowali nad obrońcami wyszkoleniem, wygrywając kolejne pojedynki.

Księżna leżała z zamkniętymi oczyma. Wydawało się, że ziele Rassapunki, zamiast jej pomóc, pogrążyło ją w otchłani snu. Krzyk służącej przywrócił Gabrieli przytomność umysłu. Natychmiast wyczuła niebezpieczeństwo. Obróciła głowę w prawo i dostrzegła w drzwiach werandy ciemną, smukłą, elfią postać. W obu dłoniach błyszczały dwa ostrza. Księżna wysunęła przed siebie dłoń i skupiła umysł. Nim napastnik zdołał wykonać jeden krok, potężna siła wyrzuciła go przez szeroką werandę. Trzasnęły rzeźbione belki poręczy i elf z krzykiem spadł w dół. Gabriela na miękkich jeszcze nogach poderwała się z łoża, gdy w komnacie pojawiło się kolejnych dwóch mieczników. Z krzykiem ruszyli do ataku, ufając swej prędkości. Oczy księżnej zwęziły się a z twarzy znikł wyraz łagodności. Smukłe dłonie wykonały dwa szybkie gesty i pierwszy napastnik poszybował pod sufit, uderzając w niego z ogromną siłą. Drugi niemal dotarł do zwiewnej elfki na odległość miecza, gdy ta zacisnęła niewielkie pięści i przeciwnik padł na kolana u jej stóp, chwytając się za głowę. Spomiędzy zaciśniętych pięści, osłoniętych pancernymi rękawicami popłynęła błękitna krew. Na schodach zabrzmiał tupot nóg i chrzęst kolczugi. Księżna obróciła się, by ujrzeć wbiegającego Krigara. Chwilową radość w jej oczach zgasił ogromny niepokój jej duszy. Zbladła, czując nadciągającą nicość i te same frazy, przed którymi dziś uciekała. W rozbitych drzwiach prowadzących na werandę pojawiła się postać w habicie. Gabriela natychmiast obróciła się przodem do przybysza. Rozłożone szeroko palce dłoni przycisnęła do czoła. Teani, która niepomna na nic stała tuż obok swej pani, trzymając w rękach nóż kuchenny, wydawało się, że zapadła cisza. Ciemność w sypialni zgęstniała. Służka nie patrząc na nic, z krzykiem ruszyła w stronę przeciwnika. Na jej drodze błyskawicznie znalazł się jeden z elfich mieczy. Amienka nie zdążyła się zatrzymać. Wpatrując się ze zdumieniem w wystającą z brzucha rękojeść upadła z jękiem na podłogę. Niemal jednocześnie świsnął bełt

kuszy, dosięgając burego habitu. Nie widząc efektu swego strzału, Krigar wysunął się z postaci księżnej i ruszył do ataku. Mijając ją, kątem oka dostrzegł cienką strużkę krwi płynącej z ust Gabrieli i jej twarz wykrzywioną wysiłkiem. Walczyła z całych sił i nie wyglądało na to że wygrywa. Kapitan chciał choć trochę jej ulżyć. Wzniósł miecz do ciosu i dopiero teraz zakapturzona postać zwróciła nań swą uwagę, gdy pozostały zaledwie dwa kroki. Nagle nogi zaczęły ciążyć kapitanowi niczym dwa potężne głazy. Precyzyjnie wymierzone pchnięcie chybiło celu, ale zdekoncentrowało samotnego napastnika. Tą chwilę zawahania wykorzystała księżna, unosząc w powietrze szerokie łoże. Jej ręce, nadal przytknięte do głowy naprężyły się i ten improwizowany pocisk trafił w przeciwnika. Ciężki mebel pociągnął go ze sobą na podwórze. Niemal jednocześnie Gabriela z jękiem upadła na kolana, pośród własnej krwi. Oddychała szybko i ciężko jak po długim biegu. Krigar błyskawicznie znalazł się przy swej pani, nie czując już potwornego ciężaru przytwierdzającego go do podłogi.

- Pani? – podźwignął leżącą z podłogi. Księżna miała półprzymknięte oczy. Szeptęła niemal bezgłośnie.

- Uciekaj. On zaraz wróci... – Krigar zacisnął zęby i wtem przypomniał sobie o swym ojcu i jego przekazie. Ułożył półprzytomną Gabrielę na deskach podłogi i pomknął jak strzała do sąsiedniej izby. Jednym ruchem zrzucił ozdobne kilimy leżące na szerokiej skrzyni, które upadły na podłogę z głośnym hałasem. Na dole rozgorzała walka. Kapitan czując, że liczą się chwile, przechylił rodowy kuferek a pamiątki i klejnoty potoczyły się po podłodze. Na samym spodzie widniała drewniana szkatuła. Krigar chwycił ją i otworzył wypowiadając jak mantrę trzy słowa elfiej prastarej mowy, tych których nauczyła go Gabriela. Szkatuła zajaśniała na moment blaskiem i ze skrzypieniem otworzyła się. Na schodach rozległ się bojowy wrzask Loreta i tępe uderzenia toporem. Kapitan chwycił za broń leżącą w szkatule i odrzucił niepotrzebne już drewniany kuferek. Pobiegł z powrotem do leżącej księżnej i dostrzegł szerokie plecy współtowarzysza z zamachem zadającego ciosy niewidocznemu przeciwnikowi. W ostatniej chwili Krigar skontrolował mieczem nadlatujące cięcie, które rozplątałoby Loretowi głowę na dwoje. Widząc już napastnika, Krigar zadał drugie uderzenie, które raniło szturmującego poniżej miecznika w twarz. Elf zwinął się i stoczył po schodach. Kątem oka kapitan dostrzegł zakapturzoną postać wpływającą ponownie do komnaty przez rozbite drzwi werandy. Księżna ostatkiem sił uniosła dłoń w górę, ale potężna siła odrzuciła z hukiem jej ciało pod ścianę. Krzyknęła rozpaczliwie, gdy nicość zacisnęła się na jej umyśle i upadła jak worek kartofli,

bezwładnie. Kapitan z kamienną miną odwiódł kurek trzymanego w lewej dłoni karabinu skałkowego. Pamiętał, jak w najgłębszej tajemnicy ojciec pokazał jak się posługiwać tą bronią. Ten jeden raz wystarczył. Huknął strzał i postać Krigara spowił dym czarnego prochu. Takiego zagrożenia napastnik się nie spodziewał. Ołowiana kula trafiła niemal w sam środek klatki piersiowej. Trafiony mag zakręcił się w miejscu i upadł bez jęku. Słyszac szybkie kroki, Krigar obrócił się i dostrzegł Grubego Loreta, który odrzucił trzymany w rękach skrwawiony oręż i podbiegł do leżącej bezwładnie Gabrieli. Kapitan spojrział na przerażoną twarz podwładnego, który swego czasu bez zmrużenia oka stawiał samotnie czoło dwóm rozwścieczonym niedźwiedzim. Na jego drżących dłoniach bezwładnie leżała Pani Leśnego Dworu. Lekko rozchylone usta i lodowate czoło wskazywały na śmierć księżnej. Krigar i Loreto wpatrywali się tępo w ciało swej chlebobawczyni, gdy usłyszeli kroki. Jak na komendę, obaj odwrócili się w stronę schodów, gdzie pojawiła się smukła i wysoka postać elfiego wojownika. Od razu widać było jego rangę. Nawet w ciemnościach, pancerz pobłyskiwał swymi rzeźbieniami. W dłoniach dzierżył dwa reńskie miecze pokryte runami jarzącymi się w mroku.

Krigar odrzucił karabin z dymiącą jeszcze lufą. Loreto delikatnie położył ciało Gabrieli i wstał podnosząc oręż z podłogi. Po jego okrągłej twarzy płynęły dwie strużki łez. Obaj, jak na dany znak, ruszyli na przeciwnika. Ten gładko usunął się szarżującym z drogi, zwiernie odskakując w tył. Spokojnie spoglądał na obu wojowników dyszących żądzą zemsty.

- Jam jest baron Garlil – odezwał się śpiewnym głosem, bez cienia zdenerwowania. – Złóście broń, albo sześńiecie. – Ostrza mieczy zatoczyły powolne koła. Twarz barona wykrzywił pogardliwy uśmiech. To przepełniło czarę. Loreto z rykiem zaatakował elfa. Świsnęło ostrze topora, zrywając jeden z misternie zdobionych naramienników Garlila. Jednocześnie zaatakował Krigar. Mimo wściekłości zalewającej umysł wiedział, że tylko we dwóch mają szansę. Jego miecz niemal sięgnął barona. Niemał. Garlil obrócił się jak fryga, unikając ciosu toporem a jeden z jego mieczy niemal odciął głowę Loreta. Jednocześnie drugie ostrze skrzesało iskry, gdy skontrowało uderzenie Krigara. Już bez uśmiechu, elf cofnął się błyskawicznie, pozwalając by ciało zabitego upadło u jego stóp. Skontrował kolejny atak Krigara. Przez moment spoglądali sobie w oczy po czym Garlil zaatakował. Kapitan zdołał skontrować jedno ostrze. Drugie przeszło na wylot gardło człowieka, który z gulgotem upadł na kolana. Baron oparł stopę na ramieniu śmiertelnie rannego i z pogardą odepchnął go, wyciągając ostrze. Czerwona krew chlusnęła na jasne deski podłogi, gdy umierający Krigar upadł bezwładnie na plecy. Garlil

spokojnie schował miecze i zerknął na postać w habitcie nadal leżącą w miejscu gdzie niegdyś stało szerokie łóże. Przez moment zwalczał w sobie chęć podejścia i odkrycia kaptura. Pokręcił głową, obrócił się i zszedł po schodach. Jego twarz wykrzywił złośliwy uśmiech. W Dworze zapadła cisza. Opór w grodzie ustał. Nikt nie ocalał. Miecznicy barona wyróżnili wszystkich. Garlil stanął w wejściu do sali jadalnej dworu, która spływała krwią. Baron wyraźnie widział ciała dwóch panien służebnych, których martwe twarze, zawierające cechy ludzkie i elfie przedstawiały strach. Obie przebiła jedna włócznia, której drzewce wciąż tkwiło w martwych ciałach. Baron splunął ze wstrętem. Jeszcze bardziej niż ludzi nienawidził mieszańców, którzy dla barona byli wynaturzeniem natury, czymś co trzeba było wypalić ogniem. Przez roztrzaskane drzwi wyszedł na dziedziniec pokryty ciałami obrońców, wśród których uwijali się miecznicy unurzani w czerwonej krwi swych ofiar. Dostrzegł wśród nich swego zaufanego.

- Scaffale – głos barona ledwie przebił się przez potężniejący huk ognia podłożony pod zabudowaniami dworu. Potężne płomienie lizały kilkusetletnie rzeźby i zdobienia. Tęgie dębowe belki z jękiem poddawały się żywiołowi, który rozpętali napastnicy. Wezwany niemal błyskawicznie znalazł się przy swym panie, spoglądając na fontannę iskier, która uniosła się nad piekarnią, gdy zawalił się płonący dach.

- Tak baronie? – okrutny uśmiech nie opuszczał twarzy przybocznego. Odkąd Garlil pamiętał, Scaffale lubił rozlew krwi, zwłaszcza czerwonej krwi... . Baron wciągnął powietrze przesycone spalenizną i smrodem palonego mięsa.

- Przygotujesz lektykę. Musimy zabrać ze sobą ciało księżnej de Hoer. Sądzę, że księżę Hatrir będzie zachwycony, gdy sprawimy mu taką niespodziankę. – Scaffale ze zrozumieniem kiwnął głową i ruszył w stronę swych podkomendnych. Zatrzymał się w pół kroku, jakby o czymś sobie przypomniał, spojrzał na zdemolowaną werandę, potem na swego pana i zapytał.

- A co z naszym szanownym de Travoim? – ściszył nieco głos rozglądając się czujnie. Nietypowe zachowanie księcia Hatrira wobec maga w obozie nie umknęło uwadze mieczników.

- Na całe szczęście, jego też mamy z głowy – Garlil rozchylił usta w okrutnym uśmiechu i dodał, czując rosnącą temperaturę ognia, który zdążył się przerzucić na stajnię, w której szarpało się kilka oszalałych ze strachu koni. Na oczach barona zerwały się z uwięzi i z palącymi się grzywami pomknęły wprost w mrok.

- Zbierajcie się chyżo, inaczej zgorzejemy razem z tym kurnikiem -Baron Garlil nigdy nie cenił pradawnych elfach siedzib. Zawsze uważał je za jaskinie, z których elfy już dawno wyszły

opuszczając lasy i zamieszkując miasta. Teraz bez zalu spoglądał przez chwilę na potężniejący pożar i ruszył za oddziałem mieczników, który zebrał się szybko na ścieżce wiodącej do traktu. Oprócz ciała Księżnej unosili również swych pięciu współtowarzyszy. Za jadącymi wystrzeliły w górę płomienie obejmując wszystkie zabudowania dworu... .



## BITWA

Błękitnym niebem snuły się długie pierzaste obłoki. Spomiędzy nich, nieśmiało wyglądały słoneczne promienie oświetlając prastarą knieję. Zielony ocean ciągnął się po horyzont, gęsty ale ku zdumieniu dzikich zwierząt uciekających z tej okolicy, wyjątkowo ludny. Na niewielkich polanach, wśród wielusetletnich dębów widniały dziesiątki namiotów najróżniejszych konstrukcji. Wśród mocnych, płóciennych namiotów rycerstwa Barthii widniały niewielkie, skórzane szałas amieńskiej biedoty przybyłej równie tłumnie jak chłopci, obozujący wprost pod gołym niebem. W puszczy niosły się głosy ludzkiej, chropawej mowy północnych królestw i śpiewne dialekty elfich plemion. Zebrane w tym miejscu postacie stanowiły prawdziwy kalejdoskop uzbrojenia i ras zamieszkujących ogromny kontynent. Słońce odbijało się od pogiętych półpancerzy wojowników Faro a chrzęst elfich kolczug mieszał się z kwikiem koni. Pomiędzy nimi pobłyskiwały łuskowe zbroje amieńskiej roboty i tylko gdzieś tam mignęła w przelocie ciężka płytowa zbroja. Wszędzie powiewały dziesiątki najróżniejszych proporców. Wśród nich wyróżniały się flagi białego gryfa w koronie na czarnym tle, symbol królestwa Barthii. Tłum potężniał wokół niewielkiej polany, na której powiewał proporzec samego Bridharda i gdzie rozbito namiot królewski. Strażnicy nie nadążali z salutowaniem halabardami. Ruch oficerów wojsk był ogromny. Z namiotu wciąż wbiegali i wybiegali łącznicy. Młody król koordynował atak z wielu stron na nadchodzące oddziały cesarstwa. Po pierwszych sukcesach, obozowisko na skraju Wielkiej Puszczy Wschodniej pęczniało, rosło w oczach. Zewsząd ściągali ochotnicy. Pojawiło się nawet kilkunastu kwalów – legendarnych, olbrzymich i dzikich ludzi z północy. Zazwyczaj atakowali oni nadbrzeżne sioła Telii i Barthii. Tym razem wspólnie z bardziej cywilizowanymi ziomkami zamierzali stawić czoła błękitnokrwistym arystokratom. W miarę jak słońce chyliło się w dół, ku odległej linii horyzontu, ruch na polanie malał, by ustać, gdy chłodne nocne powietrze owiało obozowe ogniska.

Bridhard westchnął głęboko i rozprostował obolałe plecy. Cały dzień pochylania się nad mapami zmęczył nie mniej niż podróż w siodle. Oparł dłonie na dębowym stole.

- Starczy już tych manuskryptów – mruknął do siedzącego przy wejściu Ditricha. Barczysty wojownik rozłożył się wygodnie na dwóch skrzyniach przykrytych niedźwiedzią skórą. Masywne nogi w cizmach wzmocnionych twardą, łosiową skórą ułożył wygodnie na beczce i słuchając władcy, skinął potakująco głową, wykrzywając twarz w okrutnym uśmiechu.

Przecięgnął dłonią szeroką jak łopata po krótko obciętych, szpakowatych włosach.

- Dlategoż panie, ja się imam miecza, nie pióra. Więcej czasu na danie odpoczynku starym kościom – król pokręcił głową z uśmiechem.

- Jużci stare kości – stare mapy zaszeleściły, gdy Bridhard zwinął je w rulon. Rzucił je wprost do otwartego, okutego żelazem kufra, stojącego zaraz za stołem i rzekł z nagłą energią.

- Jutro ruszamy w pole. Poczywaj póki możesz – mówiąc to, władca wyszedł przez królewski namiot. Jego krępa sylwetka wyglądała delikatnie przy dwóch potężnie zbudowanych strażnikach, którzy widząc wychodzącego króla sprezentowali broń. Brunet westchnął głęboko i uśmiechnął się spoglądając na polanę i rozciągającą się za nią puszcę. W zapadającym mroku widać było dziesiątki i setki latarni oliwnych. Ani ojciec, ani nawet pradziad, nigdy nie zgromadzili takiej ilości wojsk. Z zadumą spoglądał na herb królestwa Telii, wyhaftowany na jednym z największych namiotów, stojących pod samą ścianą lasu. Odwieczny wróg Barthii czający się u jej północnych granic, z którym toczyły się niegdyś ustawiczne potyczki, Telijczycy jako pierwsi uznali koronację i pojawili się w największej liczbie, przynosząc ze sobą „ognistą broń”. Zaskakujący był odzew pozostałych królestw ludzi ale przede wszystkim plemion „mieszkańców” zniechęconych przez cesarstwo. Amieni w żyłach których płynęła zarówno krew ludzka jak i elfia zjawili się nadzwyczaj licznie. Skórzane, nabijane ćwiekami kaftany i lekkie, zdobione kolczugi pojawiały się wszędzie wśród wojsk powstańczych budząc entuzjazm. Ich szeregi niejednokrotnie zapełniali wojownicy mogący śmiało stawiać czoło nawet osławionym cesarskim miecznikom. Jeden z ich oddziałów rozkładał skromne obozowisko na zatłoczonej polanie. Król lekko się uśmiechnął. Brak olśniewających proporców, złota i drogich kamieni był cechą charakterystyczną mieszkających w głębokich lasach mieszkańców. U nich w cenie były przedmioty praktyczne i wytrzymałe, pozwalające przeżyć w kniei. Kilkunastu amienów uwijających się przy ustawianiu szałasów przywołało w królewskim umyśle obraz Leśnego Dworu. Bridhard poczuł ukłucie tęsknoty. Za choćby chwilową obecnością elfiej księżnej. Potrząsnął głową i cofnął się do namiotu. Kobiety i wojna nie szły ze sobą w parze. Pocieszał się jedynie tym, że kasztel Gabrieli znajdował się daleko na południu, poza zasięgiem działań zbrojnych, w głębokiej puszczy. Z zazdrością spojrzął na chrapiącego Ditricha. On nigdy nie opuszczał okazji, żeby się wypaść i najeść. Żadne zmartwienia i troski nie były w stanie wywołać u tego wybornego wojownika bezsenności. Bridhard, ułożywszy się wygodnie w szerokim łożu, nakryty dobrze wyprawionymi skórą, usiłował pójść jego śladem. Długo nie

mógł zasnąć, wpatrując się w ciemność ogarniającą cały namiot. Nieokreślony niepokój zaprzętał jego umysł. Grubo po północy król doszedł do wniosku, że musi wysłać posłańca do Gabrieli. Dopiero to pozwoliło mu wreszcie zasnąć... .

\*

Łany zboża ciągnęły się aż po horyzont, niczym złocisty dywan którego nie ugięło nawet jedno muśnięcie wiatru. Z jednej strony ograniczała go ściana puszczy. Szerokie, rozłożyste, prastare drzewa wydawały się sięgać sękatymi gałęziami ku rozległym polom. Jak gdyby natura chciała odzyskać te obszary wyrwane spod jej panowania. Niemal na skraju drzew widniała niska palisada niewielkiej wioski. Bale były częściowo przegniłe i dawno nie naprawiane. Większość pokrywały porosty i mech. Z pewnością od dawna nie musiały stawiać czoła niebezpieczeństwom. Na rachitycznej bramie wejściowej nie dało się dostrzec nawet jednego strażnika. W obrębie palisady widniało kilkanaście chat krytych słomą nad którymi unosiły się dymy z palenisk. W przeciwieństwie do palisady, chaty były zbudowane z solidnych drewnianych bali, które dawały ochronę nie tylko latem ale również podczas surowych zim, które nękały tą okolicę. Stara brama uchyliła się z skrzypieniem i kilku jezdnych opuściło zabudowania. Wszyscy odziani w kolczugi, zbrojni w krótkie miecze i włócznie wykonane na amieńską modłę. Parli na przelaj, przez gęste zboże, tworząc szeroką, wydeptaną ścieżkę. Już z daleka dała się dostrzec ich wielorasowość. Kilku ludzi, elfy, dwóch amienów. Z pewnością nie należeli do regularnych wojsk. Wyglądali raczej na grupkę przyjaciół. Jechali powoli, starając się zniszczyć jak najmniej. Nagle osadzili konie w miejscu, gdy naprzeciwko nich, na wąskim trakcie biegnącym z dwadzieścia staj od osady pojawiło się kilka postaci. Nad głowami przybyszy powiewał cesarski proporzec a w promieniach słońca pobłyskiwały rzeźbione pancerze. W grupce jeźdźców, którzy wyjechali z osady wybuchła gwałtowna dyskusja. Zgromadziwszy się w grupie rozmawiali zaciekle nie zwracając uwagi na otoczenie. Podjazd wojsk cesarza Fryderyka począł się zbliżać do grupki konnych, którzy zdawali się nie dostrzegać zagrożenia. Dopiero, gdy cesarscy gwardziści dotarli niemal na odległość strzału z długiego łuku, zerwali z siodła tarcze i utworzyli mur stojąc naprzeciw nadchodzącego zagrożenia. Podjazd zdezorientowany przystanął, zaskoczony reakcją powstańców. Jeden cesarskich żołnierzy pomknął z powrotem na trakt a pozostali zsiadli z koni. W dłoniach gwardzistów pojawiły się osławione elfie Długie Łuki. Spokojnym ruchem napięli je niemal jednocześnie.

Świsnęły długie strzały wbijając się głęboko w tarcze powstańców. Zaatakowani natychmiast zsiadli z koni i osłaniając się tarczami poczęli iść w kierunku strzelających. Słońce lało ukrop z nieba, nie ułatwiając obu stronom zadania. Na twarzach ludzi pojawił się pot. Zbroje, nagrzane przez promienie słoneczne parzyły przy dotknięciu. Łany szeleściły cicho, kładąc się pod ciężkimi butami bez oporu. Przedni szereg idących tworzył rząd tarcz z przodu. Drugi chronił idących od góry. Cesarscy wystrzelili po raz drugi. Jeśli liczyli na niezawodne, psychologiczne działanie długich grotów, przebijających się z łatwością przez tarcze przeciwnika, przeliczyli się srodze. Widząc, że przeciwnikowi pozostało niewiele do przejścia, część łuczników chwyciła swoje tarcze i oręż by zasłonić pozostałych. Obie strony nie zamierzały ustąpić pola przeciwnikowi. Nad polem dał się słyszeć śpiewny rozkaz elfiego oficera. Znikły łuki a przed tarcze wysunęły się smukłe lance nadając oddziałowi cesarskiemu wygląd monstrualnego jeża. Podchodzący powstańcy jeszcze bardziej zacieśnili szyk. Tarcze ze szczękiem zaszły na siebie. Dopiero z bliska można było dostrzec, że mają warstwową konstrukcję, a pod kilkoma deskami jest solidna porcja żelaza. Oficer gwardii cesarskiej z zdziwieniem spoglądał na działania powstańców. Ich brak wiedzy wojskowej porażał. Jakże to, chcieli zaatakować gwardzistów w szyku, którego nie była w stanie rozbić szarża ciężkiej kawalerii? Wzruszył ramionami i uniósł dłoń do góry. Wzniesiona prawica zamarała gdy po obu stronach cesarskiego oddziału rozbrzmiały przerażające wrzaski kuali i kilkudziesięciu amienów. Nagle, wśród łąnów zboża wydawało się nietkniętych stopą człowieka, pojawiły się głowy biegnących wojowników. Oficer natychmiast wskazał nowy szyk, który gwardziści przyjęli niemal natychmiast. Zawahali się tylko na chwilę i oddział cesarski rozdzielił na trzy części. Posypał się nań grad strzał. Rozległy się elfie okrzyki bólu i gniewu. Widząc wroga niemalże przy tarczach, cesarscy gwardziści samorzutnie ruszyli do boju, niweczając próby oficera, usiłującego utworzyć obronę okrężną. Jeszcze kilka wystrzelonych elfich strzał – kilku powalonych powstańców i obie strony zawarły się w zaciekłym boju. Napastnicy z trzech stron naporli na niewielki oddział, nie dając szans na ucieczkę. Mimo to, elfy drogo sprzedawały swą skórę, udowadniając swą wartość w boju. Co chwila rozbrzmiewał krzyk człowieka, padającego wśród zabitych towarzyszy. Ale coraz częściej udawało się dopaść i zwinnych gwardzistów. Oto potężny kual uderzeniem topora niemal rozpołowił dowodzącego podjazdem, ginąc chwilę później pod ciosem jednego z gwardzistów. Oficer z potworną raną pośrodku starannie wyczelowanej zbroi gasnącym wzrokiem objął niewielkie pole bitwy, martwe twarze gwardzistów i wiele, wiele błękitnej krwi widniejącej na

zdeptanych kłosach zboża. Zaciekły bój trwał a zgiełk bitewny niósł się daleko. Przewaga liczebna powstańców była przygniatająca a jednak Elfy walczyły w jakimś uniesieniu, w transie, nie błagając o litość i nie dając pardonu. Nie mogły jednak odbijać dziesiątek ostrzy w nieskończoność i co rusz kolejny wspaniale odziany wojownik padał na ziemię zroszoną krwią wielu ras. Gdy pozostało zaledwie trzech gwardzistów, obróconych plecami do siebie wśród stosu ciał, na trakcie pojawiła się odsiecz. Dziesiątki jeśli nie setki wojowników z dumnie powiewającymi proporcami. Atakujący powstańcy zawahali się. Przed sobą mieli tylko albo aż trzech zawziętych przeciwników. Za sobą prawdopodobnie cały legion. Tym razem była to szybka decyzja i powstańcy bez dyskusji zaczęli się wycofywać przerywając natychmiast walkę, ciągnąc za sobą ciała zabitych, by uchronić je przed okaleczeniem. Trójka gwardzistów pozostawała w miejscu z bronią nastawioną do boju, dysząc ciężko, nie zdając sobie do końca sprawy z tego co właśnie się wydarzyło.

Na trakcie, wśród cesarskich gwardzistów pojawiła się olśniewająca sylwetka księcia Hatrira. Przez moment mierzył wzrokiem pole bitwy. Kilka złamanych drzew nadal tkwiło wbitych w ciała poległych leżących w kręgu zdeptanego żyta. Widział kładące się zboże pod nogami cofających się powstańców, z których znaczna część, ku satysfakcji księcia, była skrwawiona. Hatrir odwrócił się w stronę swych przybocznych i w zapadłej na chwilę ciszy rozbrzmiał jego silny, aksamitny baryton. Sprawnie wydawał rozkazy. W stronę miejsca starcia natychmiast pomknęła grupa jeźdźców a dwa inne podjazdy poczęły otaczać cofających się powstańców, którzy stale przyspieszali swą ucieczkę. Szelest tratowanego zboża mieszał się z bojowymi okrzykami mieczników, którzy szybko zbliżali się do uciekających powstańców. Niemal w ostatniej chwili ludzie wpadli za niską palisadę i zwarli bramę. Hatrir widział to z daleka i wzruszył ramionami. Na co liczyl buntownicy, zamykając się za tak lichą osłoną, która mogła się rychło zmienić w pułapkę?. Coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że to gadające zwierzęta. Oddziały mieczników otoczyły palisadę, tworząc rzadki, ale bardzo niebezpieczny łańcuch. W słońcu błyszczały dobyte ostrza reńskich mieczy. Widząc to, księżę Hatrir ruchem dłoni odzianej w pancerną rękawicę przywołał wodza orków stojącego nieopodal wraz ze swymi wojownikami. Posiwały weteran z dzikim błyskiem w oku spoglądał to na miejsce potyczki, to na palisadę wioski. Bez wątpienia czuł już zew krwi. Podszedł powoli rozchylając paszczkę w krwiożerczym geście.

- Odel ruszajcie – powiedział obojętnie Hatrir spoglądając na wodza. Przeniósł wzrok na

widniejącą w oddali palisadę i rzucił przez ramię

- Nie potrzebuję jeńców, wioska jest tu zbędna. – Ork rozchylił szczęki w okrutnym uśmiechu. Zawył głośno zawołanie wojenne. Setki miedzianoskórych wojowników ruszyło przez pole do reszty niszcząc plony. Książę patrzył na to wszystko z jakąś dziką satysfakcją. Musiał przyznać, że widok orczej piechoty idącej do ataku był imponujący. Chciał obejrzeć swoje oddziały najemne w akcji, dlatego posłał do walki samego orczego wodza, który prowadził swoją hordę do ataku. Książę odchylił się do tyłu obserwując wyjące orki biegnące w stronę niewielkiej wioski.

Widział, że pierwsi wojownicy dotarli już do palisady. Nie czekając na kilka drabin niesionych z tyłu, poczęli wdrapywać się z małpią zręcznością w górę. Hatrir wiedział, że z podobną wprawą poradzą sobie z murami ludzkich twierdz. Ku zdumieniu gwardzistów, spoglądających na rozgrywającą się walkę z traktu, na palisadzie pojawiło się kilkanaście postaci, walczących z wdrapującymi się na górę miedzianoskórymi napastnikami. Przy palisadach pojawiły się drabiny i zabłyśły na nich zbroje mieczników. Książę z zadowoleniem spoglądał na rozgrywające się wydarzenia i nagle wyteżył wzrok. Wydawało mu się, że dostrzegł postać barczystego człowieka o kruczoczarnych włosach w elfiej zbroi. Stał na szczycie jednej z niskich, wiejskich chat. Cesarski bratanek potrząsnął głową i spojrział jeszcze raz. Ale tajemnicza postać znikła z pola widzenia i nagle palisadę otoczyły kłęby dymu a do uszu Hatrira dotarł huk kilkudziesięciu strzałów. Orki i elfy próbujące przedostać się przez palisadę zaczęły spadać z ostrokołu. Rozległa się druga salwa i część mieczników tworzących krąg wokół palisady znikła w zbożu a pozostali poczęli się cofać. Teraz książę zrozumiał a twarz mu stężała. Miał przed sobą mądrego i przebiegłego przeciwnika, który wprowadził część jego wojsk w zasadzkę. Jednocześnie kogoś, kto przez używanie zakazanych broni sam skazał się na śmierć. I cesarski bratanek, Hatrir de Louwen zamierzał wykonać wyrok nie zwlekając. Twarz księcia ściągnęła się i pojawiły się na niej pierwsze oznaki gniewu. Odwrócił głowę w stronę równych rzędów cesarskiego wojska.

- Graj pobudkę wojenną ! – krzyknął do trębacza, zakładając przepięknie zdobiony hełm bojowy. W dłoń ujął lekki miecz reński. Za plecami usłyszał szcęk wyciąganego oręża a w przesycone zapachem zboża, suche powietrze popłynęła wojenna pieśń cesarstwa. W jej takt gwardziści ustawiali się szeroką ławą do wioski. Książę wysunął się przed szereg i obrócił przodem.

- Ludzie postawili się poza nawiasem cesarstwa i poza prawem. Użyli zakazanych broni. Nie dawajcie nikomu pardonu. Chwała cesarstwa jest tam gdzie my! – Jego głos zdawał się docierać do głębi dusz żołnierzy. To była jedyna rzecz, jaką zdołał opanować podczas pobytu na wyspie magów Arata – hoi.

- Cesarz widzi każdy wasz czyn – nabrał powietrza w usta. – Do szturmu!!! – lekceważąc wszelkie zasady wojny, prowadzona przez owładniętego gniewem księcia, cały cesarski legion ruszył przez zdeptane pola. Ziemia dudniła pod setkami i tysiącami kroków i wydawało się, że zaleją niewielką wioskę niczym potężna elfia fala. W oddali huknęła kolejna salwa i ostrokół spowiły kłęby dymu, zmuszając resztę mieczników i orków do ucieczki poza zasięg strzałów. Ostatnie orcze ciała obrońcy zrzucili z palisady na której pojawiły się osadzone na sztorc tarcze i lufy skałkowych karabinów... . Powstańcy nawet w obliczu tak przygniatającej przewagi najwyraźniej nie zamierzali uciekać... .

\*

Dziesiątki rycerzy barthijskich z niecierpliwością spoglądało przez gęste poszycie puszczy. Z oddali niósł się bitewny zgiełk a lekki wiatr przynosił odgłos szczękającego oręża. Rozłożyste gałęzie potężnych drzew chroniły zakutych w żelazo jeźdźców przed palącym słońcem. W pobliżu stali równie niecierpliwi telijscy łucznicy. Spoglądali nawzajem na siebie i popatrywali na jeźdźców. Dzięki ogromnej charyzmie niedawno koronowanego króla Barthii oraz nienawiści do elfiej rasy, Telińczycy i Barthijczycy stali teraz razem i wspólnie mieli ruszyć do boju. W puszczy potoczył się odgłos salwy z muszkietów i wśród tłumu wojowników zrobiło się poruszenie. Spoglądali po sobie z niepokojem i wtedy z lasu wysunął się wysoki i barczysty wojownik w potężnym kirysie. Jego twarz, znaczone wieloma bliznami, wykrzywiała okrutna radość. Jego głos, sprawnie wydający polecenia niósł się daleko mimo gwaru a kilku giermków, którzy przybyli wraz z nim natychmiast rozjechali się wzdłuż nierównego szeregu. Chwilę później rozbrzmiały dźwięki rogów myśliwskich i rozbrzmiała pieśń bojowa Barthii. Dołączyły doń śpiewne tony amieńskich pieśni wojennych i telijska pieśń bojowa. Tego dnia wiedzieli, że będą walczyć ramię w ramię. I mimo krwawych zatargów w przeszłości, żadnemu nawet nie przemknęła myśl o zdradzie. Ciężkie konie, zapadając się w miękki grunt, ruszyły stępa, krusząc drobniejsze gałęzie i niskie krzaki. Gdy pomiędzy drzewami zaczęły przebłyskiwać zboża, wojownicy przymusili swe wierzchowce do szybszego biegu. Na twardej, ziemi zadudniły kopyta

ciężkich koni barthijskiej konnicy. Spomiędzy puszczańskich drzew, olbrzymów rosnących tu już setki lat widniejących za wioską wyłoniła się ciężka jazda rycerska. Tuż za nimi pojawili się biegnący telijscy łucznicy. Stanęli w niezbyt równych szeregach i na głośnie komendy poczęli zasypywać idącą ławę wojsk cesarskich lasem strzał. Ziemia poczęła drżeć, a elfi gwardziści usłyszeli wzmagające się dudnienie i las kopii, który zniemacka pojawił się przed wydawałoby się bezbronną wioską. Rozległo się kilka słabych krzyków. Gdzieniegdzie zaszczękała broń, ale nawet miecznicy nie byli w stanie zatrzymać tej pancernejszej nawały. Nieliczni szczęśliwcy zdołali umknąć poza zasięg końskich kopyt. Pozostali zginęli, stratowani przez setki koni, mknących w stronę cesarskiego legionu. Chwilę później, równie bezlitośnie barthijska jazda rozprawiła się z niedobitkami orczej hordy. Zakuci w żelazo jeźdźcy potężnieli w oczach. Na ten widok, jadący przed szeregami gwardii książę Hatrir jak gdyby się zawahał, zbyt późno zrozumiał swój błąd. Dał się podejść jak żółtodziób, dając się zaskoczyć w polu przez ciężką jazdę. Na odwrót było za późno, kopie zdawały się sięgać pierwszych szeregów cesarskich wojsk. Uniósł w górę nagi miecz i z wyciem wskazał ostrzem na nadjeżdżających Barthijczyków. Cesarska gwardia karnie zmieniła front na wprost szarzy ciężkiego rycerstwa mimo bezustannie strzelających Telijczyków. Hatrir z zaciśniętymi ustami wysunął naprzód miecz. Każdym nerwem czuł każdy krok swego wierzchowca. Las grotów, skierowanych wprost w jego ludzi był tuż, tuż. Jeszcze chwila. Hatrir dostrzegł błękitne oczy wycierające zza osłony ciężkiego hełmu jednego z przeciwników, wpatrzone w niego z nienawiścią. Już... . Obie armie zderzyły się z kwikiem koni i trzaskiem pękającego oręża. Książę w ostatniej chwili uchylił się przed ciężkim grotem celującym wprost w okolice serca. Jednocześnie zamachnął się mieczem, ale hartowane ostrze odbiło się od hełmu, szczerbiąc go nieznacznie. Wokół rozlegały się krzyki i szczęk oręża. Na nic zdało się wyszkolenie i doskonała elfia broń. Niezgrabne, ciężkie rycerstwo królestw wschodu złamało doskonałych gwardzistów cesarza w ich misternie zdobionych zbrojach. Hatrir patrzył na otaczające go pole bitwy z rozpaczą wkradającą się ukradkiem w jego serce. Setki ciał gwardzistów trawowały ciężkie konie w obłądnym tańcu wojny. Sam walczył oboma mieczami, krzesząc iskry na pancerzach rycerzy Barthii. Konie deptały leżących i umierających. Nikt nie dawał pardonu, nikt nie wołał o litość. Zadawano sobie nawzajem potężne ciosy, choć ciężko opancerzeni ludzie byli niełatwym orzechem do zgryzienia. Książę przekonał się o tym, gdy uchylił się przed zabójczym ciosem topora i sam zadał uderzenie przeciwnikowi. Wydawało się mordercze, ale ku zdumieniu elfa, koniec oręża skruszył się o czarną, wypolerowaną zbroję.



Drugi mieczem uderzył w pobliżu siodła, trafiając kręgosłup konia na którym siedział przeciwnik. Ten runął jak rażony gromem. Książę nie zdążył nic więcej zrobić gdy inny konny stratował powalonego przeciwnika. Kątem oka dostrzegł swego przybocznego padającego z rozrąbaną głową. Jego pogromca potrząsnął zakrwawionym toporem. Hełm człowieka gdzieś znikł. Krótkie zmierzwione, czarne włosy okalały okrągłą spoconą twarz. I niebieskie oczy gorejące na popielatej twarzy. Hatrir rozpoznał ten wzrok. Zanim jednak zdążył zaatakować przeciwnika, zaatakowało go dwóch elfich gwardzistów, chcąc osłonić swego dowódcę. Książę widząc to, rozejrzał się wokół rozognionym wzrokiem. Wiele elfiej i orczej krwi wsiąkło już w pole. Wszędzie leżały ciała. Hatrir podniósł wzrok i dostrzegł coś jeszcze. Przez otwarte wierzeje wioski wybiegała horda różnorodnie ubranych istot. Gnały w stronę pola potężniejszej z każdą chwilą bitwy. Hatrir zacisnął zęby i zamarł na moment dostrzegłszy proporzec Gryfa, wyszyty złotymi nićmi na białym tle. Królewska chorągiew. Znak, który nigdy więcej nie miał się pojawić się gdziekolwiek na Dicuti. Książę dostrzegł również postać Bridharda, jakże podobnego z rysów twarzy do Rolanda. Wokół króla zgromadził się oddział doborowych wojowników. Wszyscy bez wyjątku trzymali samopały. Krzyk konającego gwardzisty przywrócił Hatrira do rzeczywistości. Barthijczycy walcząc bez litości zdobywali przewagę na skrzydle. Gwardziści wygrywali pojedynki, ale zaskoczenie pierwszego uderzenia i przewaga liczebna powstańców po szarzy rycerstwa nie pozostawiała złudzeń co do wyniku starcia. Książę odbił nadlatujące ostrze miecza, trzema ciosami rozprawił się z młodym rycerzem, który ważył się go zaatakować. Ze spokojną twarzą dał znak do odwrotu. Cała gwardia jak jeden mąż zawróciła w stronę traktu, pozostawiając orczych najemników pośród opancerzonego przeciwnika. Ich chwilowe zawahanie zgubiło resztki hordy. Hatrir mknąc na swym lekkim wierzchowcu widział jak sam Odel Tar rzuca się na jednego z rycerzy by po chwili lec z włócznią w szerokich barach. Orki powstrzymały wojska buntowników na czas wystarczająco długi, by cesarska gwardia odskoczyła na trakt. Znakomite wyszkolenie elfich gwardzistów nie pozwoliło im się rozproszyć. Mimo znacznego przeredzenia szeregów i sporych strat gwardia natychmiast się przegrupowała. Książę zawrócił konia i stanął na czele swych skrwawionych wojsk, dumnie spoglądając na nieporadnie zbierające się rycerstwo powstańców. Na dany przez Hatrira znak, część gwardzistów zsiadła z koni a w ich smukłych dłoniach pojawiły się długie łuki. Na ich czele stanął kapitan de Leoua widząc w tym szansę na odkupienie swych win. Spojrzał na idącego w ich stronę przeciwnika i spokojnym głosem wypowiedział komendę. Ludzie, widząc równy

szereg elfich łuczników napinających długie łuki, hurmą ruszyli w stronę zagrożenia, nie bacząc na równo podnoszący się w górę szereg gwardzistów. Napięte cięciwy łuków z brzękiem posłały chmurę strzał, która z gwizdem pomknęła w stronę powstańców, powalając ich niczym łąn zboża, piechurów i rycerstwo jednak. Nim łącznicy króla dotarli do niezdyscyplinowanych, krewkich wojowników łaknących zemsty za lata krzywd, strzały zdołały powstrzymać dwie kolejne szarże powstańców. Na twarz cesarskiego bratanka wrócił szyderczy uśmiech, gdy patrzył na potężniejący stos ciał przeciwników. Nagły zwrot w bitwie z pewnością zaskoczył powstańców. Hatrir odetchnął spokojniej, zgrabnym manewrem zyskał czas potrzebny mu do podjęcia decyzji. Nabrał animuszu. Jego rozkazy wydawane pewnym głosem, przywróciły nadzieję gwardzistom. Część konnych ruszyła galopem prostopadle do toczącej się wciąż bitwy. Pozostali krok za krokiem postępowali naprzód, trzymając napięte łuki. Idący przed łucznikami gwardziści osłaniali siebie i dalsze rzędy szerokimi pawężami. Wydawało się, że w stronę bitwy zmierza ruchomy mur, najeżony dziesiątkami strzał. Bridhard, nie biorąc udziału w walce już z daleka widział, na co się zanosi. Uniósł się lekko w strzemionach by przyjrzeć się sytuacji i przywołał ruchem ręki swego przybocznego, jak nigdy łaknącego walki. Po chwili zabrzmiał krótki niski dźwięk królewskiego rogu. Z kotłowaniny na polach poczęły się wreszcie wycofywać barthijskie chorągwie. W samą porę bowiem w powietrzu pojawiła się chmara gwizdzących strzał. Na ten dźwięk część piechurów poczęła uciekać w stronę wioski. Długie, przeraźliwie skuteczne pociski raziły wszystkich jednak – orków i ludzi. Nierówny szereg poobijanego rycerstwa z wściekłością patrzyła na rzeź. Gwardziści niczym równy rząd golemów ukrytych za tarczami towarzyszy, postępowali krok za krokiem, a z nimi szła śmierć. Na rozkaz króla, naprzeciw wystąpił rzadki szereg tarczowników z Faro. Trzymanymi w dłoniach pawężami osłaniali rzędy żołnierzy trzymających muszkiety. Król wraz z niewielkim oddziałkiem obserwował w napięciu całą sytuację. Gwardziści podchodzili coraz bliżej. Rozbrzmiał szczekliwy rozkaz i tarczownicy ruszyli naprzód. Mimo potężnych pawęży i pancerza, co rusz któryś padał na ziemię zroszoną krwią walczących. Tarcze otoczyła chmura dymu i wśród elfich łuczników pojawiły się pierwsze wyrwy. Tarczownicy ścieśnili szyk i zatrzymali się. Kolejna chmura strzał nie uczyniła im dużej szkody – rozległa się druga salwa. Księżę Hatrir, który stał wśród konnych gwardzistów zacisnął zęby. Zakazana broń – że też nie przewidział tej okoliczności! Wydał krótki rozkaz. Zdyscyplinowani żołnierze natychmiast zaczęli się cofać a jego nowy przyboczny począł machać w stronę konnych, którzy zaniechali szarży na skrzydła

powstańczych wojsk i poczęli się cofać. W buntowników wstąpił nowy duch. Widząc cofającego przeciwnika, część rycerzy wbrew rozkazowi króla ruszyła do trzeciej szarży, wspierana przez ciągle strzelające muszkiety. Zdołali nawet dotrzeć do pierwszego szeregu tarcz ale pikinierzy zdziśniętkowali atak. Cesarska gwardia poczęła odchodzić z pola walki, osłabiona i pokiereszowana ale wciąż niebezpieczna, wciąż najeżona bronią, wciąż gotowa do walki. Wśród szeregów buntowników, karnie stojących w miejscu rozbrzmiały okrzyki radości. Znienawidzone cesarskie proporce leżały wśród ciał zabitych a elfy cofały się, może w uporządkowanym szyku, ale ulegli sile sprzymierzonych ras. Po raz pierwszy od dziesiątek lat cofali się! Ten widok uderzał do głowy niczym tęga gorzałka.

Twarze wojowników królewskiej świty stojącej na lekkim podwyższeniu wyrażały tę samą radość. Niemal nie zauważyli gdy do króla podjechał jeden z dowódców chorągwi – potężny i dumny Angward z Wilaret. Jego czerwona twarz, podniecona odniesionym zwycięstwem błyszcząca od potu. Na łysej czaszce naznaczonej kilkoma niewielkimi bliznami widniały rozmazane krople błękitnej krwi. Zaniechawszy zwyczajowego powitania, baron zaczął zachrypniętym, grubiańskim głosem.

- Panie, daj znak, zmiażdżymy ich – wskazał mieczem trzymany w dłoni na odchodzącą gwardię cesarską.

- Wstrzymaj się baronie – Bridhard spokojnie zmierzył swego rozmówcę wzrokiem i zamilkł. Przez chwilę panowała niezręczna cisza. Dopiero po chwili Angward zsiadł z wierzchowca, skłonił się i ponowił prośbę, patrząc ze ściągniętą twarzą na dumną postać monarchy.

- Nie mają szans wśród pól. Rozniesiemy ich na kopytach – dodał spokojniej. Po chwili ciszy dostojnym głosem odezwał się król.

- Dzielnyś Angwardzie, ale potrzebuję twej odwagi i ludzi nie tylko dziś. Widziałeś czym się skończyła szarża chorągwi archereckich. Musimy wygrać wojnę, nie tylko jedną bitwę – obaj mierzyli się przez chwilę wzrokiem po czym Angward opuścił głowę i mruczając coś pod nosem stępa podążył w kierunku swoich rycerzy. Długą ciszę po odjeździe księcia przerwał Ditrich unurzany w błękitnej krwi.

- Miarkowałby swoje pomysły – splunął przed siebie, patrząc na plecy odjeżdżającego. – Gorący czerep!

Niezawodny Nulni chroniący przez całą bitwę Bridharda mruknął spoglądając na szerokie

plecy odjeżdżającego.

- Może nam przyprawić bólu głowy. – monarcha westchnął głęboko słuchając swych podkomendnych.

- Jojczycie jak stare baby – obaj wojownicy spojrzeli po sobie a następnie na Bridharda. Ten roześmiał się chropowato i rzekł.

- Zatem starczy tego. Nulni, wyślij za nimi niewielki podjazd. – władca wskazał dłonią odchodzącą gwardię.

- Niech nas informują, gdzie podążają cesarscy. Ty Ditrich ruszysz ze swymi ludźmi do księcia Duncana. Powiadaj mu o bitwie, rzeknij im, że według mego mniemania cofają się na Lurton. Przydałyby się tam jego sokole oczy. I wracaj co rychło. Tutaj każde ostrze się przyda – obaj wojownicy skinęli krótko głowami, nie zadając pytań. Obaj pomknęli w puszczy, nie tracąc czasu na zbędne dyskusje i swary. Bridhard tęsknym okiem spojrzął na widoczne w oddali ostatnie szeregi cesarskiej gwardii. Omal nie uległ prośbie Angwarda. Rzucenia się w potężnej szarży na okrutnego przeciwnika. Stratowania kopytami doborowego rycerstwa. Wyrznięcia w pień. Bił się z myślami, czy dobrze postąpił gdy jego uwagę zwrócił niewielki poczet jezdnych, który podjechał do wzgórza. Herb naszyty na skórzanych kaftanach wskazywał na amieńskie księstwko Aile.

Całą czwórka, niska i szczupła, zsiadła z koni i skłoniła się zgodnie ze zwyczajem Wielkiej Puszczy, krótko, samą głową.

- Panie, schwytaliśmy żywcem jednego z gwardzistów. Ma ciekawe wieści – mówiąc to, czarnowłosy amien szturchnął związane ciało, przewieszane przez konia. Ciało jęknęło.

- Zdejmijcie go – Bridhard podjechał nieco bliżej i z lekkim zdziwieniem spoglądał na poranionego gwardzistę.

- Mieszkańcy musieli mu już zadać ziele - mruknął pod nosem. Oczy elfa wyrażały przerażenie. Cały drżał.

- Pytajcie panie szybko – powiedział czarnowłosy wpatrując się w rannego – on już długo nie pociągnie. Dostał całą tykwę.

- Któż wami dowodzi – jeden z mieszkańców trącił leżącego

- Mów, cóżś nam wcześniej rzekł. Ino chyżo! – Elf przerażonym wzrokiem wodził dookoła a z smukłych ust ciekła mu ślina przemieszana z ciemnoniebieską krwią.

- Panie, nie tykajcie mnie. Wodzem naszym książę Hatrir, bratanek cesarski. Nie kłamie

panie... – przerwał w pół zdania i padł nieprzytomny.

- Za pacierz będzie martwy – ze znanstwem stwierdził amien. Król skłonił krótko głowę i rzekł.

- Dzięki wam rycerze mili za te wieści – zwrócił wzrok na stojącego nieopodal kasztelana Revalion.

- To wszystko zmienia – spojrzał na czwórkę wojowników –

- Zabierzcie go stąd – Bridhard przywołał ruchem dłoni kilku przybocznych.

- Przekażcie królewski rozkaz dla wszystkich chorągwi. Ukryć się w borze i czekać na rozkazy. – spojrzał na stojących za nim baronów.

- Panowie, musimy natychmiast uradzić, jak schwytać cesarskiego bratanka.

Buntownicy spojrzeli po sobie. Oto bogowie dawali wreszcie szansę ludziom i mieszkańcom. Szczęście sprzyjające nieodmiennie elfom poczęło się obracać przeciw nim... .

## LURTON

Uliczki niewielkiego miasteczka spowijał mrok. Pod murami przemknął cień, unikając kręgów światła rzuconych przez rozstawione tu i ówdzie lampki oliwne. Na bruku zachrzęściły kroki straży miejskiej. Światło lamp wyłuskało z mroku ostrza halabard i zdobione koleczugi. Dwójka elfów z beztroską rozmawiało w śpiewnym, zachodnim dialekcie. Cień, który wsiąkł pomiędzy wielkie beczki stojące pod murem, uważnie obserwował przechodzących. Pod starym, zniszczonym płaszczem wyraźnie rysowała się dobyta klinga. Rozmowa oddalała się i strażnicy znikli za węglem starej, zniszczonej lepianki. Cień podążył za nimi, stąpając cicho i spokojnie, niczym wytrawny myśliwy na polowaniu. Zatrzymał się przy zniszczonych wierzejach i skrobnął kilka razy omszałe deski. Chwilę później drzwi się uchyliły i cień znikł wewnątrz.

\*

Niewiele promieni słonecznych wpadało przez małe okno niskiej, cuchnącej lepianki. Mimo wszystko wędrowiec w zniszczonym płaszczu z wyrazem ulgi pił z glinianego dymiącego kubka. Przy palenisku, pośrodku chatki siedział na wpół nagi, starszy już mężczyzna. Jego pierś znaczyły dziesiątki blizn a w miejscu prawego oka widniał pusty oczodół. Z uwagą spoglądał na przybysza lewym.

- Bardzo niebezpiecznie księżę – wychrypiał – przybycie tutaj, gdy wokół elfy lęgną się jak wszy.

- Gdybym nie widział cię w walce Renaro, mógłbym uwierzyć w twe słowa – przybysz mówiąc, nie przestawał obserwować ulicy zza okna – ale nikt nie widział mego wejścia i nikt nie ujrzy wyjścia. Przemknąłem przez mury cichaczem pośród nocy i tak samo się wydostanę... – ucichł na chwilę, gdy niemal pod samym oknem przeszło kilku cesarskich gwardzistów. Spojrzał na obdartusa.

- Księżę Teli nie może obawiać się kilkunastu elfich ścierw. A dziś w nocy dotrą tu moi ludzie i nie będziemy już sami – widząc niedowierzający wzrok Renaro dodał a w jego głosie zabrzmiał ogień.

- Wojska Bridharda dopadły cesarskich pod Wielką Puszcza, w pobliżu majątku Eonich. Elfia armia dotrze tu dziś lub jutro, poobijana jak nigdy. Rozumiesz to człowieku – oczy księcia rozjaśniły się podnieceniem a twarz wykrzywił mściwy grymas – pierwszy raz od lat daliśmy im

łupnia – Renaro skłonił się z okrutnym uśmiechem. Pięści, które trzymał na kolanach zacisnęły się a potężne mięśnie rąk zagrały pod naprężoną skórą.

- Chciałbym tam być z nimi – rozmarzył się obdartus.– Książę Duncanie , to pierwsza dobra wieść od dawna. Od bardzo dawna – powtórzył, łypiąc lewym okiem złowieszczo. Wojownik przy oknie skinął głową z uśmiechem. Obaj sycąc wyobraźnię obrazami pobitych wojsk cesarskich zamilkli. Zapadła cisza przerywana jedynie trzaskaniem drew na małym ogniu. Dym snuł się pod nadgniłą słomą i uciekał nieregularną dziurą pośrodku strzechy. W skrytości ducha Duncan gderał trochę na skąpość i sknerstwo Renaro, ale musiał przyznać, że w takiej norze nikt nigdy go nie będzie szukał. Spróbował wygodniej usiąść na gładkim kamieniu, który służył za ławę, stół i miejsce do spania. Napotkał pobłażliwy wzrok właściciela lepianki.

- Juźci nie są to książęce warunki, ale bezpieczne jak nigdy.

- Co racja, to racja – mruknął Duncan – ale zadek nie słucha rozumu... .

\*

W nocnej ciszy zabrzmiał krzyk dzikiego ptaka. Po chwili drugi. Elfi strażnik, siedzący za palisadą nasłuchiwał uważnie. Jeszcze do niedawna był łowcą. W duszy wciąż grały myśliwskie instynkty. Ale tego krzyku nie znał. Chciał wstać, by przyjrzeć się zwierzęciu , gdy usłyszał zdławiony jęk. Spojrzał poza mur. Jego kamrat legł na wąskiej ścieżce biegnącej wzdłuż palisady. Na podłużnej, przystojnej twarzy zabitego widniało zaskoczenie. Krótki nóż tkwiący w jego szyi był ledwie widoczny. Strażnik cicho wysunął ostrza obu mieczy i przyłgął plecami do chłodnych, okorowanych bali palisady. Na ostrokole tuż obok siebie usłyszał ciche stuknięcia i chrobotanie. Po chwili niemal tuż nad strażnikiem pojawiła się głowa człowieka. Obaj byli równie zaskoczeni, ale elf zareagował szybciej, obracając się płynnym ruchem a dwa ostrza, które dzierżył w smukłych dłoniach, niczym srebrzyste błyskawice pomknęły w stronę szyi przybysza, zatrzymując się w ostatniej chwili.

- Tylko drgnij – syknął elf, mierząc nieznajomego nienawistnym spojrzeniem. Człowiek naprężył mięśnie co nie uszło uwadze elfa. Ostrze natychmiast nacisnęło mocniej, przecinając skórę na szyi przybysza. Cienka smuga ludzkiej, czerwonej krwi popłynęła wzdłuż elfiego ostrza. To przeważało szalę. Przybysz ostrożnie zszedł za palisadę, nie ryzykując utraty głowy. Nim zdążył cokolwiek przedsięwziąć, strażnik zręcznie i z wprawą go ogłuszył. W tym samym momencie, elf dojrzawszy kątem oka drugą postać odruchowo skierował tam ostrze jednego z

mieczu. Odetchnął z ulgą, dostrzegłszy znajome barwy straży i sylwetkę nestora jego oddziału.

- A któż to nas nawiedził? – śpiewnie zapytał najstarszy wśród cesarskiej straży w całym grodzie Alaric. Był niemal o głowę niższy od leżącego na majdanie zabitego gwardzisty. Lekkie zmarszczki okalały oczy weterana. Jedynie to i pewny chód zdradzały jego wiek i doświadczenie. Spoglądał to na strażnika, to na ogłuszonego człowieka i nie wydawał się nawet zdziwiony nocnym gościem, gdy ciągnął swą konwersację.

- Widzę, że już oporządziłeś naszego gościa Laonie. Czas chyba zacząć u ciebie terminować – strażnik krótko uśmiechnął się. Taka pochwała w ustach weterana nie zdarzała się często.

-

Nieśmy go zatem do wartowni – stęknął Alaric, podnosząc wraz z Laonem ciężkie ciało nieprzytomnego. Razem ponieśli go po drewnianych schodach. Zasapali się mocno, zanim dotarli do kamiennej wartowni. Nieznajomy był pokaźnej postury i miał na sobie żelazny pancerz a to nie ułatwiało zadania. Laon łokciem otworzył okute drzwi i z wysiłkiem wciągnął bezwładne ciało z pomocą Alaric'a. Na ten widok czwórka strażników bez zbroi leżących pod ścianą, siedząca do tej pory przy masywnej, dębowej ławie, zerwała się z miejsc. W świetle płomieni kaganków zawieszonych przy belkach u powały widniało bezwładne ciało przybysza i stojący nad nim Laon.

- Kapitanie – słowa strażnika zwrócone były do stojącego naprzeciwko wysokiego bruneta o krótko ściętych włosach i jako jedyne ubranego w krótką półbroję – mamy gościa. Niestety jego wizyta kosztowała nas życie Eifrina... – trójka strażników, która na te słowa ruszyła w stronę leżącego z zaciśniętymi pięściami, jednym ostrym słowem została osadzona w miejscu. Oficer powoli podszedł do człowieka. Też żałował ogólnie lubianego, młodego wojownika, pochodzącego z zasłużonego rodu. Dlatego powstrzymał swych ludzi. Coś w jego głosie obiecywało, że człowiek ten ważąc się podnieść rękę na jednego z nich, nie umrze lekką śmiercią. Jeniec począł wracać do przytomności. Jęknął, potrząsnął głową i usiłował się podnieść. Idealnie wymierzone uderzenie w kark ponownie wysłało go w niebyt.

- Bardzo to ciekawe – Kapitan stanął nad nieprzytomnym a w jego głosie zabrzmiało okrucieństwo gdy mówił dalej – musimy się dowiedzieć, kim jesteś ptaszku. A na twoje nieszczęście, mamy tu narzędzia, które rozwiążą ci język – odwrócił się by spojrzeć na swoich ludzi.



- Denton i Ilarin. Natychmiast na palisadę, bo następni goście mogą być w drodze. Alaric, przynieś ciało Eifrina. Laon, pomożesz nam przetransportować to ścierwo do lochu. Rano księżę będzie z nim rozmawiać. Do skutku... .

\*

Wnętrze lepianki skrywała ciemność, mimo jasnego dnia. Tylko kilka nieśmiałych promieni przebijały się przez brudne szmaty zasłaniające rachityczne okienko. W ciszy skrzyknęły cicho drzwi i rozległ się cichy jęk zawodu.

- Do diabła, ależ smród – przybysz stanął przy palenisku. Spojrzał na sześciu siedzących dookoła zakapturzonych wojowników. Widział drobiny kurzu unoszące się w kilku promieniach świetlnych, które niczym miecz, cięły półmrok.

- Księżę, to jest najgorsza nora, jaką zwiedziliśmy – wojownik rozchylił usta w uśmiechu ukazując brak dwóch czy trzech zębów. Ściągnął kolcze rękawice i potrząsnął łysą głową z jednym zaledwie pasem krótko ściętych, szpakowatych włosów biegnących pośrodku głowy.

- Juźci Wojsław, bywałeś w gorszych miejscach – Duncan wskazał mu otwartą dłońią jeden z mniejszych, brudnych kamieni. Przybysz z westchnieniem ulgi usiadł wśród towarzyszy.

- Głodnyś? – usłyszał pytanie gospodarza. Wojsław skinął głową i przechwycił w locie kawał pieczystego rzuconego przez Renaro. Czekali dłuższy moment w ciszy, aż przybysz zaspokoi głód, po czym rozległ się głos Duncana.

- Rad jestem widząc was w zdrowiu. O brzasku do miasta dotarli żołnierze księcia Hatrira. Potrzebujemy informacji czy i kiedy ruszą. Nie mogą nam zniknąć z oczu – spojrzał wokół. Wszędzie napotkał wpatrzony czujny wzrok doświadczonych weteranów. To nie była dla nich pierwszozna. Chciał by wiedzieli, jak wiele zależy od ich zadania. Duncan ciągnął dalej a w jego głosie zabrzmiało rozmarzenie.

- Pomyślcie tylko. Napadamy bratanka samego cesarza. Kruszemy jego armię. A wszystko dzięki telijskim łowcom. Aboć najważniejsze jest obyśmy dali znać, gdy Hatrir opuści podwoje miasta – mówiąc to, księżę spojrzał na Wojsława, który przygryzał jeszcze końcówkę spieczonej nogi dzika.

- A nie widziałeś gdzie tam Mieclawa? Miał przybyć dziś rano – Wojsław pokiwał przecząco głową, przełykając mięso.

- Nie, panie. Aboć przemyśliwuję, że już w mieście biega – Duncan podniósł się i

podszedł do okienka. Zerknął przez dziurawą zasłonę.

- A skąd u ciebie ta pewność? – na zewnątrz panował harmider. Jakiś drobny złodziejasek odcinał grubą sakiewkę grubemu szlachcicowi, zaciekle kłócącemu się z przekupką. Książę na ten widok uśmiechnął się i odwrócił do Wojsława.

- Jakem przeskoczył palisadę, natenczas jam jednego ze strażników dojrzał. Leżał bez ducha z nożem w grdyce.

- Powiadasz zatem, że Mieciał ledwie czyha za rogiem? – Duncan uśmiechnął się szeroko i dodał.

- Dziś łącno nam pójdzie to szukanie języka. Ruszajmy zatem...

\*

Niski korytarz schodził w dół. Omszałe kamienne ściany ociekały wilgocią. Stojący pośrodku korytarza Garlil ze wstrętem spojrział w dół, na chodnik okryty całunem ciemności i westchnął głęboko.

- Nie ma co czekać zmiłowania – mruknął pod nosem. Tuż przed baronem przeszedł strażnik z łuczywem i podążył w dół. Garlil nabrał powietrza i postąpił krok na zmurszałe kamienne stopnie. Ostrożnie stawiał kolejne, bacząc, by chwiejący się niepewnie płomień nie znikł sprzed jego oczu. Jak każdy elf nie lubił schodzić pod ziemię. Teraz w jego nozdrza uderzał jeszcze dodatkowo zapach stęchlizny. Ciemność wydawała się napierać z każdej strony, dusić. Garlil przyspieszył kroku i omal nie stracił równowagi. Oparł się o jedną ze ścian, czując pod palcami oślizgły mech. Ze wstrętem cofnął rękę. Po dłuższej wędrówce, wokół zrobiło się jaśniej. Dotarli do celu, niewielkiej piwniczki, w którym poprzednia straż miejska trzymała beczki wina. Cesarscy gwardziści znaleźli dla niej znacznie lepsze zastosowanie. U powały zawieszono dwie lampy oliwne. Usunięto kilka pustych beczek, by zrobić miejsce na stół do którego przymocowano człowieka, schwytanego przez straż zaledwie przed trzema dniami. Baron podszedł bliżej spoglądając na unieruchomionego przeciwnika. Strażnik widząc to oświetlił spętanego człowieka trzymaną w dłoni pochodnią. Światło ognia wyluskało zaciśnięte wargi, kilkudziesięciodniowy zarost i błyszczące oczy. Buntowniczy wzrok wyzywający jego, barona Garlila.

- Powiedział kim jest? – kat ubrany w czerwony płaszcz pokręcił przecząco głową. Strażnik podniósł do góry łuczywo i dodał.

- Musi być ktoś znaczny, ma znaki na piersi i sygnet. Schwyciłem go, gdy próbował wejść za palisadę nocą. Czemu nie zaczekał do dnia? – zapytał retorycznie i oświetlił łuczywem dłoń schwytanego. Wspomniany sygnet nie przedstawiał dużej wartości, ale wyryty był na nim symbol gryfa. TEN SYMBOL.

- O to właśnie zapytamy naszego gościa – Garlil skinął głową na kata i usiadł pod ścianą na drewnianym zydlu. Z kamiennym spokojem spoglądał, jak postać odziana w brudny czerwony płaszcz miechem roznieca ogień. Umieszczone w nim narzędzia poczęły przyjmować czerwoną a potem białawą barwę. Kątem oka dostrzegł błysk wzroku skrupowanego więźnia, leżącego w taki sposób by mógł obserwować ogień. Baron pokiwał powoli głową a jego twarz wykrzywił okrutny uśmiech gdy rzekł spokojnym głosem.

- Mam nadzieję, panie nieznajomy, że nie zaczniesz zbyt wcześnie mówić. – beznamiętnie spojrział w rozognione oczy człowieka.

- Lubię takie gawędy z wami – Garlil nie otrzymał żadnej odpowiedzi od więźnia. Przez dłuższą chwilę siedzieli słuchając trzaskających dREW. Baron z zafascynowaniem spoglądał na zniszczone, ale potężne dłonie kata wyciągające z ognia dwa długie szpikulce. I jak zagłębia je w ciele więźnia. Błyszczące oczy człowieka wpatrywały się nadal w barona. Gdy zaskwierczała skóra, mięśnie torturowanego napięły się jak postronki a usta zacisnęły się tworząc cienką kreskę. Nie wydał jednego dźwięku. Kat podniósł szpikulce i spojrział na Garlila. Ten kiwnął potakująco głową. Wówczas kat wziął z ognia rozżarzony do białości trójząb z kilkoma zadziornymi i przytknął do boku człowieka. Tym razem rozległ się stłumiony krzyk. Zaśmierdziała palona skóra. Drugi krzyk zabrzmiał ogłuszająco i więzień zemdlał. Kat polał go wodą i odstąpił. Baron wstał ociężale i podszedł do stołu w chwili gdy człowiek odzyskał przytomność.

- Przemówiłeś zatem. Zaraz zaćwierkasz niczym słowik. – Garlil oparł smukłe dłonie o krawędź stołu.

- Jak się zwiesz? – Znów zaskwierczała skóra, gdy kat przytknął rozpalone żelaza do brzucha ofiary.

Piwniczka rozbrzmiewała to krzykiem ofiary, to spokojnymi poleceniami barona. Kamienna posadzka spłynęła ludzką, czerwoną krwią. Zapadała już noc, gdy z rozbitych warg wypłynęło pierwsze słowo torturowanego

- Miećław – ledwie słyszalny, ale Garlil bez problemu go zrozumiał. Elf usiadł na zydlu na wprost człowieka i odpędził kata ruchem dłoni.

- Zawsze zadziwiała mnie wasza odporność na bóle. Ale podziwowałam się, jako to w waszej mowie gadają. Ogień każdemu rozwiązuje język – wskazał katu leżące, zmasakrowane ciało.

- Czas teraz, by powiedział więcej niż jeno swoje imię – baron podszedł do ciężkich dębowych drzwi prowadzących do korytarza wyjściowego.

- Idę wieczerzać, zatem przygotuj go do wyznań – Elf stanął w drzwiach i spojrzał na kata. Choć ukryty pod czerwonym kapturem, skulił się w sobie.

- Bacz, by nie wyzionął ducha, albowiem wówczas ty znajdziesz się na stole zwierzeń – Oprawca, jego ofiara i strażnik usłyszeli oddalające się kroki Garlila... .

\*

Karcznię wypełniał szum rozmów prowadzonych chyba we wszystkich językach świata. Półmrok spowijał wielką izbę. Na kamiennym kominku hulał ogień a wokół tęgich dębowych stołów i ław uwijało się z tuzin półnagich, spoconych karczmarczyków. Siwy dym wypełniał dach u powały a wokół roznosił się zapach pieczystego, chleba i gorzałki. Przy jednym ze stołów toczyły się kości. Dookoła stała cała grupa elfich gwardzistów zasłaniająca graczy, pilnie obserwując rozgrywkę i głośno ją komentując. W pewnym momencie rozległ się ich wspólny, melodyjny śmiech a moment później rozległo się chrapliwe, bełkotliwe przekleństwo i pomiędzy gwardzistów wysunęła się miedzianokóra postać barczystego orka. Zataczając się usiadł przy sąsiedniej ławie i wlepił tępy wzrok w płomienie kominka. Jego parter od gry chełpliwie wznosił do góry trofea - całą garść kosztowności przygadując kamratom i tocząc wokół zwycięskim wzrokiem, zatrzymując go na pokonanym przeciwniku. Jeden wieczór pozbawił orcze wojownika całego dotychczasowego łupu. Już nie był partnerem do gry, tylko pół-zwierzęciem za którego z pewnością miała go grupa gwardzistów, zwłaszcza po tak wielkiej przegranej. Wreszcie elfy nasyciwszy się swym tryumfem gromadnie opuścili karcznię. Duncan wraz z trzema towarzyszami siedział w rogu. Uważnie obserwowali sytuację. Długo czekali właśnie na taką, gdy elfy potraktują w tak pogardliwy sposób któregoś z najemnych orków. Od czterech dni przesiadywali w tym szynku, z nadzieją na taki właśnie rozwój sytuacji. Toteż nie zwlekali i gdy tylko ostatni elf znikł za okutymi drzwiami lokalu, Duncan podszedł do ławy, przy której siedział ork i usiadł w przeciwległym jej rogu.

- Piwa! – przekrzykując tłum, podniósł dłoń w górę. Chwilę potem pojawił się półnagi

chłopak i postawił na szerokiej ławie dwa drewniane kufle z pieniącym się piwem. Na dźwięk stuknięcia kubków, ork podniósł oczy błyszczące wściekłością. Ta na widok kufła stopniowo się ulatniała. Chwycił jeden i opróżnił go jednym haustem. Szeroką jak łopata dłonią otarł pysk.

- Jeszcze raz ! – Duncan wypił niemal pół na jeden raz. Wstrzymał oddech i opróżnił kufel do końca, zyskując cień zainteresowania współbiesiadnika.

- Nie znoszę pyszałków – warknął wreszcie ork i spojrzał na księcia dzikim wzrokiem, który niejednego mógłby przyprawić o drżenie serca – zawsze lepiej się dogaduję z ludźmi... - Jeszcze przed północą w karczmie „Pod Kogutem” rozpoczęła się prawdziwa zabawa a piwo i mocna, miejscowa wódka lały się strumieniami. Duncan zaś zaprzyjaźniał się ze swym nowym druhem. Dopiero nad ranem ork zdradził nazwę miasta, do którego miał się skierować cesarski bratanek.

- Teraz rruszamy zzz nimmm na Rrrravalion... – głowa orka, po wypiciu niebotycznych ilości piwa kiwała się już niebezpiecznie na boki – Lord wziął nas ww oopiekę. Gdy wodza zbrrrakło.... – głowa uderzyła z głuchym odgłosem w twardą ławę. Alkohol zrobił swoje. Duncan chwilę spoglądał na chrapiącego orka. Wypił zaledwie ułamek tego co jego rozmówca a i tak z ledwością stanął na nogi. Wojsław, który cały wieczór siedział na zydłu pod ścianą, natychmiast podparł księcia. Razem wytoczyli się z karczmy. Gdy księcia owiało zimne, nocne powietrze, otrzeźwiał nieco.

- Będzie szedł prosto na stolicę – wybełkotał Duncan z wysiłkiem – ale wódz orczej hordy nie żyje. To daje nam szansę.

- Jest tylko jedna droga panie, jaką mogą pójść – Wojsław podparł księcia z jednej strony i razem potoczyli się w stronę lepianki.

\*

Księżę Hatrir siedział na tronie wysłanym miękkimi skórami. Niewielka sala rady miasta Lurton rozświetlały kaganki, oświetlając martwego kasztelana, wciąż przyszpilonego orczą rohatyną do ściany. Nikt z zebranych nie zwracał nań uwagi. Zamyślony księżę słuchał opowieści Garlila. Baron obszernie wyjaśniał zeznania uzyskane od tajemniczego człowieka, którego schwytano przy przekraczaniu palisady. Większość była nieistotnymi szczegółami z życia Mieclawa. Ale wśród zeznań przewinęło się też imię króla Barthii

- Stop – na głos księcia, Garlil umilkł, a przez otwarte drzwi do sali zajrzał zaniepokojony

strażnik. Hatrir spojrział nań groźnie i głowa gwardzisty znikła.

Co zatem powiedział o Bridhardzie?

Garlil kiwnął głową.

- To ci się spodoba książę. Mówił o miejscu spotkania, na rozstaju dróg w pobliżu Vuvion. Pono mają tam być wszyscy przywódcy buntu.

Cesarski bratanek podszedł do Garlila i zerknął na rozwinięty manuskrypt, przedstawiający duży fragment ziem Barthii. Baron palcem wskazywał miasteczko.

- Jeśli nawet mają ze sobą te piekielne maszyny, możemy ich rozbić – Garlil zacisnął dłoń i powoli ją rozprostował z chrzęstem bogato zdobionej kolczej rękawicy. Nie mógł sobie darować, że nie brał udziału w bitwie przy Wielkiej Puszczy. Miał nieodparte wrażenie, że mógłby zapobiec jej wynikowi.

- Teraz my ich zaskoczymy – głos księcia Hatrira wyrwał barona z nieprzyjemnych dla niego myśli – ja z główną siłą ruszę traktem. Ty przekradniesz się skrajem Wielkiej Puszczy. Jeśli dopisze ci szczęście, pochwycisz całą czwórkę. A co to oznacza, gdy staniesz przed naszym władcą, nie muszę opowiadać – Garlil na samą myśl postawienia przywódców buntu przed obliczem cesarza Fryderyka uśmiechnął się szeroko. Pochylili się obaj nad manuskrytem. Zgodnie z wszelkimi zasadami elfiej sztuki wojennej, starannie zaplanowali każdy ruch. Było już dobrze po północy, gdy książę wyprostował obolałe plecy i rzekł.

- Ruszaj zatem Garlilu i bacz, by cię nie zauważyli. Ja zaś po rozczłonkowaniu naszego obwiesia ruszę drugim traktem. Spotykamy się zgodnie z planem w Vuvion. Jeśli dotrzesz tam zbyt szybko, czekaj na nas. – Hatrir podszedł do wąskiego okna i spojrział wprost w ciemne niebo i ciągnął dalej.

- Twoim zadaniem jest złapanie czwórki przywódców buntu. Powinni żyć. Dowieziemy ich do Rothret. Znając wuja, będą żałować, że nie zginęli podczas pojmania – twarz cesarskiego bratanka wykrzywił złośliwy uśmiech. Spojrział na barona, który skłonił głowę i odwrócił się. Stał już w drzwiach, gdy dogonił go głos księcia.

- pozostawcie tu ciało księżnej. Nawet po śmierci może nam się przydać... .

\*

Wojsław, Duncan i Renaro siedzieli w karczmie, z ponurymi minami obserwując niewielki oddział jezdnych, kierujący się w stronę głównej bramy. Sami elfi gwardziści, wśród

których było wielu mieczników. Mogli narobić wielu szkód. Książę zastanawiał się co uczynić, gdyż spora część wojsk Hatrira wraz z nim samym pozostawała na miejscu. Duncan patrząc na nienawistne sztandary Cesarstwa zastanawiał się, czy nie wystawiają się zbyt na dekonspirację. Pora była wczesna, większość stałych bywalców spała. Tylko ich trójka, sącząc jakiś tani, obrzydliwy trunek siedziała przy wyjściu. Szczęściem, nikt nie zwrócił uwagi na obdartusów siedzących przy podłej spelunie. Nad miastem błysnęło i rozległ się huk gromu, po czym z nieba, zasłoniętego szarymi chmurami lunął deszcz, za którymi skrył się pochód mieczników. Duncan otarł tłustym rękawem usta, zgodnie z panującym tu obyczajem, by pokazać, że podle podpłomyki oraz lura przemieszana z wodą i udająca piwo, smakowały mu. Rozejrzał się ukradkiem i rzekł do swych towarzyszy, ubranych równie nędznie jak on.

- Jadę na trakt do Vuvion, przekażę królowi, gdzież to ukrywa się nasz książę – spojrzał na najbardziej doświadczonego weterana i mruknął.

- Wojsław ruszysz za nimi – wskazał na gościniec, którym odjechali miecznicy.

- I to chyżo. Deszcz zmyje ślady. – Wojsław bez słowa skinął głową i wstał od stołu nie zaniebując pozorów. Zatoczył się dwa razy i chwiejnie udał się w stronę lepianki będącej ich wspólnym schronieniem.

- A co ze mną? – jednooki Renaro splunął pod ławę spoglądając za odchodzącym Wojsławem.

- Może i starym, ale przecie mam jeszcze krzepę w rękach. – Duncan pokiwał twierdząco głową uśmiechając się w zadumie.

- Ty stary druhu, poczekasz na Mieclawa. Rozwikłaj cóż się z nim mogło stać. Potem dołączysz do naszych ludzi w Vuvione.

Wstali niemal w jednej chwili. Choć zdziwiony barman spojrzał w ich stronę, to sylwetki obu znikły wśród potoków deszczu. Na ławie pozostało niedopite piwo w drewnianych kuflach i kilka złotych monet... .

\*

Rynek Lurton zapchany był po brzegi. Kilku heroldów od rana biegało po mieście. Zapowiadało się widowisko. Nawet przekupnie zaprzestali handlu patrząc na wysoki kamienny podest a wśród kolorowego, wielorasowego tłumu był również Renaro. Ogłoszenie kapitana miejskiej straży o egzekucji opryszka schwytanego na miejskich murach budziło w nim

najwyższy niepokój. Rozległy się werble i na podest wkroczył książę Hatrir poprzedzany przez kapitana straży. Za nim, dwóch elfich strażników ciągnęło bezwładne, pokrwawione ludzkie ciało. Cały pochód zatrzymał się i jeszcze przez chwilę brzmiały werble, po czym zapadła cisza.

- Słuchajcie ludu Lurton, albowiem przemówi do was miłościwie panujący książę Hatrir stanowiący tu prawo – rozległ się głęboki bas jednego ze strażników. Cesarski bratanek postąpił krok naprzód i rzekł głośno a jego słowa odbijały się nienaturalnie głośno na rynku, sprawiając, iż zebrany tłum wpatrywał się w niego, niczym w objawione bóstwo.

- Bunt Barthii jest nie tylko buntem przeciw cesarstwu, ale też buntem przeciw bogom. – Hatrir przerwał na chwilę, upajając się władzą nad zebranim motłochem. Jego głos zabrzmiał jeszcze głośniejsze, odbijając się echem.

- Używanie piekielnych grzmotów niesie na buntowników i wszystkich, którzy ich poprą, klątwę. - Skinął dłonią na obu strażników, stojących tuż obok na podeście, którzy podnieśli ciało umęczonego człowieka wyżej. Wśród tłumu rozległy się jęki przerażenia. Kilka kobiet zemdlało. Człowiek został poddany okrutnym torturom. W kilku miejscach, kości wystawały z połamanych rąk, okryte jedynie skórą. Cały jeden bok był spalony, drugi rozorany przez narzędzia kata. Jedna z nóg kończyła się na kolanie. Ciężko było stwierdzić, czy ofiara jeszcze żyje. Renaro widząc to zacisnął zęby. Rozpoznał tę postać. Mieclaw wreszcie się odnalazł. Lubił tego prześmiewcę i nie chciał patrzeć na jego okrutną śmierć. Podpierając się krzywym kosturem, począł się wycofywać. Przeciskał się między stłoczonymi mieszczanami i kmieciami gdy natknął się na elfiego strażnika. Delikatne zmarszczki na twarzy wskazywały na wiek gwardzisty, uważnie spoglądającego na odzianego w łachmany człowieka.

- Dokąd to starcze – elf obrócił go jak frygę – wszyscy mają na to patrzeć! - Renaro skłonił nisko głowę i mruknął coś pod nosem. Przy gwardziście pojawił się kolejny.

- Cóż takiego się dzieje Alaricu? – przybysz był znacznie młodszy i przystojniejszy. Jego zbroję zdobił niedawno otrzymany złoty łańcuch z herbem rodu de Louwen otrzymanym z rąk samego księcia.

- A nic takiego drogi Laonie. – Strażnik wzruszył ramionami i trącając człowieka w ramię dłonią okrytą skórzaną rękawicą dodał.

- Żebrakowi znudziło się widowisko. – Weteran wskazał dłonią na skulonego Renaro. Młodszy z gwardzystów przyjrzał się uważniej żebrakowi. Chwycił za dziurawy kaptur i szarpnięciem zsunął go z siwiejącej głowy człowieka.



- Ejże, ja ciebie pamiętam... – nie dokończył zdania, gdy krótki miecz ze zgrzytem przeszył mu szyję i smukłą głowę. Po zagłębionym do połowy ostrzu pociekła niebieska posoka. Renaro korzystając z zaskoczenia, potężnym pchnięciem ramienia przewrócił Alarica i pognął pustą ulicą, słysząc szczęk zbroi elfa. Nie oglądał się za siebie. Słyszał tylko potężniejący szum rozmów i okrzyki przerażenia. Nagle usłyszał gwizd elfiej strzały i poczuł ból w prawej łopacie. Zwolnił. Gwizdnął drugi pocisk i uciekinier kręcąc piruet padł na ziemię jak rażony gromem, gdy druga grot utkwiał w kręgosłupie Renaro. Jak przez mgłę spoglądał na smukłą postać Alarica, trzymającego w ręku długi łuk. Weteran podszedł do niego. Ku zdumieniu człowieka, dostrzegł w oczach strażnika łzę.

Ten, którego ubiłeś psie, był mi bliższy niżli ktokolwiek na tym świecie – warknął Alaric i jednym pchnięciem miecza posłał Renaro w ciemność. Zaszumiały krople deszczu. Elfi weteran przez chwilę przyglądał się zabitemu po czym odwrócił się i odszedł. Martwy przeciwnik leżał na brukowanej ulicy z rozłożonymi ramionami, spoglądając jedynym, niewidzącym już okiem na rynek, gdzie dopełniał się los jego przyjaciela... .

## UDERZENIE WOJOWNIKA

Powietrze nad piaszczystym traktem falowało, nagrzane promieniami słońca stojącego wysoko na niebie. Po obu stronach piaszczystej, złocistej wstęgi, wyrastała ściana starych drzew, którymi puszcza próbowała odzyskać nawet tak niewielki skrawek terenu. Zerwał się lekki wiatr i poruszył zielony dywan niezmierzonej puszczy nie zmniejszając wszakże żaru panującego na wydawałoby się pustym trakcie. Tylko las po obu stronach drogi zapraszał chłodnym, zielonym cieniem, gdzie skryły się również wszystkie zwierzęta. Natura przesypiała ten czas spiekoty, chroniła się przed lejącym się z nieba żarem. Na trakcie ktoś się wszak pojawił a w miarę zbliżania się postaci można było dostrzec coraz więcej szczegółów. Podróżnik nie miał zbroi a jego okrycie było zwiewne i lekkie. U jego boku widniała jednak klinga miecza, ukryta w prostej skórzanej pochwie. Poruszał się konno może nie najpiękniejszym, ale na pewno wytrzymałym wierzchowcem. Wędrowiec jechał przez chwilę stępa, po czym zatrzymał się na środku traktu, pozornie bez żadnej przyczyny. Podeszedł do jednego z potężnych drzew rosnących niemal na skraju drogi. Na pniu nacięte zostały trzy poprzeczne karby, wycięte całkiem niedawno. Żywica usiłowała zakryć otwarte rany drzewa, ściekała teraz niczym miód, rozgrzana przez słońce. Powietrze przesycone było suchym żywicznym zapachem drzew sosnowych. Jeździec odchylił kaptur, chroniący go do tej pory przed słońcem i wysunęła się spod niego ogorzała twarz i długie blond włosy sięgające ramion. Miał około trzydzieści lat. Usiadł w cieniu wielkiego prastarego drzewa a koń puszczonej samopas zaczął nieopodal skubać trawę. Człowiek schylił się i zaczął nucić cicho pieśń, obserwując potężne, sękaty konary dębu pod którym się schronił. Tylko w Wielkiej Puszczy można było podziwiać takie twierdze natury. Nie minął jeden obrót klepsydry, gdy do uszu wędrowca dobiegł tętent końskich kopyt. Musiało ich być sporo. Podróżny jednym, energicznym ruchem założył kaptur a rękę oparł na rękojeści miecza. Stał pośrodku traktu, tyłem do kierunku z którego nadjechał. Cichym gwizdem przywołał wierzchowca, który karnie przybiegł przerwawszy beztrudnie skubanie trawy na skraju traktu. Podróżny z uwagą obserwował drogę, dłoń na orężu zacisnęła się nerwowo gdy zza zakrętu piaszczystego traktu wyłonił się orszak. Wędrowiec wyteżył wzrok, dostrzegając przebłyskującą gęsto broń i zbroje wśród nadjeżdżających. Rozpoznał również proporce i zdjął dłoń z rękojeści oręża. Przednia straż zauważyła wędrowca, natychmiast kierując nań ostrza lanc trzymanych w dłoniach. Obcy natychmiast zwolnili i powoli podjechali do samotnego człowieka, cały czas celując weń

smukłymi grotami. Dopiero gdy okazał się sygnetem, który zabłysł żywym ogniem w świetle słońca, podnieśli broń. Po twarzach opancerzonych w żelazne kirysy rycerzy ściekał pot.

Podróżny wzdygnął się na samą myśl siedzenia teraz w takiej skorupie. Wraz z trójką jeźdźców cierpliwie czekał na resztę grupy, która wzbijając tumany suchego pyłu, galopem podjechała do wędrowca. Spomiędzy całej chmary rycerstwa wyłoniła się krępa postać masywnego bruneta o kruczoczarnej brodzie i niebieskich, taksujących oczach. Jako jedyny miał zbroję inkrustowaną złotem a jej łuski zaszeleściły gdy unosił dłoń w geście powitania.

- Witaj Duncanie – podróżny ściągnął kaptur i uklonił się nisko.

- Witaj Bridhardzie - jeździec zsiadł z konia. Obaj uściskali się serdecznie i zaraz też usiedli z boku traktu. Wojownicy towarzyszący Bridhardowi niemal natychmiast skryli się w chłodnym cieniu drzew, wypuszczając część potężnych rycerskich koni na popas. Kilku pozostało jednak na trakcie, bacznie obserwując obie jego strony. Wszystkie tarcze znaczone były herbem białego gryfa. Duncan omiół wzrokiem zebranych rycerzy i spojrzał wprost w stalowy błękit oczu swego rozmówcy.

- Nieliczne są już te powstańcze chorągwie - rzucił z przekąsem. Zmęczone twarze rycerzy nie napawały optymizmem. Bridhard powiódł wzrokiem po swej eskorcie i uśmiechnął się.

- To tylko moja gwardia przyboczna. Wróćmy jednak do sprawy - Duncan skrzywił się, jakby wypił łyk mocnej gorzałki. Westchnął głęboko i zaczął mówić.

- Wracam z Lurton. Tam rozsiadły się już elfy i panoszą się jak na swoim. Ubili kasztelana i jego wojów wraz z całym dworem. Nie oszczędzili nawet służby. Dotarł tam też Hatrir, cesarski bratanek.

- Srożą się - mruknął w zamyśleniu Bridhard, spoglądając na swego wasala.

- Tak a my nie zdążyliśmy im jeszcze porządnie zalać sadła za skórę. – Bridhard zerwał się na równe nogi i zatoczył niewielkie koło po czym spojrzał spode łba na Duncana.

- No nie jest do końca jako mówisz. Przy Eante pod Wielką Puszcą nie było im do śmiechu.

- Rzekłeś – Duncan skinął głową z okrutnym wyrazem twarzy. Przeciągnął dłonią po długich włosach i ciągnął dalej.

- Aboć mam dla ciebie poważniejsze wieści. Baron Garlil jest w okolicy. Ostrzy sobie na cię miecz.

- Rychło się to zmieni - Bridhard przyglądał brodę i uśmiechnął się złowieszczo.

- Nie zwlekajmy - Duncan wstał i otrzepał się. – ruszył znacznie wcześniej przede mną i miał czas gdzieś się na nas zasadzić. Musielibyśmy przeczesać okoliczne siola. – spojrzenie telijskiego księcia napotkało spokojny, chłodny wzrok króla Barthii.

- W takim razie podzielimy naszych ludzi na dwa oddziały. Ty poprowadzisz mniejszy. Będziesz przynętą ,na którą złapie się nasz elfi baron. Kiedy już z nim skończymy, żadnego żywego elfa nie będzie w Faro – stwierdził pewnym, silnym głosem Bridhard i wskoczył na wierzchowca. Duncan z przytroczonych do swojego konia juków wyciągnął krótką koleczą koszulkę. Założył ją na swój kaftan. Orszak błyskawicznie ustawił się w szyku marszowym. Na znak dany przez przewodnika jadącego z przodu, oddział ruszył. Po chwili zniknął za zakrętem drogi. Nie pozostało nic co mogło świadczyć o spotkaniu. Nagle coś poruszyło się w krzakach. Na trakcie pojawił się niski, mający najwyżej metr czterdzieści wzrostu niski i chudy osobnik. Jego twarz wykrzywił złośliwy uśmiech.

\*

Łany zboża złociły się w promieniach zachodzącego słońca a delikatny wiatr poruszał czubkami kłosów łanów zboża. Ogromne pole sięgało niemal ściany boru, wzdłuż której biegła szeroka piaszczysta droga. Kilka ptaków, buszujących na skraju pola, poderwało się do lotu. Spłoszyła je duża grupa jeźdźców, która wyjechała spomiędzy drzew. Lekkie, wspaniale rzeźbione, wytrzymałe zbroje mogły należeć tylko do elfiej gwardii. Wyszyty na piersiach wojów herb, wskazywał na przynależność pocztu do armii barona Garlila pacyfikującej zbuntowane królestwo. Rzędy jeźdźców osłaniały idącą środkiem kolumna spętanych jeńców. W większości pokrwawieni, każdy z łańcuchem u szyi. Część ledwie wlokła się naprzód, stawiając nierzadko nagie stopy w gorącym rozgrzanym piasku. Jadący na czele elfich wojowników wysoki i postawny rycerz uniósł w górę dłoń. Oddział zwolnił i zatrzymał się. Na grocie kopii rycerza sterczała głowa jasnowłosej kobiety, amienki, do niedawna będącej żoną kasztelana Lurton. Jej twarz zastygła w wyrazie przerażenia, choć wydawała się niemal żywa. Rycerz przywołał ruchem ręki swego przybocznego i chwilę głośno deliberowali, nie zwracając uwagi na jeńców prążących się na piasku niczym ryby na gorących kamieniach. W oddali począł unosić się dym ognisk elfiego obozowiska i uspokojony oficer dał znak do wznowienia marszu. Jego dłoń, dzierzżąca drzewce kopii przeszyła znielana strzała z łuku. Z lasu wypadła grupa odzianych w

skóry ludzi pomiędzy którymi zabłysła pojedyncza kolczuga. Odziany w nią wysoki blondyn z ogromną siłą rzucił włócznią, trafiając dowódcę podjazdu. Kopia z głową kobiety runęła w wysokie lany zboża wraz z rżącym w ostatnim tchnieniu osiłkiem. Chwilę później brzęknął wyciągany miecz, którym blondyn natychmiast skontrolował atak orczą szablą. Z zimną krwią stawał opór, nawet gdy drugi ork dołączył do ataku. Dopiero jeden z przybocznych, widząc księcia w opałach, przyszedł mu z odsieczą a potężny topór trzymany w rękach Nulniego w kilka uderzeń serca zażegnał niebezpieczeństwo. Wokół rozgorzała bezpardonowa bitwa. Ludzie wykorzystując zaskoczenie przeciwnika, mordowali bezlitośnie swych ciemżycieli. Jeden z napastników przebił swojego przeciwnika włócznią, by po chwili paść pod ciosami miecza innego elfiego rycerza. Błękitna krew mieszała się z czerwoną.

Duncan walczył z mocarnym orkiem. Siła ramienia słabła pod potwornymi ciosami przeciwnika niemal dwumetrowego wzrostu. Widząc, że przeciwnik przewyższa go siłą i sprawnością w walce, odbił parę uderzeń, po czym nagle wyciągnął tkwiący za pasem garłacz i wymierzył go w swojego przeciwnika. Ork jednak był szybki. Błyskawiczny cios trafił w pistolet niszcząc łożę i rozcinając je dwie części. Duncan uderzył ręką uzbrojoną w miecz. Ostrze rozcięło hełm i głowę mocarnego przeciwnika. Ciało zabitego pociągnięte impetem uderzenia, osunęło się na ziemię. Człowiek obrócił głowę, by ujrzeć krwawą jatkę. Ostatni elfi wojownicy, skupieni wokół ogromnego drzewa stali naprzeciw całej hordy atakujących i byłych jeńców uzbrojonych w zdobyczną broń. Jeden z elfów został trafiony ogromnym toporem rzuconym przez półnagiego, potężnego osiłka. Ciężkie ostrze rozplatało wojownika niemal na pół. Pozostali trwali z obnażonymi mieczami, wypatrując chociaż iskierki nadziei. Nie mieli wątpliwości, że odgłosy bitwy dotarły do bliskiego przeciw obozu. Nagle wiatr przyniósł stamtąd zgiełk walki. Teraz wiedzieli już, że są zgubieni. Naprzeciwko pojawiło się paru ludzi odzianych w grube, skórzane kaftany, uzbrojonych w kusze. Tuż za nimi stał Duncan. Wszystko ucichło.

- Rzućcie broń, elfie psy - krzyknął ktoś ze zbrojnego tłumu otaczającego garstkę cesarskich żołnierzy. Odpowiedziała mu cisza. Gwardziści spojrzeli po sobie i porozumieli się wzrokiem. Nie mieli zamiaru się poddać. Widząc to, Duncan wysunął się przed kuszników, aczkolwiek pozostawał poza zasięgiem oręża elfów

- Poddajcie się, albo szczytnie - wzruszył ramionami, gdy elfy kompletnie zignorowały jego wezwanie i dał ręką znak. Okrążeni, rzucili się do ostatniego boju. Przebiegli może z dziesięć łokci i padli naszpikowani wszystkimi możliwymi pociskami. Nie ocalał żaden.

Otoczający ich ludzie z wyciem rzucili się na leżące ciała. Duncan odwrócił wzrok, by nie patrzeć na ćwiartowanie martwych przeciwników, zrywanie zbroi i plądrowanie pozostałego dobytku. Tak nie postępowali Telijczycy, ani na wojnie, ani na polowaniu. Wśród rabujących była również znaczna część jeńców, których prowadził oddział Garlila. Tylko nieliczni mieli na sobie kaftany i poszarpane fragmenty zbroi. Większość z nich stanowili kmiecie, których Garlil umyślił sobie sprzedać po powrocie do Rothret. Ci teraz najokrutniej mścili się na ciałach swych prześladowców i znikali wśród łąnów zbóż. Nie mieli daleko do swych domostw a unosili ze sobą dobro, na które zazwyczaj pracowały całe pokolenia.

Oddział powstańców zbierał się powoli, korzystając z chwilowego rozluźnienia. Duncan obserwował swych ludzi w milczeniu. Niewielu wśród nich było Telijczyków i stąd to dzikie zachowanie. Dostrzegł wśród swoich podopiecznych nowe twarze, to byli ci z oswobodzonych jeńców, którzy postanowili zostać. Nim powstańcy zebrali się z powrotem na trakcie, nadjechał posłaniec od Bridharda, cały uwalany błękitną krwią, niosąc wieść o zdobyciu obozu elfiej chorągwi. Teraz oba oddziały miały się udać pod Bessen by się ponownie połączyć.

\*

Buntownicy jechali stępą, powoli by nie zgubić drogi na odkrytej równinie. Gwiazdy błyskały przymglonym światłem. W chłodnym, nocnym powietrzu unosił się zapach spalenizny i cień wszechobecnej śmierci. W oddali widniały spalone chaty niewielkiej wioski a wśród zgliszcz dziesiątki zamordowanych kmieci. Jadący przodem rycerz zatrzymał się i podał w tył komendę. Wieść o postoju została szeptem podana do ostatnich szeregów. Oddział rozproszył się. Na drodze pozostały dwa cienie wartowników. Czas mijał leniwie niczym woda w meandrach rzeki. Nic nie zakłócało snu zmęczonych trzydniowym ciągłym marszem wojowników. Przez stratowane pole przemknął jakiś mały zwierz. Wreszcie na wschodzie niebo lekko pojaśniało. Pokazała się tam świetlista smuga, rosnąca z każdą chwilą. Nagle dały się słyszeć dzikie okrzyki rozbrzmiewające wokół obozowiska. Na trakcie pojawiły się elfy w ogromnej liczbie. Duncan obudził się akurat by zobaczyć jak jeden z jego wojów zostaje przecięty na pół dwuręcznym mieczem i z nieludzkim wrzaskiem miota się jeszcze jakiś rozlewając wokół potoki krwi. Tuż obok głowy Duncana przemknęła długa strzała, trafiają w plecy innego człowieka. Jak spod ziemi wyłonił się przed księciem, smukły elf, trzymający w obu rękach krótkie miecze. Człowiek miał przed sobą przedstawiciela kasty mieczników. Jeszcze nie słyszał, by ktoś pokonał kogoś

takiego w pojedynkę. Cudem odparł pierwszy atak, zadany obiema klingami jednocześnie. Do walki wmieszał się ów dwumetrowy miotacz toporów, który tak znakomicie kilka dni temu rozprawił się z otoczonym przez hordę elfim łuczniakiem. Jego ogromne ciało przesłoniło Duncanowi przeciwnika. Osilek wyciągnął przed siebie ogromne dwustronne ostrze. Jego usta rozchyliły się w złośliwym uśmiechu. Elf wyglądał niezwykle krucho przy tym potężnym cielsku. Topornik wziął ogromny zamach ale nie docenił ogromnej szybkości przeciwnika. Oba ostrza mieczy zagłębiły się w owłosionej, szerokiej piersi człowieka. Zanim krew z ran zdążyła chlusnąć z rany, elf obrócił się na pięcie. Jedno ostrze rozcięło głowę na pół a drugie odcięło ją od reszty ciała. Bezwładny korpus runął w pył gościńca a Duncan spojrzał wprost w błyszczące oczy miecznika. Wiedział, że teraz jego kolej. Jego umysł pracował błyskawicznie, serce kołatało w piersi jak oszalałe. Sposób w jaki zginął topornik nie pozostawiał mu złudzeń w co do wyniku starcia. Nagle za elfem zadudniły kopyta ciężkich, rycerskich koni. Błysnęła klinga miecza, gładko rozcinając miecznikowi bok aż do kręgosłupa. To był Godfryd, Dytrai oraz posłaniec Bridharda – Nulni.

Wokół trwała jeszcze walka, buntownicy bronili się do ostatka, walcząc ze śmiertelnym wrogiem. Nie było litości i nikt nie rzucał broni. Duncan ogarnął wzrokiem swój ginący oddział i wskoczył na podstawionego rumaka.

- Panie! - Godfryd spojrzał twardo w oblicze Duncana i wskazał na walczących.

- Ratujmy się! - spięli konie do galopu. Wypoczęte wierzchowce rwały szybko do przodu. Stopniowo zgiełk bitwy zostawał z tyłu. Elfy zajęte mordowaniem niedobitków musiały ich po prostu nie zauważyć. Na horyzoncie pojawiły się pierwsze promienie słońca. Wtedy dopiero zwolnili, aby dać wytchnienie koniom. Mający najlepszy wzrok Dytrai dostrzegł na trakcie za nimi pojedyncze kropki. To był pościg.

- Co robimy? - Nulni, odważny w bezpośrednich starciach, nie miał głowy do bardziej skomplikowanych spraw. Duncan wyteżył wzrok. Wydawało mu się, że na horyzoncie widać smuzkę dymu.

- Jesteśmy niedaleko Bessen - mruknął Godfryd.

- Niedługo powinniśmy ujrzeć Bridharda.

Dytrai pokręcił głową. Poruszył się w siodle i syknął, uraziwszy się w ranę na ramieniu.

- Ten pościg dopadnie nas pierwszy. Nie mamy szans. Chyba że... - Co? —Duncan był nieobecny myślami.

- Chyba, że któryś z nas zostanie i stanie do walki z tymi zbrodzeniami.

- Pozwól mi , panie .—Nulni podjechał do Duncana. Ten pokręcił głową.

- Panie, ja człek nieuczony, potrafię tylko walczyć. Elfie psy ubiły moją białkę. Chcę ubić paru, nim zmienią mnie w truchło – zacisnął pięści wielkie jak bochny chleba i dodał z kamienną twarzą.

- To będzie moja obiata.

Duncan spojrział na Godfryda i rzekł.

- Zgoda druhu. Bacz, że król dowie się o twym bohaterstwie – Nulni skinął dumnie głową i odwrócił się spokojnie w stronę pościgu. Trójka jeźdźców pognała galopem a Nulni został sam na środku traktu. Ściągnął z wierzchowca kuszę i długi oszczep. Drzewcem uderzył konia, który z kwikiem pognał przed siebie. Wszedł w złociste łąny zboża i zamknął oczy. Oczyrna wyobraźni ujrział Abreę. Jej złociste loki. Przypomnił sobie jak dotykał jej brzucha i czuł kopanie dziecka. Wtem obraz ten został przysłonięty przez pożogę, ogarniającą wioskę. Swój powrót z narady i Abreę. Tą samą Abreę, która leżała teraz na wznak przed chatą. Jakiś elfi żołdak rozciął jej brzuch – obok leżały zdeptane szczątki. Padł wtedy nieprzytomny i trzy dni leżał w gorączce. Pamiętał to jakby to wydarzyło się wczoraj. Otworzył oczy i spojrział na drogę. Pościg był bliżej. Liczył co najmniej dziesięciu wojów. Otarł łzę i chwycił oszczep w krzepkie ręce.

- Dam wam posmakować mojej sulicy nędzne świnie. – mruknął pod nosem. Pościg zbliżał się szybko. Gromada jeźdźców pędziła, nie oglądając się na boki, z wrokiem wlepionym w ledwie widoczne postaci powstańców na trakcie. Elfy nie spodziewały się ataku. Gdy nagle, celne trafienie oszczepu powaliło pierwszego wierzchowca, dwa jadące za nim po prostu wpadły na niego impetem tratując pechowego jeźdźca. Obaj wojownicy spadli z siodła. Świsnął belt z kuszy trafiając kolejnego konnego, któremu udało się wyhamować konia. Pozostali zlokalizowali miejsce, z którego wystrzeliły pociski i ruszyli tam z okrzykiem. Jeszcze raz brzęknęła cięciwa kuszy raniąc jednego z biegnących. Nulni wyciągnął miecz i wstał ukazując swą roslą sylwetkę. Odbił ostrze lancy pierwszego, konnego napastnika. Potężnym cięciem niemal odrąbał mu nogę. Elf z wyciem runął wprost w zboże, ciągnięty za tkwiącą w strzemieniu drugą nogę, przez spłoszonego wrzaskiem konia.

Przed człowiekiem stanęło naraz dwóch przeciwników. Jeden, pieszy natarł na człowieka mieczem. Sypnęły się iskry. Drugi uderzył toporem. Szczęśliwie, ostrze zerwało tylko część koczugi. Gwardzista uniósł ramię do drugiego ciosu, gdy Nulni potężnym uderzeniem odtrącił



jego oręż i przebił gardło drugiego elfa. Ten brocząc niebieską posoką padł na plecy. Wtem świsnęła strzała z łuku, przesywając Nulniemu prawe ramię na wylot. Spojrzał jeszcze w stronę ledwo widocznej smużki dymu na horyzoncie. Miał nadzieję, że jego suwerenom uda się ująć pogoni. Cofnął się i spojrzał na swojego przeciwnika, który z respektem stanął w pewnym oddaleniu. Na horyzoncie pojawiła się duża grupa jezdnych, powoli zmierzająca w jego kierunku. Trójka elfów stojąca na trakcie uniosła łuki do strzału. Nulni zacisnął zęby.

- Abra, idę do ciebie! - runął na swojego przeciwnika. Elf uchylił się przed ciosem miecza i sam uderzył trafiając człowieka w prawy bok. Odskoczył do tyłu. W tym samym momencie świsnęły trzy strzały wbijając się w pierś samotnego wojownika. Nulni runął na ziemię jak rażony gromem. Ocaleli z morderczej walki cesarscy gwardziści stanęli na trakcie. Poczet, który zauważył wcześniej Nulni, podjechał do straży przedniej. Żołnierze zadrżeli widząc twarz barona Garlila. Arystokrata rzucił tylko trzy słowa smagające niczym bicz.

- Gdzie są buntownicy?

- Tam — Jeden z wojowników wskazał na smużkę dymu.

- W wiosce.....

Orszak natychmiast ruszył galopem, pozostawiając ciało Nulniego na polu... .

## BOHATEROWIE

Nad klęczącym człowiekiem zawisło ostrze miecza. Klinga załśniła w słońcu. Miecz opadł wprost na głowę nieszczęśnika. Mężczyzna brocząc krwią z roztrzaskanej czaszki runął w suchą, pożółkłą trawę, tuż obok prymitywnej, glinianej chaty krytej słomianą strzechą. Ręce ofiary, w ostatnim zrywie zagarnęły nieco ziemi. Nad wydającym ostatnie tchnienie nieszczęśnikiem stanęła smukła postać jego zabójcy. Przystojną twarz wykrzywił grymas nienawiści. Skierował ostrze w stronę umierającego. Z krawędzi kapłała czerwona krew wprost na zabitego.

- Nędzny robaku, śmiałeś podnieść rękę na cesarskiego sługę -elf spojrzał z pogardą na bezwładne, zakrwawione ciało i dodał dumnie.

- Chciałeś ubić barona Garlila? Zdychaj zatem niczym pies – baron obrócił się na pięcie, pozostawiając zamordowanego. Pomiędzy prymitywnymi strzechami widział szerokie klepisko spełniające rolę prymitywnego ryneczku, które teraz roilo się od biednie ubranych kmieci. Na wielu łachmany ledwie się trzymały a wszyscy z lękiem spoglądali na otaczających ich kołem cesarskich gwardzistów. Złowrogo błyszczące ostrza włócznie i lanc celowały wprost w bezbronny tłum. Sprawy wielkiego świata nie dotyczyły tej osady, zagubionej w bezmiarze równin niziny Mendrany, prawdopodobnie jej mieszkańcy nawet nie wiedzieli o powstaniu ludzi. Baron Garlil nie zawracał sobie tym głowy. Najważniejsze było to, że w jednej z chat schwyтали kilku powstańców a wśród nich księcia Telii. To wystarczyło, by w głowie Garlila zapadł wyrok na całą wioskę. Ruszył powoli w stronę gwardzistów, twardy żwir zachrząścił pod końskimi kopytami.

- Baronie! – rozległ się dźwięczny głos dowódcy straży, wysoki i szczupły kapitan gwardii widząc nadjeżdżającego barona zamachał dłonią i podszedł bliżej. Skłonił po żołniersku głową, wystrzyżoną niemal do łysa. Prawy policzek niezwykle przystojnej twarzy oficera przykrywała siatka blizn, pozostałość po torturach. Wykrzywiła się teraz groteskowo, gdy gwardzista stanąwszy przed baronem zameldował służbiście.

- Panie! – oficer wskazał dłonią zbrojną w miecz reński na tłum chłopów.

- Mamy całą wioskę i buntowników – obok mówiącego pojawiło się kilku żołnierzy trzymających włócznie o szerokich ostrzach. Wszyscy odziani byli lekkie, wytrzymałe półbroje. Pomiędzy nimi arystokrata dostrzegł z zadowoleniem dwójkę ludzi odzianych w kolczugi. Jeden

z nich trzymał się za ramię, usiłując zatamować krew płynącą z głębokiej rany. Obaj spoglądali buntowniczo na barona. Zwłaszcza wysoki blondyn, w starannie inkrustowanej, łuskowej zbroi.

- To ich szukaliśmy, wasza wielmożność. – Kapitan wskazał gestem dłoni na więźniów.

- Tak - Baron machnął prawą ręką i zwrócił się do jeńców szyderczym uśmiechem.

- Zatem książę buntuje się przeciwko prawowitej władzy? Może zmieni zdanie? – wysoki blondyn hardo podniósł w górę wzrok.

- Książę Telii nie paktuje z podrzędnym cesarskim kundlem - Duncan splunął w pył gościńca i zamilkł. Twarz Garlila zbladła nieco gdy warknął.

- Na gościniec z nimi! – kapitan skinął głową i wydał rozkaz żołnierzom. Ruszyli wolnym krokiem przez ciżbę kmieci, popędzając obu jeńców. Ludzie rozstępowali się ze strachem. Nikt nie śmiał podnieść wzroku, wbitego w ziemię. Garlil wjechał w krąg swych żołnierzy i siedząc wysoko na swym wierzchowcu spojrzał okrutnym wzrokiem na zgromadzonych kmieci.

Westchnął głęboko i powiedział głośno, starannie akcentując każde słowo.

- Słuchajcie mnie nędzne psy. W waszej zatęchłej norze znaleźliśmy wrogów cesarstwa. Nie jesteśmy jednak niesprawiedliwi ani mściwi. Śmierć czeka tylko winnych. – Baron patrzył kolejno na sylwetki kmieci, jak gdyby chciał ich oszacować. Jego wzrok przeszywał na wylot, taksował i oceniał.

- Który z was jest wójtem? – Z tłumu wysunął się niski, krępy kmieć. Miał starą, pooraną zmarszczkami twarz. Miał co najmniej sześćdziesiąt lat. Ukłonił się nisko. Nie śmiał podnieść wzroku do góry.

- Jam jest, wielmożny panie. – głos starego chłopca drżał ze strachu. Garlil skrzywił się z obrzydzeniem spoglądając na wójta i warknął ochrypłym tonem.

- Przeprowadź swoją rodzinę psie!

- Panie! – wójt rzucił mu się do strzemion.

- Ubij mnie ale ocal moją białkę. Ona niczem nie jest winna! – w wyblakłych, starych oczach proszącego o łaskę pojawiły się łzy.

- Wołaj rodzinę zbrodzeni! – Jeden z żołnierzy kopnięciem powalił klęczącego człowieka na zakurzony gościniec. Podbiegła do niego siwa już niewiasta, w szarych, dziurawych szatach i pomogła mu wstać.

- Otóż i są panie – wymamrotał wójt przez rozbite usta. Młody chłopak z jednej a dziewczyna z drugiej strony wzięli staruszka pod ręce. Kapitan gwardii spojrzał okrutnym

wzrokiem na barona. Dostrzegł w nich żądzę mordy, toteż tylko dla porządku chrapliwie wychrypiał.

- Co teraz panie?

W oczach barona dostrzegł wyrok na wioskę i jej mieszkańców. Baron wskazał dłonią na krąg swych żołnierzy i kmieci, spojrział na rodzinę wójta. W oddali żołnierze przepchali się wreszcie przez stojący tłum wraz z chwiejącymi się na nogach księciem Teli i jego towarzyszem.

- Wyrznąć ich w pień! – na twarzy Garlila pojawił się złowieszczy uśmiech. Jego mina nie zwiastowała nic dobrego dla schwytanych

- Wójta, jego rodzinę i dwójkę bandytów, na PAL!!! – zaakcentował ostatnie słowo tak, by wszyscy słyszeli.

- Plugawicie Dicuę swoimi nędznymi żywotami! Gińcie więc! - Baron zauważył z satysfakcją wrażenie jakie jego słowa wywarły na wieśniakach. Wśród kmieci wszczął się tumult, kobiety poczęły głośno lamentować a dzieci wtórować im płaczem. Jakiś starzec upadł na gościniec. Leżał teraz bezwładnie, a jego ciałem wstrząsały dreszcze. Do konia barona podbiegł jeden z kmieci. Nie miał więcej niż czterdzieści lat a mięśnie mimo szczupłego ciała przeżyły się pod skórą. Twarz okrywał gęsty, szpeciniasty zarost a jego oczy były nieprzytomne ze strachu.

- Panie, nie zabijaj mnie! Chcę ci być najlichszym sługą. Daj mi żyć! – człowiek padł na kolana skamłując coraz ciszej. Jeden z gwardzistów stojący obok Garlila uśmiechnął się złośliwie. Baron odwzajemnił ten uśmiech. Gwardzista wy dobył z za pasa bogato zdobiony sztylet i rzucił go przed klęczącego kmiecia.

- Udowodnij, jak bardzo chcesz mi służyć psie! – Gardłowy śmiech elfich żołnierzy odbił się echem od pobliskiej ściany lasu.

Człowiek zerwał się na nogi i chwycił klingę. Potoczył wokół wzrokiem, w którym panował zwierzęcy strach przed śmiercią. Zadał śmiertelny cios najbliższemu, może trzydziestoletniemu wieśniakowi. Ten trzymając się za krwistą ranę na piersi osunął się z jękiem na ziemię. Wszystko to odbyło się błyskawicznie.

- Dalej – zagrzmiął Garlil. Kapitan gwardzistów wskazał opancerzoną dłonią na tłum chłopów skupionych w kręgu żołnierzy.

- Panie, jeszcze chwila i nie będziemy tu potrzebni. – zachichotał dziko i zaczął powtarzać głośno.

- Człowiek ! Człowiek ! – podchwycili to żołnierze. Teraz ich głosy grzmiąły niczym głos bóstwa. Okrutnego bóstwa pożądanego krwi niewinnych. Rozochocony morderca, z szaleństwem w oczach skierował broń ku następnej ofierze, młodej chłopce. W ostatniej chwili zasłonił ją swoim ciałem mąż. Trafiony w brzuch, z jękiem upadł na gościniec brocząc wokół krwią. Głuchy odgłos padającego ciała był sygnałem dla kmieci podnoszących głowę. Ze wszystkich stron poczęły padać ciosy na zabójcę. Oszalały ze strachu kmieć próbował się bronić, bodąc wokół ostrym sztyletem, ale miejsce powalonych zajmowali kolejni chłopci. Wreszcie morderca został rozbrojony i w kilka chwil pobity na śmierć Baron uniósł rękę, zatrzymując żołnierzy, którzy chcieli wmieszać się w bójkę. Jeszcze chwilę trwała nierówna walka. Padały bezlitosne ciosy. Słyszeć było głucho uderzenia. Jęk bólu. Ostatnie wołanie i zapadła cisza.

- Zabijacie siebie nawzajem. – Garlil rozejrzał się władcym wzrokiem po zabrudzonych krwią wieśniakach. Ta chwila zrywu i okrutnej, bezwzględnej walki wyczerpała ich chęć oporu. Schylali potulnie głowy na głos barona. Jeszcze mieli nadzieję, na wyniesienie w całości głów spomiędzy żądnych krwi gwardzistów. Głos Garlila pozbawił ich złudzeń.

- Pomożemy wam w tym zbożnym dziele! – na znak dany przez barona, żołnierze zaatakowali kmieci trzymanymi w dłoniach włóczniami. Sam kapitan wyciągnął oręż i z wyciem zaatakował kmieci skupionych w grupie. Ciął najbliższego tak skutecznie, że głowa nieszczęśnika oddzieliła się od drgającego w konwulsjach ciała. Krew bryznęła na napierśnik elfa. Rozległy się okrzyki przerażenia mordowanych ludzi. Błagania o litość mieszały się z ostatnimi krzykami rozpacz. Wiatr przestał wiać. Natura jak gdyby ucichła oglądając taką rzeź. Baron widział jak jeden z żołnierzy przebija włócznia młodą dziewczynę. Spojrzał na siedem związanych osób. Wójt płakał patrząc na okrucieństwa dziejące się przed jego oczami. Powoli zapadała cisza, podczas gdy gwardziści przechodzili od ciała do ciała, dobijając nielicznych rannych. Gościniec był czerwony od przelanej krwi. Wokół leżały ciała pomordowanych kmieci. Część gwardzistów, uwalana w ludzkiej krwi, przyciągnęła siedem pali. Natychmiast zaczęli je wkopywać. Kapitan osobiście ostrzył toporem każdy z nich.

- Na pal z nimi! – grzmiał Garlil. Z dziką satysfakcją dostrzegł krople potu na poszarzałej twarzy Duncana. Żołnierze sprawnie wkopali ostatni pal. Baron spoglądał na egzekucję z spokojną twarzą, spoglądając na mękę przeciwników. Książę Telii jako jedyny z zaciśniętymi ustami, które utworzyły cienką kreskę, nie krzyczał. Stopniowo kolejne głosy cichły, w miarę jak ofiary barona mdlały. Gwardziści nie zwracając uwagi na miejsce kaźni sprawnie sformowali

szyk. Do barona podjechał kapitan, od stóp do głów zbryzgany czerwienią ludzkiej krwi, która gdzieśgdzie zdążyła już wyschnąć w brązowe smugi. Oczy oficera zdążyły już stracić swój okrutny, zwierzęcy blask. Jego głos był już całkowicie spokojny.

- Baronie – skłonił lekko głowę i wskazał na cesarskich gwardzistów ustawionych w szereg marszowy.

- Jesteśmy gotowi do wymarszu! – Baron skinął w zamyśleniu i po dłuższej chwili milczenia, przerywanej cichym rżeniem ofiar rzekł.

- Ruszajcie zatem. Ja za kilka pacierzy do was dołączę – w oczach kapitana czało się pytanie, ale Garlil nie zwykł się tłumaczyć swym oficerom. Ponownie skłonił głowę i moment później cesarski oddział ruszył karnie naprzód, pozostawiając za sobą stos martwych ciał, nad którymi już zaczęły krążyć kruki.

Baron patrzył na odjeżdżające wojska i ponownie spojrzął na swoje ofiary. Dzieci wójta i jego żona martwymi oczyma spoglądali w piasek gościńca. Dwójka powstańców, półprzytomna, żyła jeszcze patrząc niewidzącym wzrokiem na swego oprawcę.

- Tak skończy się każde powstanie, zawszawione psy – Oczy elfiego arystokraty zabłyśły w nagle rozpalonym płomieniu gniewu. W smukłych dłoniach trzymał króciwą odebraną Duncanowi. Spojrzął na nią pogardliwie i rzucił tuż przy palu księcia Teli, tuż przy strugach krwi, spływających wprost z pala i wsiąkających w piasek gościńca.

- I zakazana broń wam nie pomoże. Nigdy nie będziecie w stanie pokonać cesarstwa. Zdychajcie z przekonaniem, że wasza śmierć niczego nie dała i pójdzie w zapomnienie. – Arystokrata roześmiał się gardłowym śmiechem. Zapadła cisza po czym księżę Teli wycharczał powstrzymując się by nie zawyć z bólu.

- Nie zostało ci wiele czasu elfi trupojadzie. To ostatnia śmierć człowieka, jaką oglądasz. Jam ci to mówię, Duncan, księżę Teli... – głowa mówiącego opadła. Elf bez słowa wpatrywał się w nabite na pale ciała. Powiewy wiatru poruszyły płaszcz, którym okryte były ramiona Garlila. Z oddali dobiegły arystokratę jakieś niepokojące odgłosy. Wciąż wpatrywał się w twarz Duncana. Księżę jakiś czas temu zamknął oczy. Napięte do niedawna ramiona zwisały bezwładnie. Nagle elfi baron poczuł na sobie czyjś wzrok. Gwałtownie obrócił się w siodle. Dokładnie za nim, wśród ciał kmieci stał krępy brunet. Promienie słoneczne odbijały się od łusek zbroi. Obcy stał dumnie wyprostowany. Prawą rękę oparł na głównej miecza. Baron poznał tę twarz, pomimo gęstej czarnej brody.

- Bridhard z Ravalion? – rzekł powoli, bardziej zdziwiony, niż zaskoczony. Miał przed sobą samego przywódcę powstania, koronowanego władcę królestwa Barthii. Sprawnie obrócił wierzchowca w stronę samotnego powstańca.

- Waleczny baron Garlil z Lyrtii dokonał kolejnego bohaterskiego czynu – w głosie człowieka zabrzmiała głęboka ironia. Ściągnięta twarz Bridharda wyrażała ból i gniew.

- Ubijam każde ludzkie zwierzę, który staje mi na drodze. – przerwał na chwilę baron. Spojrzał znacząco na oręż Bridharda i dodał.

- Także każdego kto wyciągnie zbrojną dłoń przeciw cesarzowi - Baron z pogardą potrząsnął głową. Nabral powietrza w płuca i krzyknął.

- Scaffale!, Anol! – Bridhard rozchylił usta w mściwym uśmiechu.

- Słyszysz cię, o ile jeszcze żyją, ale nie przyjdą. Zostaliśmy tylko my dwaj. – twarz barona ściągnęła się, gdy zrozumiał te odległe odgłosy, świadczące o zacieklej walce. Spojrzał wprost w gniewne oczy króla Barthii i rozchylił kształtne usta w ironicznym uśmiechu.

- Nędzny człowieczku, ubawiłeś mnie. Ja, elf, baron Lyrtii mam dać pola jakiemuś człowieczkowi. Nigdy pachołku. Choćbyś był nawet samym królem, nigdy nie skrzyżujesz oręża ze mną. Pókim dobry, rzucaj broń i nie wyzywaj mnie na pojedynek, któremu nie jesteś w stanie sprostać - mówiąc to, baron wyciągnął dwa reńskie miecze, które złowrogo zabłyśły w słońcu. Garlil skrzyżował je nad głową swego wierzchowca i wyzywająco spojrzał na stojącego wciąż w tym samym miejscu Bridharda.

- Waż zatem swe słowa nędzniku, albowiem wiele waszej posoki utoczyłem tymi ostrzami. – Król Barthii nie mówiąc nic, stanął w lekkim rozkrok i odpowiedział pogardliwie.

- Nie zamierzałem dawać pola rzeźnikowi i rakarzowi, za jakiego cię mam, panie baronie. Nie sądzę zatem podług siebie cóż z tobą zamierzam uczynić. Albowiem sam się pozbawiłeś możliwości odejścia po sprawiedliwym pojedynku. – w dłoni Bridharda pojawiła się króćca, na widok której Garlil zmarszczył brwi. Nie docenił przeciwnika. Miał tylko tę jedną szansę i postanowił ją wykorzystać. Znienacka spiął konia do skoku i wykonał najpiękniejszą, najszybszą szarżę swego życia. Oręż wzniesiony do ciosu błyszczał w słońcu. Precyzyjne dłonie elfa celowały wprost w głowę Bridharda szykując się do zadania morderczego pchnięcia, tylekroć wykonywanego z powodzeniem. Wydawało się, że Bridhardowi pozostało życia tyle co mgnienie oka. Ale człowiek spokojnie uniósł broń i wycelował. Huknął strzał i Bridharda otoczyły kłęby dymu. Koń barona przerażony hałasem stanął dęba, a sam Garlil poczuł silne uderzenie w głowę i

runął przez koński kark wprost do stóp swego przeciwnika. Człowiek zgrabnie uskoczył w bok unikając lecącego ciała. Bridhard trzymając w prawej ręce dymiącą broń podszedł do pokonanego wroga. Garlil leżał na plecach. Pociągłą twarz zalała jasnoniebieska krew. Kiedy człowiek pochylił się nad arystokratą zauważył jak jego pierś unosi się w lekkim oddechu.

- Żyjesz – warknął Bridhard. Jego głos wyrażał teraz wściekłość. Oczy gorzały mu gniewem.

- Tym gorzej dla ciebie MORDERCO !

Na gościńcu ukazała się niewielka grupka jezdnych. Na piersiach wyszyty mieli herb Barthii – białego gryfa na czerwonym tle. Przytroczeni do siodła, pozostali przy życiu żołnierze Garlila z przerażeniem patrzyli na ciało swojego pana, jako jedyne nabite na palu. Niebieska krew, mieszając się z rdzawymi smugami poprzednika, spłynęła szeroką strugą na gościniec... .



## NEKROMANTA

Swąd spalenizny otaczał całą okolicę spalonego dworu. Zniszczone zabudowania pokrywały warstwy sadzy. Osmalone, częściowo spalone belki konstrukcyjne tkwiły samotnie pośrodku pogorzelska, wskazując gdzie niegdyś były wspaniałe zabudowania Leśnego Dworu. Na dawnym dziedzińcu leżały na wpół zjedzone ciała ofiar naglej napaści jaką padła osada. Niegdyś wspaniałe rzeźbiona brama dworska, teraz na wpół spalona i porąbana ciosami topora, nie zasłaniała drogi do wnętrza, gdzie buszowały zwierzęta. W ruinach spalonej sali jadalnej dworu siedziały dwa wilki i szarpały szczątki ludzkie ukryte pod częściowo zniszczoną, ciężką, żelazną zbroją. Ni stąd ni zowąd przerwały i zwróciły łeb w stronę resztek werandy. Zapadła cisza a wiejący wiatr zamarł. Natura jakby przycichła a ciężkie, czarne chmury zakryły słońce. Pomiędzy spalone szczapy drew i szczątki ludzkie poczał wdzierać się mrok. Pełzł powoli, rozlewał się niczym zgnilizna za którą szedł chłód. Wilki czmychnęły w gąszcz, równo z łopotem skrzydeł padlinożerców. Ciemność rosła, zakrywała resztki dworu nieprzejrzystą zasłoną. Przez przerażająco długi moment wszystko wokół zamarło w bezruchu. Od ciemności szły fale chłodu, mroząc najbliższą okolicę, pokrywając najbliższe drzewa srebrzystym szronem. Wtedy zza chmur wyszło słońce. Jego promienie poczęły rozpraszać ciemności, pozostawiając zmrożone szczątki dworu. Wśród nich, ledwie widniejąc w opadającym półmroku stała półprzezroczysta, chuda postać zakryta burym habitem. Powoli przeszła ponad ciałami i znikła w ruinach głównych zabudowań dworu, pomiędzy spalonymi belkami tworzącymi niegdyś konstrukcję dachu... .

\*

W wielkim namiocie cesarskiego bratanka, rozstawionego na obszernej leśnej polanie panowała nerwowa atmosfera. Jak nigdy zdenerwowany książę przechadzał się w tę i z powrotem, ciągnąc za sobą bogaty płaszcz, zdobiony złotymi nićmi, rwącymi się przy każdym kroku po gęstej, suchej trawie. Stojący przy wejściu gwardzista spoglądał na to z ogromnym niepokojem. Nigdy wcześniej książę Hatrir się tak nie zachowywał, to zawsze on podtrzymywał duch bojowy, nie dając nigdy po sobie poznać nawet odrobiny niepokoju. Mimo napiętego planu, od dwóch dni stali w pobliżu niewielkiego miasta Nulln, czekając na podjazd barona Garlila. Spóźniali się. A druh księcia nigdy się nie spóźniał. Nawet gdy szło o polowanie w głębokiej puszczy. Wysłani zwiadowcy nie mogli natrafić na ślad żołnierzy Garlila, donosili za to o kilku

podjazdach buntowników. Dopóki jednak nie wyjaśniła się sytuacja, legion nie mógł rozpocząć pacyfikacji. Gwardzista zauważył uszczypliwie, w myślach że Hatrir wygląda jak miotające się zwierzę w klatce.

- Były wieści od łowców? – gwardzista pokiwał przecząco głową. Jakież mogliby przynieść wieści? Przecież ruszyli z rana. Z zewnątrz dobiegł do uszu obu harmider. Hatrir jak kot skoczył do wyjścia. Wśród elfich wojowników pojawiło się kilku orczych jeźdźców. Jeden z nich wiózł okrwawiony pakunek, przewieszony przez łąk siodła. Krople błękitnej krwi spływały po bokach kudłatego siwka. Zwierzęce twarze nieokrzęsanych sprzymierzeńców cesarskiej gwardii nie wyrażały żadnych uczuć, a jednak Hatrir poczuł ukłucie niepokoju i ruszył naprzód, w stronę nadjeżdżających. Gwardziści rozstąpili się by przepuścić swego władcę. Ten szedł powoli, krok za krokiem, zostawiając głębokie ślady w piasku gościńca. Widział kapiącą błękitną krew, zbierającą się przy końskich kopytach. Zacisnął pięści, by opanować drzenie dłoni. Szybkim ruchem odchylił skóry i lekko się cofnął na widok wykrzywionej, martwej twarzy Garlila. Elfy poczęły nucić pieśń umarłych. Księżę obrócił się na pięcie i niczym tragarz, obciążony z nagłą ogromnym ciężarem, podążył do swego namiotu.

- Nikt nie ocalał mój panie – warknął ork do dowódcy gwardii, Ignisa de Arnes, który podszedł do zabitego razem ze swym władcą. Na dźwięk słów orka, kapitan skłonił głowę i wskazał dłonią na namiot Garlila rozbity tuż obok książecego. Gwardziści sprezentowali broń, gdy orkowie powiedli martwe ciało książecego namiestnika do namiotu. W całym obozie zapadł jakiś marazm. Duszna cisza spowiła namioty w obozowisku i ogniska gdzie zabrakło żołnierskiego gwaru i rozmów. Jak nigdy, słychać było trzask drew i rzenie koni. Cesarscy żołnierze wykonywali swe obowiązki powoli, mechanicznie. Nie spodziewali się podjęcia decyzji księcia zbyt szybko, zwłaszcza po takiej stracie. Gdy nadszedł wieczór, zapadła duszna, przygnębiająca ciemność, bez gwiazd na widnokręgu i bez wieczornych pieśni żołnierskich. Wydawało się, że mrok wręcz dusi ogień. Nawet zwierzęta ucichły. Wśród wszystkich żywych istot w obozie pojawił się niepokój. Zataczał szeroki krąg i powoli opanowywał serca. Zapadał lodowatym ostrzem w umysły strwożonych istot. Dotarł wreszcie do namiotu księcia Hatrira. Obudził się w całkowitych ciemnościach. Czuł kościste palce strachu ukradkiem wdzierające się do zaspanych myśli. Potrzęsął głową, jak gdyby chciał rozproszyc złe mamidła. Wstał z pospiesznie przygotowanego łoża i chwycił za jeden z leżących na podłodze mieczy, ledwo go dostrzegając w gęstych ciemnościach. Ku swemu zdumieniu nie mógł dostrzec krańców namiotu.

Ciemność wydawała się być żywą istotną, wchłaniającą jego, księcia Hatrira, bezbronno przed takim atakiem. Wtedy usłyszał pojedyncze słowa, wdzierające się do mózgu bolesną raną.

- Zostawiliście mnie! – przystojną twarz cesarskiego bratanka pokrył zimny pot strachu. Rozpoznał ten głos. Zapamiętał go na całe życie, gdy jego właściciela nie potraktował z odpowiednimi honorami.

- Mistrzu... – przez ściśnięte gardło nie przeszło mu ani jedno słowo więcej. Serce księcia biło jak oszalałe, umysł księcia starał się odnaleźć w sytuacji. Czuł upiorną obecność maga gdzieś w namiocie a przecież on zginął i spłonął! Obecność de Travoï sprawiała mu fizyczny ból, nie tylko jego słowa. Na aurę, którą otoczył go sam cesarz, Mag w ogóle nie zwracał uwagi, niszcząc wolę księcia. Jak przez mgłę zastanawiał się, czy Garlil go okłamał?. Natychmiast usłyszał dumną odpowiedź de Travoï.

- Nie, twój kamrat nie zełgał. Wsparł zdradziecką kulę buntowników swoim brakiem działania – ku swemu przerażeniu, księżę dostrzegł, jak mrok przed nim gęstnieje. Materializuje się w postać zakrytą habitem. Ledwie zarysowaną a jednak przerażającą, wdzierającą się w jaźń, palącą żywym ogniem, tym bardziej przerażającym, że strzelającym czarnymi płomieniami, sięgającymi sprzętów i szat księżęcych.

- Masz do spełnienia ważne zadanie – każde słowo wwiercało się w umysł cesarskiego bratanka niczym rozgrzany do czerwoności gwóźdź. Hatrir pochylał głowę w dół, by choć trochę ulżyć sobie w bólu a pojedyncze krople jego krwi kapąły wprost na suchą trawę. Głos de Travoï wbijał się w skolatany umysł.

- Odnajdziesz moje ciało w pobliżu dworu Hoer. Zabierz ze sobą ciało księżnej. Masz niewiele czasu – księżę ukląkł na kolano przed zwiewną niematerialną postacią Maga. Ten uniósł w górę obie dłonie. Z kącika ust księcia kapnęła kropla niebieskiej krwi. De Travoï nie zwracając na to uwagi dodał ostatnie zdanie a jego postać poczęła się rozwiewać.

- Nie zwlekaj więc – księżę wstał i ból niemal natychmiast ustąpił wraz z ciemnością w namiocie, która na podobieństwo mgły poczęła się cofać. Księżę widząc to, podszedł energicznie do wielkiego kufra na którym leżał ekwipunek bojowy. Kolczuga zaszeleściła gdy wdziewał ją szybkimi ruchami na siebie. Wybiegł przed namiot, tak gwałtownie, że przysypiający strażnicy przy wejściu podskoczyli jak oparzeni. Hatrir warknął krótko, zapinając bogato zdobiony pas rycerski.

- Kapitan natychmiast do mnie – jeden ze strażników pognał do namiotu straży. Księżę

patrząc za biegnącym, podszedł do jednego z ognisk, przy której leżały orki, jak to w bezpiecznym miejscu. Stał przy potężnym, miedzianoskórym cielsku, częściowo tylko okrytym skórą. Sękaty łapy wystające spod wyprawionej skóry leżały szeroko rozrzucone. Ten ork bez wątpienia czuł się całkowicie bezpiecznie. To był następca Odel-Tara, wodza hordy zabitego w bitwie przy Wielkiej Puszczy. Zbyt młody i zbyt głupi, tak o nim myślał Hatrir i zrobił coś, czego nigdy nie uczyniłby z Odel-Tarem. Wymierzył solidny kopniak w tę górę mięśni. Ale dopiero po solidnym uderzeniu okutym butem w plecy, ork zerwał się na ugięte nogi tocząc wokół wściekłym wzrokiem.

- Wstawaj Korat Tarze – z mściwą satysfakcją wskazał mu dłonią śpiących pobratymców. Budź swoich. Przydadzą się – przez chwilę wyglądało na to, że wielki Korat rzuci się na wiotkiego, smukłego księcia. Posłuszeństwo jednak zwyciężyło i ork mruczając coś pod nosem przystąpił do budzenia swych kamratów, w taki sam sposób, w jaki obudził go księżę.

Hatrir patrzył na to z ponurym wyrazem twarzy, nic nie mówiąc. Widząc wstających miedzianoskórych wojowników klnących na całe gardło poczuł się choć odrobinę lepiej. Po spotkaniu z magiem, nawet tak ulotnym, pozostało obrzydliwe uczucie pogwałcenia najbardziej wewnętrznej części swego jestestwa. Teraz próbował zagłuszyć poczucie bycia ofiarą i bezsilności. Czuły słuch wychwycił zbliżające się głosy strażnika i kapitana de Arnes.

- Ignisie, przygotuj mi piętnastu zaufanych ludzi – odwrócił się przodem do zaskoczonych gwardzistów.

- Wóz z ciałem księżnej również. Zabieram też orków razem z Koratem.

- Panie? – skinął głową zdezorientowany kapitan. Nie był przyzwyczajony do tak szybkich decyzji.

- Obejmiesz dowodzenie nad obozem. Za dwa dni przybędzie baron Adarmiel z własnymi chorągwiami. Wtedy on przejmie od ciebie to brzemie. – De Arnes pochylił się nisko przykładając dłoń do serca, zasłaniając złoty łańcuch będący oznaką cesarskiego namiestnika.

- Tak Panie – księżę odwrócił się i wolnym krokiem podążył w stronę zaimprovizowanej stajni. Nie minęły trzy pacierze, gdy mieszana grupa wojowników, oświetlając sobie drogę pochodniami ruszyła w szybkim tempie szerokim gościńcem. Dudnienie kopyt niesło się daleko w noc. Kapitan cesarskiej straży z zakłopotaniem spoglądał na oddalające się płomienie pochodni. Zachowanie księcia bardziej pasowało do impulsywnych, nieprzemysłanych i dzikich decyzji ludzi. Nie elfiego szlachcica. Wzruszył ramionami i odwrócił się. Horyzont pojaśniał.

Zbliżał się dzień. Kapitan zawsze sądził, że pracy nigdy za wiele, toteż jego aksamitny baryton rozbrzmiał głośno wśród kłębiących się w obozie, równie jak on zdezorientowanych żołnierzy... .

\*

Drobne ptactwo uciekało spod kopyt pędzących koni. Cesarski bratanek gnał na czele nie bacząc na płaty piany spadające z większości koni w orszaku. Słyszał słabe echo głosu maga w swym skołatany umyśle i za wszelką cenę nie chciał dopuścić, by znów zabrzmiał pełną mocą.

- Panie – warknął jadący obok Korat Tar – konie padną. Nie wytrzymają tego tempa.

- Muszą dać radę! – odkrzyknął Hatrir. Niemal w tym samym momencie jego wierzchowiec nagle zatrzymał się i księżę przekoziółkował przez pochyloną końską szyję. Z głuchym hukiem gruchnął o ziemię. Rozległy się orcze przekleństwa i elfie nawoływania. Gwardziści stanęli kręgiem wokół dowódcy. Dwóch z nich zsiadło i pomogło Hatrirowi stanąć na nogi. Księżę nawet nie zdążył otworzyć ust, gdy usłyszał w umyśle bolesne słowa maga, wbijające się w umysł, pozbawiające woli.

- Tą ścieżką! – dostrzegł niemal zarośnięty trakt pośród gęstych krzaków po prawej stronie piaszczystego gościńca. Z wysiłkiem, czując obolałe kości i wewnętrzny strach przed spotkaniem z de Travoi, wsiadł z powrotem na siodło i jak bezwolny golem rzekł.

- Tędy – wskazując wyciągniętą dłonią. Uciśnięciem kolan skierował konia wprost w wąską szczelinę między krzakami i podążył przodem. Za nim, karnie ruszyli cesarscy gwardziści i na końcu orki rozglądający się czujnie na boki. Ich dzika natura ostrzegała ich wyraźnie o nieokreślonym niebezpieczeństwie. W gęstwinie nie dostrzegali zwierząt a po zachmurzonym niebie nie przemykał ani jeden ptak. Za to czułe, orcze nozdrza poczęły wychwytywać zapach spalenizny i zgnilizny potężniejący z każdym krokiem. Im dalej w dziką ścieżkę się zagłębiali, tym las stawał się coraz bardziej ponury i ciemny. Liście na drzewach z zieleni przechodziły w szarość, rozpadające się przy dotknięciu a ścieżkę i całą okolicę pokrywał ciemny popiół. Wreszcie, gdy przez zarośla dało się już dostrzec resztki spalonego dworu, rozległy się parskania koni. Prerażone zwierzęta nie chciały iść dalej. Hatrir zaklął głośno i dosadnie budząc zdumienie kilkunastu mieczników. Zsiadł z wierzchowca i odgarnął jeden z szerokich krzaków. Pod dotknięciem opancerzonej dłoni, poszarzała roślina rozsypała się na kilka części. Wojownicy skupili się w gromadzie. Razem orkowie i elfy. Jednym nie przeszkadzał smród wiecznie niemytych ciał, drugim pogardliwe traktowanie. Teraz liczyło się bezpieczeństwo. Nigdy dotąd

nie musieli stawiać czoła takiemu niebezpieczeństwu, wiszącemu w powietrzu, nieuchwytnemu ale bliskiemu. Serca wszystkich bez wyjątku przepełniała głęboka obawa a gdzieś w zakamarkach umysłów rozbrzmiały zawodzenia. Nieuchwytnie, wysysające siły i odwagę. Hatrir, jak nikt świadom obecności niematerialnych bytów postąpił krok naprzód, wprost w pokrytą popiołem ścieżkę. Wiodła wprost do spalonych szczątków bramy.

- Panie, zawróć – rozbrzmiał zdławiony szept Korata. Potężny ork stał pośród swoich pobratymców, trzymając w potężnej dłoni szeroki topór. W dzikich oczach wodza orków Hatrir po raz pierwszy wyczytał strach. Wzmógł jego własny, ale niepomny na wezwania Korata dotarł do bramy. Główne pale konstrukcyjne, strawione przez ogień nie podtrzymywały już równie zniszczonych wrót. Książę ostrożnie wkroczył na teren dawnego dziedzińca. Wszędzie wokół popiół przykrywał ciała zabitych częściowo zjedzone przez leśne zwierzęta. Drogię przebytą przez księcia znaczyły ślady stóp odcisnięte w ziemi zmieszanej z popiołem. Szedł powoli, nie zwracając uwagi na ślady walki. Próbował zwalczyć ogarniający go paniczny strach. Z zaciśniętymi zębami wstąpił do zrujnowanej, dużej sali, będącej niegdyś salą rycerską dworu. Nagle w umyśle cesarskiego bratanka eksplodował ból. Elf z jękiem upadł na kolana chwytając się za głowę.

- Odszukaj me ciało i nie trać czasu – szept de Travoï wwiercał się niczym rozgrzany do czerwoności trepan. Hatrir niezdarnie wdrapał się po resztkach spalonych schodów na piętro. Ocalał tylko ten fragment budynku, choć fragmenty ścian i podłoga były osmalone i częściowo zwęglone. Tylko kilkanaście desek podłogi nie uległo zniszczeniu. Pośrodku tego obszaru leżała szarobura masa. Twarz księcia ściągnęła się i poszarzała. Domyślał się co to jest. Ręce bezwiednie zacisnęły się w pięści. Dookoła widniało kilka zdrowych desek, nawet nie osmalonych. Nigdy czegoś takiego nie spotkał, a widział wiele spalonych grodów. Podeszedł kilka kroków naprzód i zatrzymał się przerażony. Spod burej płachty wystawał fragment kościstej dłoni.

- Odwróć na wznak. – szept de Travoï zabrzmiał w głowie księcia niczym potężny gong. Na spalone deski podłogi, z smukłych ust księcia kapnęła kropla niebieskiej krwi. On jednak nie zdawał sobie z tego sprawy. Z chorobliwą fascynacją sięgnął dłonią, okrytą kolczą rękawicą, po połę habitu i odrzucił go na bok. Cofnął się a jego umysł zaczął krzyczeć z przerażenia. Twarz Hatrira zbladła. Stała się niemal przezroczysta. Miał przed sobą ciało Wielkiego Maga. Jego wykrzywioną w przerażającym grymasie maskę, w którą zamieniła się twarz de Travoï.

Dostrzegł również osmalony otwór pośrodku klatki piersiowej ciała maga. Książę ukląkł i starając się nie patrzeć na ciało, zasłonił je derką. Hatrir zamknął oczy, ale wciąż miał w pamięci te puste oczodoły i wysuszoną skórę zwisającą na odsłoniętych kościach szkieletu. Elf ukrył twarz w dłoniach. Nie potrafił ogarnąć tego rozumem.

- Znieś me ciało na dół – każde słowo rozbrzmiewało w głowie Hatrira niczym uderzenie młota. Miażdżyło, sprawiało ból, paliło żywym ogniem.

- Połóż na płaskim kamieniu. I czekaj nocy... – książę dopiero po dłuższej chwili oderwał dłonie od głowy. Były pełne krwi. Nie czekał jednak, bojąc się, że nie przeżyje następnej rozmowy z upiornym magiem. Ciało maga nie ważyło wiele, ale książę znosił je na dziedziniec bardzo długo. Teraz dopiero czuł jak bardzo jest wyczerpany. Z wysiłkiem dotarł do ruin dawnej kuchni i położył ciało maga na kamiennym, chlebowym stole. Przez chwile stał w milczeniu, starając się nie paść na kolana. Dopiero po dłuższej chwili chwiejnym krokiem podążył do wyjścia. Niczym starzec, ciągnąc nogę za nogą dotarł do ruin bramy. Oparł się o spaloną w połowie belkę nośną. Stojący nieopodal gwardziści z niedowierzaniem i rosnącym przerażeniem wpatrywała się w sylwetkę swego wodza. Do niedawna kruczoczarne, wspaniałe włosy przenikały nitki srebrzystej siwizny a gładkie dotąd lico naznaczone zostało pajęczyną delikatnych zmarszczek. Jeden z mieczników podbiegł do swego pana, by go podtrzymać. W ostatniej chwili. Hatrir zachwiał się bowiem i gdyby nie silne ramię Evana, runąłby jak długi. Oddychał szybko i głęboko, jak po ciężkiej walce. Dopiero po chwili zauważył, jak miecznik lustruje go z niepokojem.

- Cóż się tak we mnie wpatrujesz? – Z wysiłkiem powiedział książę.

- Straszne rzeczy musiałeś tam Panie zoczyć – Evan pochylił nisko głowę. – Nie widziałem tej siwizny na skroniach rano.

Hatrir w milczeniu spojrział na resztki dworu i wsparty przez swego przybocznego powoli powłóczył nogami w stronę zaimprovizowanego obozowiska. Wojownicy szybko ułożyli kilkanaście skór, na których legł zmęczony książę. Orki poczęły znosić do obozowiska całe naręcza chrustu, widząc, że przywódca zamknął oczy i zapadł w niespokojny sen. Wkrótce wokół obozowego ogniska utworzył się prawdziwy łatwopalny wał. Korat-Tar ufał swemu instynktowi, który ostrzegał i krzyczał w umyśle owczego wodza. Prymitywne zmysły wyczuwały niehumanitarną naturę tej okolicy wzmagające się w miarę jak słońce chyliło się ku zachodowi. Orczy wódz niemal do zmierzchu żył nadzieją, że jednak odejdą. Potem już tylko z rosnącym

zdenerwowaniem oczekiwał zmroku, wnioskując po zachowaniu księcia, że nie wyruszą w powrotną drogę. Zarówno orki jak i elfy schodziły z drogi rozgniewanego watażki, krążącego bez ustanku wewnątrz improwizowanej palisady. Gdyby nie przysięga wioski, nie siedziałby tu jednego pacierza. Orki wyciszył się jak nigdy do tej pory. Wyczuwały to samo, co wódz. Nie było żadnych pohukiwań, przepychanek i bijatyk. Mimo ponurej ciszy i pustki, trzymali broń w pogotowiu, rozglądając się czujnie.

- Co terraz Evanie? – warknął do księżęcego przybocznego, gdy tarcza słoneczna znikła za potężnymi koronami drzew.

- Czekanie jest przymiotem prawdziwego wojownika Koracie – odpowiedział śpiewnie miecznik wpatrując się w dzikie oczy orczego wodza, wydawało się niepomny jego wściekłości, widocznej w każdym drgnięciu tego ogromnego, napiętego do granic możliwości ciała.

- W grrrowcu? – Korat wskazał potężnym palcem na szczątki dworu i zacisnął pięść wielką jak bochen chleba.

- Spodziewasz się co tu zastać??? – orczy wódz ledwie nad sobą panował. Emocje, które nim targały, były ogromne i Korat ledwie nad nimi panował. Evan widział to dokładnie a mimo to rzekł chłodno i beznamiętnie.

- Przede wszystkim – miecznik zbliżył twarz do orczego pyska Korata tak blisko, że dostrzegł krwawe pręgi w jego dzikich oczach.

- Wódz orczej hordy nie wie co to strach? – oczy Korata zajaśniały ogniem. Wódz odruchowo wyszczerzył ostre siekacze, jak do ataku.

- Czy się może mylę? – Evan znaczącym ruchem położył dłoń na rękojeści miecza. Mięśnie wodza pod miedzianą skórą naprężyły się do granic możliwości. Najbliżej stojące orki z niepokojem spoglądały na sytuację, ściskając oręż. Zapadła pełna napięcia cisza.

- Korat-Tar – rozbrzmiał w tym momencie słaby głos księcia, bardziej cichy szept niż rozmowę. Ork dopiero po chwili otrzeźwiał z nienawiści zalewającej jego umysł, tylko i wyłącznie na dźwięk głosu księcia. Odepchnął z rykiem jednego ze stojących obok kompanów i powłókł się do zaimprovizowanego posłania, tocząc wokół krwiożerczo oczyma. Stanąwszy przed leżącym bratankiem cesarza wyprostował się. Wydawał się jeszcze większy niż normalnie. Wydawało się, że lada chwila rzuci się na elfa.

- Wasza wioska złożyła śluby krwi na wierność Cesarzowi – mimo słabości, w oczach księcia ork dostrzegł lód i to go trochę uspokoiło, zacisnął szczęki i tylko drgające mięśnie szyi



świadczyły o zdenerwowaniu wodza.

- Oszczędzaj zatem siły na wroga – Korat-Tar schylił łeb i warcząc cicho, usiadł nieopodal posłania, przy ognisku, płonącym pośrodku obozowiska. Orki widząc, że wódz skapitulował, rozeszły się, zachowując całkowity spokój. Ponownie zapadła cisza. Evan obserwował siadającego Korata i spoglądał na swego przeciwnika bez cienia pogardy. Orki dzięki swym zwierzęcym instyktom, znacznie silniej reagowali na zło ogarniające to miejsce. Sam czuł ten nieokreślony, wewnętrzny niepokój. Wzmagał się za każdym razem, nawet gdy tylko spoglądał w stronę spalonego dworu. Improwizowany obóz niewielkiego oddziału cesarskiego przypominał zły sen. Brak decyzji pogłębiał strach wkradający się w serca mężnych dotąd i nieustraszonych wojowników. Sama natura wydawała się opuścić ruiny spalonego dworu. Popiół wydawał się pozostawać na miejscu mimo wiatru, który zerwał się wcześniej po południu. W miarę jak płynął czas, jak mrok począł się wkradać w las, niepokój pogłębiał się. Elfi gwardziści zaczęli szemrać między sobą. Zachowanie księcia było dla nich całkowicie niezrozumiałe, cały dzień leżał na derkach i oprócz rozmowy z Koratem nie odezwał się do nikogo ani słowem. Orki miały się jak zwierzęta w klatce. Wiatr powoli zanikał a w miarę, jak słońce chyliło się ku zachodowi Hatrir wydawał się wracać do sił. Ciemność nie przyniosła ożywczego tchnienia nocnego chłodu. Mrok coraz ciałniej otaczał obóz. Duchota przesycona smrodem spalenizny wkradała się w szeregi wojowników odbierając im siły. Evan, czuwający przy głównym ognisku z przerażeniem czuł jak słabnie. Dostrzegł ruch w okolicach posłania księcia i ze zdumieniem spostrzegł, że księżę bez większego wysiłku najpierw usiadł a potem wstał i otrząsnął się, niczym pies, który właśnie wyszedł z rzeki. Evan natomiast nieomal się przewrócił, gdy niczym starzec, krok za krokiem ruszył w stronę władcy. Nogi, zazwyczaj zwinne i szybkie, teraz wydawały się ważyć tonę i nie bardzo chciały słuchać miecznika, który wypowiedział błagalne słowa w kierunku Hatrira, nie zwracając uwagi na swą niemoc.

- Panie, uchodźmy stąd! Nie przetrwamy tej piekielnej nocy! – W głosie miecznika, wytrawnego wojownika po raz pierwszy w jego życiu dało się słyszeć strach. Księżę pokręcił przecząco głową, ale nic nie odpowiedział. Spojrzał jakimś dziwnym, niewidzącym wzrokiem na przybocznego i rzekł powoli.

- Idziesz ze mną – głos księcia był głęboki, chrapliwy. Przyprawiający umysł o szaleństwo. Evan ku swojemu zdumieniu posłusznie skłonił głowę. Jego przerażona jaźń nie mogąc wydostać się z zniewolonego ciała próbowała krzyknąć. Ale ze ściśniętego gardła nie

wydo był się ni jeden dźwięk. Książę ruszył naprzód. Postępował krok za krokiem. Wprost ku bramie, która upiornie zarysowała się w blasku płomieni ogniska. Każdy krok miecznika w tamtą stronę był jak zapadanie się w ognistej lawie. Każdym kawałkiem ciała, każdym włosem, czuł upiorny ból. Umysł rozrywało przerażenie. Wśród kłębiącej się na dziedzińcu mgły widział postać leżącą na kamiennym stole. Idący z przodu książę przystanął.

- Tam – wycharczał cesarski bratanek. Miecznik bezwolnie podszedł do leżącej postaci. Z ust Evana ciekła strużka błękitnej krwi. Dłonie, zazwyczaj pewne, śmiercionośne, drgały w ataku śmiertelnego strachu. Gdy ciało miecznika bez jego woli legło obok zwłok maga, z ust Evana potoczyła się piana. Wokół trójki postaci mgła zacisnęła zimny krąg. W umyśle miecznika poczęły się pojawiać słowa. Nie znał ich znaczenia ale każde z nich niszczyło cząstkę jego jestestwa. Z każdym dźwiękiem miecznik tracił fragment siebie. Evan otworzył oczy. Już nie leżał przy stole. Otaczała go ciemność. Zimny, wilgotny mrok sprawiający ból. Spróbował krzyknąć. Odpowiedziała mu cisza. Ciemność poczęła pulsować. I wtedy dostrzegł zarysy postaci. Gdzieś daleko, wpatrzony przed siebie. I ich jęki. Wzmagające się z każdą chwilą. Miecznik próbował się cofnąć. Przebierał nogami i rękoma w gęstym mroku. Wydawało się, że mknie naprzód. Ale gdy się odwracał, nie widział przebytego dystansu. Tylko bezwłose czaszki i puste oczodoły tych, którzy nadchodzili. Rozpoznał jedną z nadchodzących postaci. Wysoką, niewiarygodnie chudą. Roztaczającą wokół siebie zimno i trupi mrok. W przerażeniu usiłował się obudzić. Wysoki kościotrup de Travoi, wielkiego maga, stanął tuż obok. W głębokich oczodołach była nicość... .

Dotknął ramienia Evana. Miecznik poczuł ból. Przeszywający cały umysł i rozpadającą się jaźń. W ostatnim przeblýsku świadomości, próbował chwycić kościstą dłoń. Nie zdołał...

\*

Poranny zefir obudził Hatrira. Książę otworzył oczy ze zdumieniem stwierdzając, że widzi fragment zniszczonego tarasu. Jakim sposobem znalazł się wewnątrz spalonego dworu? Sen w popiele zalegającym cały dziedziniec spowodował, że cesarski bratanek przypominał ulicznego żebraka. Z wysiłkiem wstał na nogi. Bolało go całe ciało. Próbował otrzepać się z lepkiego brudu, gdy wzrok księcia padł na kamienny stół, gdzie niegdyś chłodziły się bochny chleba i padł na kolana.

Na stole leżała wysuszona mumia jego przybocznego. Nagle posiwiały, wysuszony na

wiór z dziurą pośrodku klatki piersiowej. Wyglądał dokładnie jak trup Maga. Na tę myśl, książę przemógł się i podniósł głowę. Ponad linię kamiennego stołu. Nigdzie nie widział burego habitu. I nagle poczuł zwierzęcy strach. Przykuł go do miejsca, w którym klęczał, niczym kamienne dyby.

- Otom i jest – za plecami dał się słyszeć skrzekliwy głos Tasamana de Travoi, Wielkiego Maga. Nie wierząc własnym uszom, książę obrócił się powoli. Ze strachem podniósł schyloną głowę, by spojrzeć na nadchodzącą postać. W promieniach słońca dostrzegł bury habit, skrywający przeraźliwie bladą twarz maga.

- Mistrzu – głos Hatrira przypominał szept. Cesarski bratanek cały drżał wewnątrz. Nigdy nie czuł podobnego uczucia. Gdy poczuł na opancerzonym ramieniu dłoń Tasamana omal nie zemdlał. Zebrał się w sobie i pokonał wewnętrzną słabość.

- Wypełniłem Twą prośbę... – przerwał czując w umyśle niezadowolenie maga.

- Nie ma czasu na twe słabostki – postać w burym habicie postąpiła krok naprzód i zatrzymała się przy długim, kamiennym stole. Przesunęła dłoń nad martwe ciało miecznika. Niemal dotykał poszarzałej, wykrzywionej w przerażeniu maski, którą uczyniła z twarzy Evana nocna, niespodziewana śmierć. W las pobiegły kilka cichych słów od których Hatrirowi ścierpła skóra na grzbiecie. Nie znał ich znaczenia. Nie musiał. Na jego oczach zwłoki żołnierza poczęły się kruszyć i rozpadać. Po kilku minutach, na stole leżała jedynie nieco pyłu.

- Położycie ciało księżnej na tym oto ołtarzu. Rano zabierzecie je i będziecie mogli odejść – głos wielkiego maga brzmiał w uszach księcia długo po tym jak bury habit zniknął za ruinami dworu. Nikt z bitnych wojowników nie chciał podążyć za nim do kamiennego stołu. Dopiero Tar, rycząc na całe gardło, przekroczył zaklętą linię zniszczonej bramy. Ciało księżnej de Hoer spoczęło na prochach Evana. Nie pozostali tam ani chwili dłużej. Gdy Hatrir wraz z orczym wodzem przekroczył próg zaimprovizowanego obozowiska dostrzegł przerażone spojrzenia części gwardzistów. To już nie były dumne, butne elfy. Ich morale zostało złamane. Dwóch z nich leżało związanych w pobliżu ogniska. Z gardel dobiegał skowyt istot oszalałych ze strachu.

- Panie odejźmy stąd – warknął Korat-Tar

- Jeszcze jedna noc Koracie – mruknął zmęczony Hatrir – tylko jedna noc i odejdziemy stąd na zawsze. – Cesarski bratanek z wysiłkiem powlókł się ku ognisku, gdy dobiegł go głos orczego wodza.

- Nie wiem czy zdierrrzemy... – odwarknął ork patrząc spode łba na odwróconego

plecami księcia i dodał już głośno, pewny poparcia swych podwładnych.

- Starszym nie przyrzekaliśmy służyć złu – w oczach Hatrira pojawił się dawny ogień. Brzęknęły wyciągane miecze. Nim orczy wódz zdołał wykonać jakikolwiek ruch, księżę obrócił się i ork poczuł przy swej szyi ostrą stal.

- Nie mów ni słowa więcej. Bo mogą być twymi ostatnimi – z lodowatą pewnością siebie rzekł księżę. Dookoła obu adwersarzy natychmiast pojawiło się kilkunastu wojowników. Rozległy się orcze powarkiwania, elfy poczęły sięgać po broń. Po dłuższej chwili milczenia, Korat opuścił potężne ramiona wysunięte jak do uderzenia.

- Twój wybórrr – warknął zrezygowany. Orki wpatrywały się w ustępującego wodza po czym skupiły się w niewielkiej grupie i poczęły nad czymś intensywnie deliberować. Księżę legł na swym posłaniu. Z goryczą dostrzegł, iż miecznicy stronią od jego towarzystwa, na jego twarz padł cień smutku. Czuł jak opuszczają go siły i wkrótce zapadł w odrętwienie, nie zwracając uwagi na to, co się dzieje wokół. Niebem płynęły ciężkie burzowe chmury. Nim się obejrzeni, rozszalała się burza. Nikt nie śmiał schronić się w lesie. Tkwili tak moknąc i modląc się do bogów Natury o słońce. Dopiero wieczorem rozpogodziło się nieco a potoki wody lejące się z nieba zastąpiła mżawka. Zebrani w obozie cesarskim wojownicy wpatrywali się w kamienny stół na którym leżała księżna. W tej samej chwili, gdy ostatni promień słońca wydał ostatnie tchnienie, przy stole pojawiła się wysoka i chuda postać. Do uszu zebranych dotarła melodyjna pieśń, przyprowadzająca o drżenie duszy. Zgrzytliwe słowa pojawiające się tu i ówdzie powodowały, że kolejny wojownik, tocząc pianę padał w popiół, kopiąc nogami. Gdy rozbrzysło nieziemskie czarne, przerażające światło a wraz z nim zawodzący kobiecy głos skargi, padli wszyscy...

\*

Gościniec wysechł już po ulewie. Słońce poczęło prażyć. Z ukryć powychodziły drobne zwierzęta a ptactwo rozsiewało swe trele wszędzie wokół. Niosły je daleko w puszczy. Nagle zerwały się do lotu. Rozprysły się niczym tafla lodu uderzona młotem kowalskim. Oto środkiem piaszczystego traktu szedł przedziwny kondukt. Kilkanaście elfów odzianych w zbroje mieczników szło zanosząc się śmiechem obłąkanych. Zaczepiali idące z tyłu apatyczne orki. Ich zwierzęca dzikość gdzieś wyparowała. Oczy wpatrzone były w jeden punkt a z pysków ciekła ślina. Wydawały się tego nie dostrzegać.

Dopiero za nimi widniała postać kilku jeźdźców. Nie zwracali uwagi na idących przodem obląkańców, nie zamienili między sobą ani jednego słowa. W promieniach słońca można było dostrzec siwe włosy całej gromady. Podążali wprost ku widocznemu na horyzoncie niewielkiemu miasteczku, do Nulln.

Tylko twarz jednego z jeźdźców nie wyrażała obląkania, przerażenia lub obojętności. Książę Hatrir przestał słyszeć głos swego prześladowcy. De Trevoi odszedł. Z jego umysłu i z jego świata. Miał nadzieję, że na zawsze...

## KRÓL I KSIĄŻĘ

Bridhard obudził się. Rozejrzył się po niewielkim pomieszczeniu. Tak, leżał na poddaszu jednego z domów Danbrig, niewielkiego miasteczka przy granicy z cesarstwem. Powstaniec z powrotem położył się na dobrze wyprawioną skórę. Jego oczy spoczęły na grubych balach tworzących wsparcie dachu. Mruknął coś pod nosem i przeciągnął się. Cienka lniana koszula, która był okryty, zaszeleściła. Przez myśli przewijał mu się obraz swoich żołnierzy. Powstaniec zatoczyło już tak szerokie kręgi, że nawet najbogatsi mieszczaństwo nie bali się podejmować powstańców w swoich majątkach. Rozniecony płomień buntu ogarniał ogromne obszary, obejmując już prawie wszystkie królestwa ludzi a ostatnie sukcesy rozochociły buntowników. Stracenie jednego z dowódców cesarskiej gwardii niebywale wzmocniło siły powstańców. Teraz oddziały buntowników bez przeszkód poruszały się w terenie a elfy, mimo sprowadzenia dużych najemnych oddziałów orków, nie potrafiły opanować sytuacji. Król uśmiechnął się do swoich myśli gdy nagle otwarcie drzwi do pokoju zburzyło spokój Bridharda, który odruchowo chwycił za leżący na stole miecz i skierował go w stronę przybysza. Spojrzawszy w twarz przybysza odetchnął z ulgą. Był to bowiem dowódca jego gwardii przybocznej, Wilfred Harst. Potężny tors przykrywał żelazny napierśnik, znaczony śladami uderzeń. Niespełna trzydziestoletnią twarz kapitana pokrywał niepokój.

- Panie, przyjechał posłaniec z Leśnego Dworu. Został napadnięty a załoga została wycięta w pień.

- Natychmiast go wezwij - Bridhard bez zbędnych pytań zaczął wdziewać ubranie, nie krępując się obecnością podwładnego. Myśli króla biegły jak szalone a serce poczęło bić w piersi jak oszalałe, choć Bridhard nie dał tego po sobie poznać. Harst bez słowa przyjął polecenie i skinął dłonią na kogoś stojącego za solidnymi drzwiami do izby. Wyłonił się zza nich uciekinier, który z trudem, słaniając się na nogach, wszedł do izby widząc jak król przywdziewał zbroję. Bridhard spojrzął na słaniającego się człowieka. Przez nagą pierś uciekiniera biegła głęboka szrama, jeszcze nie do końca wygojona.

- Ledwie się wywinął – mruknął władca i zapytał energicznie nie dając po sobie poznać strachu jaki nim miotał. Strachu o Gabriłę.

- Kimżeś jest i co z księżną – wskazał dłonią na niewielki zydel – siadajcie – przybysz osunął się nań z westchnieniem ulgi. Z wdzięcznością w oczach przyjął gliniany kubek z winem,

podany przez milczącego cały czas Harsta.

- Byłem panie w służbie u pana Krigara – Bridhard kiwnął potakująco głową. Pamiętał dowódcę straży Leśnego Dworu bardzo dobrze.

- Zaatakowali w nocy. Ledwie Pani zdołała zawołać kapitana, gdy przez palisadę zaczęli przelać napastnicy. Walczyliśmy dzielnie – oczy posłańca zabłyły ogniem. Przeżywał w myślach tę walkę jeszcze raz.

- Obronili by my się, aleć się wmieszał jeden druid aboć mnich. Kładł naszych niczym łąn zboża i dopiero pan Krigar położył go strzałem z samopału. Chwilę później legł pod ciosem wysokiego elfa mieniący siebie baronem. – przez moment zapadła cisza, gdy opowiadający zaczerpnął powietrza i dodał, splunąwszy na dobrze heblowane deski podłogi.

- Oby szczeł...

- A co z księżną? – Bridhard czuł wewnętrzny niepokój.

- Panie, zanim dostałem tę oto ranę, widziałem jak unoszą ją na powóz. Potem podłożyli ogień i odeszli. Ocknąłem się w ostatniej chwili – przybysz pokręcił zrezygnowany głową. Wyglądał, jakby uszło z niego całe powietrze. Zapadła cisza. Bridhard w milczeniu trawił zasłyszane wiadomości, szarpiąc bezsilnie rzemienie zbroi. Skrzypnęły drzwi i do izby weszło kilku pacholków. Przynieśli dzban wody i podłomyki, stawiając je na zydlu obok obdartusa który pochłonął to wszystko w mgnieniu oka. Wilfred spojrzał najpierw na pałaszującego obdartusa a potem na swego władcę i rzekł spokojnym głosem, choć dźwięczał w nim ogień.

- Prawdopodobnie została uprowadzona – Harst odruchowo zacisnął dłoń na głównej rękojeści. Metal rękawicy zachrzęścił w zapadłej nagle ciszy. Bridhard patrząc na swego przybocznego odgarnął kruczoczarne włosy z czoła, przypasał miecz i zapytał chrapliwie.

- Kto to mógł być Wilfridzie? - spytał krótko stalowym głosem Bridhard, spoglądając w okno za którym czał się mrok i mgła.

Przyboczny pochylił się lekko a jego oczy błysnęły gniewem gdy rzekł krótko i kąśliwie.

- Sądzę, że był to Garlil. – Wilfried przeszedł kilka kroków i zaciśniętą pięścią uderzył w stare bierwiona z których zbudowano komnatę.

- Nie było jej, gdy go dopadliśmy, pozostaje więc jedna możliwość – twarz Wilfrieda ściągnęła się, gdy wypowiedział to imię, niczym złe zaklęcie

- Hatrir - Król zmełł w ustach jakieś przekleństwo ale przyznawał swemu przybocznemu rację. Garlil dowodził co najwyżej podjazdem a wszystkich jeńców, zwłaszcza takiej wagi,

eskortował z pewnością sam cesarski bratanek. Żaden z nich nie dopuszczał myśli, że księżna mogła zginąć. Nikt, kto poznał zwiewną elfkę, nie był w stanie wyobrazić sobie jej śmierci.

- Ostatnio nasi amieńscy łowcy widzieli podjazd Hatrira poblizu Nulln - powiedział powoli Wilfred jak gdyby chciał powiedzieć „Nigdzie się nie ruszajmy”, patrząc na swego władcę. Dowódca gwardii przybocznej nie był tchórzem, ale nie był też idiotą. Księżę Hatrir był krewnym samego cesarza. Ten niezrównany wojownik zgromadził w swojej chorągwi najlepszych mieczników z całego cesarstwa. W bitwie u wrót Wielkiej Puszczy towarzyszyli mu łucznicy „Elfich Błyskawic”, których Wilfried dobrze sobie zapamiętał. Za tym oddziałem ciągnęła się ponura sława. W pojedynkę rozgromił czterokrotnie liczniejsze wojska powstańców pod Retmon a przyboczna gwardia króla Barthii liczyła nie więcej niż sześćdziesięciu wojowników i najwyżej stu naprędce zebranych buntowników, zazwyczaj nędznie uzbrojonego chłopstwa, dobrych do ataków na elfie osady a nie do walki z regularnym, cesarskim wojskiem. Nie bacząc wszakże na słowa swego przybocznego, Bridhard założył pancerne rękawice. Pachołek stojący dotąd przy drzwiach, podszedł do monarchy i zawiązał rzemienie na królewskiej zbroi.

- Siodłać konie. Wybierz spośród naszych dwudziestu najlepszych żołnierzy – Bridhard szybko i zwięźle wydał rozkazy. Wilfried nawykły do posłuszeństwa skinął głowę i opuścił komnatę. Król odwrócił się w stronę obdartusa, który zdołał w czasie krótkiej rozmowy nasycić głód.

- Winienem ci wdzięczność... – posłaniec przełknął ostatni kęs, nisko skłonił głowę wstał i rzekł drżącym głosem.

- Ragan zwany Kulawym, twój sługa panie – widząc jak król spogląda nań, obdartus ukląkł, skłaniając głowę. Bridhard podszedł doń, chwycił pod ramiona i podniósł na nogi.

- Twój ród po wieki będzie szlachecki – odwrócił się i opuścił izbę pozostawiając osłupiałych pachołków i samego posłańca. Króla gnał niepokój, toteż przeskakiwał po dwa, trzy drewniane, wąskie schody wiodące na dół do szynku. Stamtąd dochodził głos Wilfrieda. Wkroczył do zadymionej izby budząc zrozumiałe poruszenie. Staął na środku izby.

- Za dwa pacierze mamy być w drodze! – rozległ się silny, władczy głos. Pół godziny później oddział stał gotów do jazdy. Król wyszedł przed karczmę, zlustrował dwa rzędy wspaniałych wierzchowców. Z ich chrap buchały kłęby pary. Pancerze, ukryte pod skórą i płaszczami, nie błyszczały w świetle księżyca. Bridhard wsiadł na wierzchowca, czarnego jak



smoła.

- Ruszamy - jego głos odbił się echem a wojownicy jadąc za swym władcą, zagłębili się w mrok nocy. Jechali kłusem. Wilfried, jadąc obok Bridharda od czasu do czasu zerkał w stronę sylwetki milczącego przywódcy. O czym mógł myśleć król? O czekającej ich walce? A może o pięknej elfce, która jako jedna z nielicznych przedstawicieli tej dumnej rasy stała po stronie ludzi. Powszechnie mówiło się zaślubinach Gabrieli i Bridharda. Wilfred uśmiechnął się do siebie. Poczul chłodny powiew na twarzy. Dokładniej owinął się opończą. Jechali dobrze znaną sobie drogą, pokonywaną co kilka dni. Oddział powstańców niczym cieni przemykał gościńcem. Cisza przerywana była jedynie parsaniem koni. W oddali dały się słyszeć odległy zgiełk, dokładnie na drodze ku Nulln

- To mogą być elfy Hatrira - odezwał się nagle milczący dotąd Bridhard. Odchylił opończę i spojrzał na swego przybocznego.

- Tam możemy zacząć nasze poszukiwania... - Wilfried poruszył się niespokojnie w siodle. Sytuacja nie rozwijała się tak, jak przewidywał i dał temu wyraz ostrożnie pytając.

- Jedziemy tam? – król uniósł brwi w zdziwieniu i zapytał, a w jego głosie brzmiało zaskoczenie.

- A jakże inaczej mamy się dowiedzieć gdzież porwali Gabriellę, kapitanie? – przyboczny wzruszył ramionami i odparł bezradnie.

- Sądziłem panie, że najpierw podążymy za Nulln, do amieńskiego obozu.

- Drogi Wilfriedzie – Bridhard uśmiechnął się na poły z pobłażaniem.

- Nie kłopotaj się aż tak mym bezpieczeństwem. Nas dwudziestu wystarczy. A jeśli by pomoc była potrzebna, zawsze będzie czas by ją wezwać... - król ściągnął wodze i skierował swego wierzchowca wprost w stronę odgłosów walki i potężniejącej z każdą chwilą łuny ognia.

- Jedziemy – mściwym głosem warknął władca. Cała grupa, na jedno skinienie dowódcy, ruszyła kłusem. Niespełna jeden pacierz zajęło im dotarcie do granicy lasu, za którą szalała pożoga. Jadący przodem rycerz zawołał coś wskazując dłonią na widniejące przed oddziałem nieregularne kształty chat płonącej wioski i migające cienie uciekających wieśniaków. Brzęknął wyciągany oręż. Ciemne, wilgotne powietrze nocy przeciął krótki rozkaz i kilku powstańców podjechała do pożaru. Książę widział krótką dyskusję z jakimś oszalałym ze strachu osobnikiem. Nie minęły trzy pacierze, jak cały oddział zwrócił konie na trakt do Nulln. Zadudniły na nim okute kopyta, niosąc ten odgłos daleko w noc.

\*

Ciszę i spokój puszczy zakłócał jedynie cichy szum drzew, poruszanych lekkimi powiewami wiatru. Piaszczysty gościniec otoczony po obu stronach nieprzebytą, gęstą puszczą, zabłysł niczym srebrna wstęga w promieniach wschodzącego księżyca. Wzdłuż łąchy piasku przemknął zając a zaraz za nim ryś. Gdzieś daleko mrok zgęstniał i z czerni nocy wyłoniła się grupa jeźdźców. Za nimi ukazała się nieforemna bryła wozu. Poruszali się w milczeniu a ciszę przerywało skrzypienie okutych kół karawanu i parskanie koni. Gdzeniegdzie błysnęła klinga miecza. Orszak wkroczył na oświetloną bladym światłem księżyca część traktu. Na największym proporcju zwisającym wzdłuż drzewca w księżycowych promieniach błysnął złocisty smok, herb Cesarstwa Zachodu. Wydawało się, że jest to pochód cieni. Żaden nie wyrzekł jednego słowa. Nawet wówczas, gdy prowadzący jeździec uniósł opancerzoną w ciężką rękawicę broń. Oddział zatrzymał się. Naprzeciw, całkowicie przegradzając gościniec stała ława rycerzy. W oddali widniał szereg konnych. Nawet w ciemnościach dało się dostrzec przednie pancerze i obnażoną broń. Elfy, doskonale widząc w nocy dostrzegły też rozwiniętą chorągiew białego gryfa. Cesarscy żołnierze natychmiast utworzyli obronny krąg.

- Któż wy jesteście? – nocne, zimne powietrze przeszły spokojny, pewny głos cesarskiego bratanka, księcia Hatrira. Odpowiedziała mu cisza. Przeciwnicy stali nieporuszeni, niczym mur z żelaza. Zerwał się wiatr i proporce poczęły łopotać, niczym wielkie orle skrzydła.

- Jeszcze raz pytam, któż wy jesteście – zabrzmiało wołanie elfa. Z milczącego szeregu wyłoniło się dwóch barczystych mężczyzn. Jadąc stępą dotarli na rzut strzałą do elfiego kręgu i zatrzymali się. Światło księżyca wyluskało z mroku lufę karabinu skałkowego, trzymanego w rękach jednego z jeźdźców. Elfy nie mogły mieć żadnych złudzeń co do przynależności milczących jeźdźców. Z kręgu na spotkanie wyruszył książę Hatrir wraz ze swym przybocznym. W miarę, jak zbliżali się, cesarski bratanek coraz szerzej otwierał oczy ze zdumienia. W jednym z jeźdźców rozpoznał oto pierwszego buntownika, tego, który rozpętał całą zawieruchę. Twarz jakże podobną do Rolanda. Zatrzymał się na wyciągnięcie ręki od króla Barthii i siląc się na lekki ton rzucił.

- Nie spodziewałem się, że sam opuścisz bory... - Hatrir przerwał po raz pierwszy w życiu, gdy Bridhard przerwał mu krótko.

- Jam jest Bridhard z Revalion z woli bogów natury pan tych ziem. – w jakiś sposób

zmusił cesarskiego bratanka do posłuchu, co ze zdziwieniem dostrzegł przyboczny księcia.

- Rozkazuję wam złożyć broń i wydać jeńców, albowiem nie będzie litości dla tchórzki walczących z kobietami. – Ostatnie słowa wyrzekł dobitnie a w jego głosie czaiła się śmierć.

- Jakże harde są te słowa, czy śmiesz je wyrzec na ubitej ziemi? – Hatrir lekko zeskoczył z wierzchowca. Brzęknęły ostrza obu mieczy, które wyciągnął z pochew ukrytych przy bogato zdobionym siodle. Patrząc wprost w lodowato zimne oczy króla Barthii przeciął ze świstem powietrze oboma ostrzami. Bridhard nie bacząc na ostrzegawcze spojrzenie swego towarzysza, ociężale zsunął się na ziemię. Odrzucił lekki płaszcz okrywający ramiona. Jedną dłoń dzierżyła szeroką tarczę z wyrytym nań srebrną nicią Białym Gryfem, druga miecz zachodni, przekazywany w rodzie Revalion z pokolenia na pokolenie. Gniew w jego oczach nie pozostawiał złudzeń, iż nie rachował na zimno swych szans w nadchodzącym starciu. Przez chwilę krążyli wokół siebie, bacznie obserwowani przez wszystkich zebranych. Nagle Bridhard nie bacząc na nic, zaatakował. Hatrir z pogardliwą miną uważnie obserwował go, ale nawet jego zaskoczyła szybkość wyprowadzonego ciosu. Sparował go niemal w ostatniej chwili i sam zaatakował prawą ręką. Ostrze ze świstem przeszło po pancernym naramienniku człowieka, krzesząc iskry. Bridhard schylił się i uderzył tarczą odrzucając elfa w tył. Hatrir przetoczył się w tył a nadlatujące ostrze miecza rozcięło jedną z adamantytowych rękawic księcia z szczękiem pękających kółek kolczugi. W jakiś niewiarygodny sposób cesarski bratanek wyslizgnął się spod wydawałoby się śmiertelnego pchnięcia i stanął na nogi. Pochylony po ciosie Bridhard zaczął się już podnosić, gdy w jego stronę pobiegly dwa jednoczesne ciosy. Przed jednym zdołał się zasłonić tarczą. Drugi cios trafił wprost w hełm i odrzucił go, ukazując pełną wściekłości twarz władcy Barthii. Nagle Bridhard dostrzegł ruch za swym przeciwnikiem, gdy przyboczny księcia sięgnął po łuk. Hatrir wykorzystał chwilową dekoncentrację króla i uderzył. Bridhard zdołał się zasłonić przed jednym uderzeniem i w tym momencie poczuł, jak drugi miecz reński dzierzony przez Hatrira przecina twardy królewski kirys i rozcina głęboko jego bok. W tym samym momencie huknął ogłuszający strzał i kapłana buntowników spowił dym. Cesarski bratanek cofnął się nieco, odrzucony impetem kuli. Bridhard w zwolnionym tempie upadł na piasek traktu z ostrzem wciąż tkwiącym w jego ciele. Hatrir padł przy nim na kolana, jak przez mgłę widząc buntownika, strzelającego z dwóch króć do swego przybocznego. Od strony elfiego kręgu dobiegł ryk wściekłości. Pod końskimi kopytami zadudniła ziemia, a nieruchomy dotąd żelazny mur żołnierzy spod znaku gryfa ruszył naprzód, pochylając lance. Elfy, zaskoczone nagłą szarżą,

zwróciły się ku nadjeżdżającym buntownikom. Szarża minęła miejsce pojedynku i w kwiku koni, trzasku łamanych drzewc starła się z bezładną gromadą elfich gwardzistów. Rozgorzał krótki, zacięty bój, raz po raz huczały strzały z pistoletów, płosząc elfie konie i przyczyniając się do powiększenia strat obu stron. Krótki, gwałtowny bój skończył się nagle jak się zaczął. Cesarscy gwardziści nie wytrzymali starcia i poczęli umykać. Zdyscyplinowani buntownicy nie ścigali uciekinierów. Natychmiast otoczyli miejsce pojedynku. W czasie krótkiego starcia, elfi gwardziści zdołali odbić ciężko rannego Hatrira i umknąć w noc. Pozostał nieprzytomny Bridhard, ułożony na grubych skórkach, krwawiąc obficie z szerokiej rany w prawym boku. Wilfried zeskoczył z wierzchowca i przypatrywał się w milczeniu na wysiłki druida próbującego zatamować krwotok. Słyszał ciche słowa zaklęć i modlitw, płynące pośród nocy. Wydawało się, że próby kapłana nie odnoszą skutku ale ni stąd ni zowąd krew przestała nagle płynąć a nieprzytomny Bridhard jęknął cicho. Jego twarz w blasku księżyca nabrała sinej, trupiej barwy.

- Panie – Wilfried spojrział zmęczonym wzrokiem ponad leżące ciało swego suwerena. Spojrzął w oczy przestraszonego, młodego rycerza.

- Znaleźli my księżną – uprzedzając pytania cisnące się Wilfriedowi na usta wskazał opancerzoną dłońią na stojący nieopodal wóz. Kapitan zacisnął usta, widząc jak czwórka rycerzy ostrożnie wyciąga włóki ukryte w wozie. Nie potrzebował tego usłyszeć, ale musiał to zobaczyć. Ruszył w stronę wozu. Krok za krokiem, a każdy z nich kosztował go nie mniej wysiłku niż walka. Gdy dotarł do włók, jego podwładni ze zdumieniem dostrzegli łyzy na jego szerokich policzkach. Widział smukłe ciało księżnej, z rozrzuconymi przepięknymi włosami zakrywającymi twarz zabitej.

- Tai! – głos kapitana rozbrzmiał niczym grom. Wzywany przez niego sierżant pojawił się przy nim błyskawicznie.

- Weźmiesz pana i księżną na wóz, czterech ludzi i ruszył za Nulln, wprost do naszego obozu.

- A wy panie? – sierżant zerknął na zbierających się wokół rycerzy dyszących rzedzą zemsty. Kochali tę elfkę czystą braterską miłością. Teraz chcieli dopaść tego, który ją im odebrał.

- My ruszamy za zbrodzeniami!!! – drużyna spięła wierzchowce do galopu. Dudnienie niosło się echem wśród lasu spowitego w nocnych oparach, w których skrył się oddział powstańców... .

## UCIECZKA

Korony drzew leniwie przesuwwały się pośród błękitnego nieba. Ani jedna chmura nie pojawiła się na niebie. Żaden powiew wiatru nie zmącił tego spokoju. Bridhard poczuł lekkie kołysanie. Otworzył szerzej oczy. Po obu stronach widział stare szczeble drabiniastego wozu. Wypełniały je na wpół zgniła słoma. Wóz podskoczył mocniej na wyboju i król aż się skrzywił czując przenikliwy ból w pociętym boku. Jęknął głośno czym zwrócił na siebie uwagę woźnicy. Wątlę, odziany w obdarte łachmany, odgarnął brudnymi rękoma wiązkę słomy z leżącego.

- Leżta panie. Ranion jesteś bardzo – powiedział bezzębnyimi wargami, sepleniąc. Chwilę przyglądał się leżącemu władcy. Na twarzy rannego widniało cierpienie. Podrapał się po rzadkich włosach pomiędzy którymi przebłyskiwała szara skóra czaszki.

- A stójta, prr – ściągnął ku sobie wodze i wóz ze skrzypieniem zatrzymał się. Bridhard jak przez mgłę usłyszał jak woźnica zeskakuje, pomrukując coś pod nosem. Próbował spojrzeć znów w górę. Obraz przed oczyma ściemniał i król zapadł w nicość.

\*

Trzaskanie drew w ognisku obudziło rannego władcę. Z wysiłkiem uchylił powieki. Leżał na wygodnych skórach tuż obok kamiennego kominka. Za nimi widniała osmolona ściana z grubych bali. Usłyszał ciche stąpania, ale nie był w stanie się obrócić. Poczul na czole chłodną dłoń.

- Nie ruszaj się panie – kobiecy głos był równie kojący jak jej dotyk. Właścicielka głosu przeszła w poblizze ognia. Okazała się być niską amienką. Długie, kruczoczarne włosy kryły smukłe ramiona. Drobnią dlonią wrzuciła jedno z drew. Iskry poszybowały prosto w komin. Odwróciła się. Przyobleczona w misternie utkaną tunikę, postąpiła krok naprzód i usiadła przy głowie Bridharda, podwijając nogi pod siebie. Teraz dopiero widać było jaka jest niewielka.

- Utraciliście sporo krwi, panie – w uszach władcy dziwnie brzmiał akcent dziewczyny. Staral się jej przyjrzeć, ale w blasku ognia dało się dostrzec tylko duże, czarne oczy.

- A czekać musimy. Druidzi pojawią się dopiero o brzasku. – w jej dłoniach pojawił się niewielki, drewniany puchar. Przy pomocy drobnej istoty, Bridhard przełknął trunek. Chłodna, gęsta ciecz przeszła gładko przez gardło. Ku swemu zdumieniu, w miarę jak pił, piekielny ból w boku ustępował. Amienka odsunęła puchar i położyła drobną dłoń na królewskim ramieniu,

powstrzymując go przed podniesieniem się z posłania.

- Napitek pozbawił was bólu, nie wyleczył rany. Leżcie – za plecami króla rozległo się skrzypnięcie drzwi i spokojne kroki. Przy kominku pojawiła się postać człowieka. Odziany na modłę amieńską, ludzki rodowód zdradzała tylko łuskowa zbroja, podbita skórą, najpewniej w celu jej wyciszenia. Gładko wygolona twarz wyrażała niepokój, gdy spoglądał na leżącego.

- Jak on się czuje Aeni? . Nie wygląda dobrze...

- Nie – potwierdziła amienka wstając – ale do przybycia druidów wytrzyma.

Spoglądał przez chwilę w milczeniu na tę parę. Wreszcie zebrał się w sobie i przemówił słabym głosem, choć wypity środek plątał mu język.

- Kim zaś wy jesteście? I gdzie mnie przywieśliście?

Człowiek usiadł przy ogniu na niskim pniaku i wyciągnął nogi wzdłuż kamiennego kominka z lubością. Spojrzał uważnie na swego rozmówcę.

- Jam jest Trigun z Starej Przystani. To moja żona Aeni. Staramy się uratować twoje życie panie. – Bridhard zamrugał oczami. Ostatnią rzeczą jaką pamiętał, był jeden z mieczy Hatrira wchodzący mu pod żebro. I potem nic.

- Twój podjazd został wybity w pień. Pono cesarski bratanek z którymś się pojedykował a nie przeżył. – Aeni przyniosła rozmawiającemu drewniany półmisek, na którym widniało kilka kawałków mięsa i usiadła z drugiej strony kominka.

- Cesarscy uderzyli na Telię. Zabrakło księcia Duncana, by poprowadził ich do zwycięstwa. – Człowiek delikatnie odgryzł jeden kęs i delektował się niczym amien. Gdyby nie postura, Birdhard nigdy w życiu nie powiedziałby, że Trigun jest człowiekiem.

- W ostatniej chwili nasi ludzie zdołali umknąć z wami spod Nulln. Najłatwiej było ukryć się w Wielkiej Puszczy co też uczyniono. – Człowiek z troską spojrzał na bok zasłonięty bandażami.

- Niestety , szybka ucieczka sprawiła, żeś omal nie wyzionął ducha. I tak mielim dużo szczęścia. – Aeni uśmiechnęła się, potakując głową.

- Rada Starszych Szczepu wyznaczyła nas do ochrony twojej osoby panie – Trigun wstał. – Toteż zamierzamy cię ukryć poza kontynentem. Tu jest zbyt niebezpiecznie, nawet w Wielkiej Puszczy. Cesarz – tu splunął z pogardą w popiół zalegający w rogu kominka, co Amienka skwitowała ostrzegawczym spojrzeniem.

- Wybacz – twarz człowieka, dysząca przez moment nienawiścią, przybrała swój

spokojny wyraz.

- Nie ustanie – ciągnął przerwany wątek – aż cię dopadnie. Płatni zabójcy, więdźmy truciicielki. Nie chcemy ryzykować. Do czasu, gdy wydobrzejesz, wyruszysz na wyspy południowe.

- Gabriela...? – słabe pytanie drżało niepokojem je zadającego. W oczach obojga odczytał straszną prawdę.

- Przywiedlim tu jej ciało. Nie żyje panie, ale to osądzą druidzi... .

Zapadło milczenie, które uszanowali właściciele niewielkiej chaty.

\*

Głęboki bór spowijała głęboka noc. Najmniejsze tchnienie wiatru nie poruszało ani jednym listkiem koron wielusetletnich drzew. W oddali dał się słyszeć cichy szelest. Zadrgały poruszone gałęzie leszczyn. Wąską ścieżyną, niemal niewidoczną dla postronnego obserwatora, szedł niewielki pochód zakapturzonych postaci. Na ścieżce pojawiło się kilka wilków. Potężne drapieżniki z uwagą przypatrywały się nadchodzącym postaciom. Zakrwawione pyski uniosły się lekko do góry. Przez ścieżkę przebiegało coraz więcej wilków. Te dwa, które się zatrzymały, podążyły za stadem, nie zaczepiając przechodzących ludzi. Pochód skierował się wprost w płataninę dzikich karłowatych drzew. Dopiero z bliska można było dostrzec cel ich podróży. Częściowo ukryta wśród skał chata, ledwie dostrzegalna wśród załomów skalnych i roślin. Z kamiennego komina sączyła się niemal niewidoczna strużka dymu. Cała czwórka stanęła przed okutymi solidnymi drzwiami. Jeden z przybyszy zastukał w nie, trzymanym w dłoni kosturem.

Chwilę później drzwi uchyliły się bez jednego skrzygnięcia, zalewając przybyszy potokiem światła. W wejściu stał Trigun. Skłonił się nisko i szerokim gestem zaprosił przybyłych do wnętrza. Jaśniejący otwór znikł a puszcę pochłonęła ciemność.

Bridhard ocknął się słysząc kroki. Z wysiłkiem otworzył oczy. Przy kamiennym kominku stały cztery postacie w stroju przypominającym mnisi habit. Zsunęli kaptury z głów rozmawiając cicho i przypatrując się rannemu. Przywódca buntu spoglądał na ich siwe brody i poorane zmarszczkami twarze. I zaniepokojenie widniejące w wyblakłych oczach. Wreszcie jeden z nich odezwał się głębokim, chrapliwym głosem.

- Witaj w kręgu Niss królu Barthii. – Ukłonili się krótko.

- musimy zadać ci kilka pytań, albowiem zbadaliśmy ciało księżnej.

- Ciało? – zapytał z rozpaczą władca. Ton głosu druida nie zostawiał złudzeń co do stanu księżnej.

- Tak władco ludzkich krain – odezwał ochryple drugi z kapłanów, najstarszy chyba spośród całej czwórki – jej ciało zostało pozbawione duszy. – Bridhard patrzył na mówiącego z cierpieniem w oczach. Potężne dłonie pozbawione swej siły zaciskały się w niemej rozpacz.

- Mógł to uczynić jedynie potężny nekromanta. Czy wiesz jak to się stało? – ranny potrząsnął głową. Wśród druidów pojawił się Trigun wraz z żoną. Przynieśli kapłanom jarską strawę, przygotowaną specjalnie przez Aeni. Ci posilili się w milczeniu. Ogień na kominku zaczął przygasać, toteż gospodarz domu rozniecił go ponownie. Dorzucił drewno, które zaczęły trzaskać w żarze ognia.

- Teraz przyjrzymy się twoim ranom – Bridhard usłyszał głos kapłana jak przez mgłę. Napar przygotowany przez druidów odesłał go w krainę snów... .

\*

Król Barthii powoli otworzył oczy. W ustach czuł suchość. Ku swojemu zdumieniu podniósł się na rękach. Przez niewielkie okna, do wnętrza izby sączyło się przytłumione, słoneczne światło. Potrząsnął głową. Senne majaki o pochodzie druidów, zawodzących śpiewach i palącym bólu w ranie znikły ostatecznie. Czy to wydarzyło się naprawdę?. Czy śnił tylko? Skrzypnęły drzwi i w pomieszczeniu pojawiła się zwałista sylwetka Triguna.

- Wreszcie się obudziliście panie – uśmiechnął się człowiek. - Mistrz Rael zakazał nam płoszyć twój sen.

- Jak długo spałem? – Bridhard z pomocą gospodarza oparł się o drewniane bale ściany. Dotknął dłońią zranionego miejsca na prawym boku. Przesłaniał je gruby opatrunek.

- Prawie że dwie niedziele panie – odparł łowca, kręcąc głową – nigdy nie widział tak długiego snu. – Spojrzał na rannego i dodał.

- Musicie być bardzo głodni – Bridhard pokiwał potakująco głową. Chwilę później stała przed nim wielka misa z dziczyzną. Przez dłuższą chwilę posilał się w milczeniu, obserwowany przez gospodarza. Wreszcie popił winem i rzekł.

- Cóż zatem będziemy czynić Trigunie? – głos królewski był stokroć silniejszy od tego sprzed dwóch tygodni.

- Ano zaczekamy na twoje wzmocnienie i ruszamy na wybrzeże... - rozmowę przerwał



trzask otwieranych drzwi. Łowca momentalnie przetoczył się pod ścianę, gdzie leżała jego broń. Powstał na nogi w momencie, gdy w drzwiach pojawiła się wielka i zwalista sylwetka orka. Był opancerzony od stóp do głów. W wielkich, sękatych łapskach, trzymał szerokie szable. Ostrza złowieszczo zabłyśły w słońcu. Nie zdążył postąpić kroku, gdy świsnęła strzała z potężnego łuku Triguna. Z tępym odgłosem ugrzęzła w zbroi. Mimo to potężny osiłek postąpił krok naprzód, w stronę rannego. Na jego drodze stanął znacznie niższy łowca. W jego dłoni błysnęła smukła klinga miecza. Sypnęły się iskry, gdy zderzyła się z szablą napastnika. Jego uderzenie odepchnęło człowieka niemal pod kominek. Trigun natychmiast zaatakował od lewej strony. Nie omylił się. Ork nie potrafił się posługiwać obiema szablami choć w połowie tak dobrze jak elfi miecznik. Miedzianoskóry napastnik nie zdołał zasłonić się przed atakiem i ostrze Triguna ugodziło go wprost w twarz. Łowca odepchnął upadające ciało by dostrzec stojącą w drzwiach wejściowych postać wysokiego elfa. Potężne łuczysko w jego rękach było napięte a strzała celowała wprost w pierś człowieka. Trigun zdał sobie sprawę, że pozostało mu czasu tyle co mrugnięcie oka. I wtedy dostrzegł ledwie widoczny błysk krótkiego miecza. Aeni z krzykiem zaatakowała plecy elfa. Nim ten zdążył podjąć jakąkolwiek decyzję, zwinna amienka zdołała ugodzić go w szyję. W tym miejscu widniała przerwa w misternie zdobionej kolczudze. Błękitna krew trysnęła prosto na kaftan dziewczyny. Trigun otrzepał się i spojrzał na Bridharda wciąż zaskoczonego niespodziewanym starciem.

- Panie, wygląda na to , że ruszymy o wiele szybciej... - ruchem ręki przywołał Aeni. Przytulił niewielką amienkę i szepnęła coś wprost w kruczoczarne włosy. Przed wieczorem byli w drodze... .

\*

Salę tronową zamku Rothret wypełniała cisza przerywana nagłym trzaskiem potężnych drzwi, w których stanął cesarz Dicuti Fryderyk Mściwy. Zdumienie obecnej w Sali służby nie miało granic. Twarz władcy wyrażała krańcową wściekłość. Odgłos stawianych kroków niósł się wśród starych kolumn po tysiącokrotnie powtarzanym echem. Cesarz dotarł do swego tronu, błyszczącego od drogich kamieni i usiadł. Jego smukła dłoń wybijała na bogato zdobionej ramie gwałtowny rytm.

- Wprowadzić! – odezwał się głos cesarskiego majordomusa i na zdobionym, błękitnym dywanie wiodącym wprost do cesarskiego tronu pojawiła się postać Ignisa de Arnes

przybocznego samego księcia Hatrira. Gwardzista skłonił się przed obliczem cesarza i ukląkł. Mimo tego, iż słynął ze swej odwagi, teraz drżał. O życie swoje i swojej rodziny.

- Kapitan cesarskiej straży Ignis de Arnes – obwieścił majordomus i przezornie usunął się za najbliższą kolumnę.

- Jakie wieści nam przynosisz kapitanie? – podejrzanie spokojnym tonem zagadnął cesarz, chociaż jego oczy miały błyskawice. Ignis nadal klęcząc na jednym kolanie, nie podnosząc głowy rzekł cichym, choć mocnym głosem.

- Panie, bratanek twój, księżę Hatrir, jest raniony. Walczy ze śmiercią w Nulln na pograniczu Złych Ziem.

Zapadła cisza przerywana nerwowymi oddechami otoczenia. Przystojna twarz Fryderyka nie zmieniła swego wyrazu gdy zapytał.

- Jakżeż mogło się to stać? Księżę jest przecie wspaniałym wojownikiem? – w głosie cesarza zabrzmiała stal.

- Postrzelono go piekielną bronią podczas pojedynku. Aleć rozszarpali my cały podjazd zbrodzeni – niemal szepnął na swe usprawiedliwienie Ignis. Uniósł głowę by spojrzeć na władcę. Napotkał rozogniony, gniewny wzrok.

- A co z przywódcą buntu? – te słowa wypowiedziane zostały powoli i dobitnie. Kapitan wyczytał w nich wyrok. Teraz zrozumiał. Nie został wezwany na tę salę aby cokolwiek wyjaśniać. Miał stanowić przykład dla wszystkich. Zerwał się na nogi i chwycił z smukłą rękojeść miecza. Nawet zdążył go do połowy wydobyć z pochwy, gdy jednocześnie świsnęło kilkanaście strzał Elfich Błyskawic. Ignis trafiony kilkanaście razy runął jak kłoda. Jego krew zmieszała się z błękitem dywanu. Fryderyk nie poruszył się nawet odrobinę. Od niechcenia machnął dłonią i z mroku spowijającego krużganki znajdujące się po obu stronach sali wyłoniła się smukła postać Reano de Rei – cesarskiego powiernika. W dłoni przystojny elf wciąż trzymał kompozytowy łuk.

- Zabierzcie to ścierwo – cesarz ze spokojem spojrzał na Rei.

- Jeszcze dziś macie pochwyć wszystkich z jego rodziny, mieszkających w Rothret. Rozgłosić, że rodzina de Arnes jest winna zdrady Cesarstwa. Zgładzić wszystkich! – Reano skłonił krótko głowę i ruszył do wyjścia.

- Panie – odezwał się drżącym głosem kanclerz dworu, niski i chudy gnom.

- Jeśli Bridhard zdoła umknąć...

- Nie zdoła – przerwał mu cesarz wstając z tronu. Przez wysokie okna sali wpadł powiew wiatru. Zakołysał ogromnymi, kryształowymi żyrandolami. Delikatne dzwonienie koło rozgniewany umysł cesarza.

- Czterech zabójców zginęło. Pozostali są na tropie tego... - cesarz wyjął usta w pogardzie.

- ...króla. – rozejrzał się wokół, wszędzie napotykał przestraszone spojrzenia dworzan.

- Któremuś z najemników się powiedzie – cesarz odwrócił się by spojrzeć na kulącego się kanclerza.

- Jeśli mój bratanek zemrze, macie zetrzeć Nulln z powierzchni ziemi... – kanclerz potulnie się skłonił i znikł między wysokimi kolumnami sali.

\*

Morze szumiało głośno. Na kamienistą plażę raz po raz wchodziły z sykiem długie, spienione fale. Na niebie wisiały ciężkie, burzowe chmury. Leśną głuszę dochodząca niemal do samej plaży szarpał burzowy wiatr. Wzmagał się z każdą chwilą. Widoczna wśród poruszającej się zieleni postać łowcy skrzywiła sceptycznie usta. Od czterech dni czekali na poprawę pogody. A tu zapowiadało się na kolejny sztorm. Trigun odwrócił się i ukradkiem spojrzął na niewielki szalas, w którym Bridhard trząsał się z zimna. Ranny nie wrócił jeszcze do pełni sił, choć druidzka mikstura sprawiła prawdziwe cuda. W odgłos fal wdarł się szum. Od morza szła prawdziwa ściana deszczu. Ogarnęła niewzruszonego myśliwego wraz z szalaszem i Wielką Puszcza. Przez czarne niebo przeszła cała seria błyskawic. Trigun już się odwracał, gdy w świetle ostatniego pioruna dostrzegł kilka konnych postaci. Zacisnął zęby. Nie sądził, że ktokolwiek ich tu wytropi. Ukrył się głębiej w gęstwinie. Przez ryk fal do jego czujnych uszu doszły go gardłowe orcze głosy i kilka śpiewnych elfich nut. Kolejna błyskawica rozświetliła całą okolicę, trafiając drzewo nieopodal miejsca kryjówki. Natychmiast pojawił się ogień. W jego świetle widać było siedmioosobowy oddział. Zsiadali z wierzchowców i prowadzili je wprost do ognia.

Łowca spokojnie wyciągnął strzałę z kołczana. Z kamienną miną spoglądał na nadchodzące zagrożenie. Dłonią trącił stopę śpiącej Aeni. Amienka obudziła się. Widząc oręż w ręku męża, chwyciła krótki miecz i stanęła obok. W tej samej chwili Trigun spokojnie, niemal od niechcienia wypuścił strzałę. Niczym automat sięgnął po następną i równie spokojnie ją wystrzelił.

Przeciwnicy nawet nie zauważyli pierwszej ofiary. Dopiero przy drugiej, znikli, padając na ziemię. Spłoszone konie, nie trzymane już przez jeźdźców, pobiegły galopem oszalałe ze strachu wśród grzmotów i błyskawic. Trigun wskazał Aeni wielkie zarośla po prawej stronie i sam ruszył w lewo. Usłyszał stłumiony jęk, gdy amienka natknęła się na jednego z przeciwników. Bezszelestnie odchylił krzaki i spojrzał wprost w przekrwione oczy obcego człowieka. Na moment zawahał się. Wykorzystał to obcy atakując ciężkim toporem. Potężny cios minął łowcę o milimetry. Trafił przeciwnika pięścią w twarz i rzucił się w bok. Brzęknęła cięciwa i belt z kuszy trafił w ramię Triguna. Myśliwy poruszył palcami, sprawdzając, czy cios nie naruszył ścięgien ale na całe szczęście belt uwiązał pod skórą. Myśliwy szybko wstał ale jego przeciwnik gdzieś znikł. Blask ognia wyłuskał z mroku dwie walczące postacie. Rozpoznał tę drobną i nie bacząc na nic skoczył Aeni z pomocą i jak spod ziemi wyrósł na jego drodze ów upiorny topornik. Nad głową łowcy zawisło ostrze topora. Trigun błyskawicznie uderzył mieczem, znacząc potężne cielsko przeciwnika krwawą pręgą pośrodku klatki piersiowej. Jednocześnie usłyszał kobiecy okrzyk bólu. W siekącym deszczu pojawiła się wysoka i szczupła elfia postać. Przed nią, ledwie trzymająca się na nogach Aeni. Z szczupłej dłoni kapąła krew, rozmazując się w strugach deszczu. Ogłuszająco zabrzmiał kolejny grzmot.

- Dobrze, chojraku – ciemna postać przekrzyczała huk morza i wiatru.

- Stój spokojnie albo będziesz musiał poszukać sobie innej białki. Pod gardłem Aeni widniało zadarte ostrze sztyletu.

Spomiędzy krzaków wyłoniły się jeszcze dwie postacie.

- Ta piekielna białka posłała Randa do piachu – wrzasnął jeden z przybyszy. Elf skinął głową i zwrócił się ponownie do Triguna stojącego bez ruchu.

- Zakładam , że nic nie wiesz o królu pewnego zbuntowanego królestwa – mimo ciemności elf dostrzegł ruch łowcy i skierował nań sztylet.

- Bez głupich pomysłów... - nie dokończył gdy łowca uderzył mieczem, wytrącając elfowi sztylet z ręki. Aeni wykorzystując, że uścisk zelżał, wysunęła się z żelaznych objęć przeciwnika. Słabnącym ramieniem uderzyła, trafiając elfa w udo. Jego wrzask zagłuszył na moment rozszalałe morze a potężne cięcie miecza Triguna oddzieliło głowę elfa, która potoczyła się pod nogi jego kamratów. Ci jak umówieni, spojrzeli na nią a następnie na obrońcę Aeni, który stał z wyciągniętym mieczem. Jego zbroja skąpana była w błękitnej i czerwonej krwi. W świetle błyskawic wydawał się niczym demon żądny ich ciał i dusz. Odwrócili się i pędem skryli w

krzakach. Wśród ryku rozszalałej natury rozległ się wrzask jednego z wojowników. Drugi parł w stronę plaży ufny w chyżość swych nóg. Dotarł do krańca lasu i odwrócił się. Fala z szumem zakryła mu stopy stojące na kamienistej plaży. Dostrzegł jedynie ledwie żarzące się szczątki drzewa trafionego piorunem i ciemną plamę puszczy. Wtedy usłyszał brzęk cięciwy. W blasku pioruna, dostrzegł postać Triguna stojącego może dziesięć kroków dalej. Spojrzał w dół. W miejsce, gdzie długa strzała, lekko chybocząc się weszła wprost w miękkie ciało na wysokości serca. Ostatni z podjazdu, z jękiem upadł na kamienie plaży. Fala przybojowa zabrała bezwładne ciało. Nad miejscem starcia zapadła ciemność.

\*

Długie fale leniwie kołysały niewielkim żaglowcem, który uparcie podążał w kierunku ledwie widocznego w oddali punktu. Para obdartych majtków szorowała skrzypiące deski pokładu. W cieniu wielkiego, rejowego żagla drzemała zakapturzona postać. Z uwagą obserwowała stan morza. Skrzypnęły drzwi i na pokładzie pojawił się krępy, brodaty kapitan kogi. Rozejrzał się i podparł pod boki. Już na pierwszy rzut oka widać było w nim zakałą każdej morskiej tawerny. Jako jeden z nielicznych żeglarzy, regularnie odwiedzał punkt widoczny na horyzoncie, powiększający się z każdą minutą. Nie każdy miał ten przywilej. W oddali pojawiły się skały o które uderzała spieniona woda. Kapitan skrzywił naznaczoną bliznami twarz, splunął z pogardą wprost w morze i ruszył do rumpla sterowego. Zakapturzona postać powstała i podeszła do burty. Czarne skały otaczały wąskie wejście do portu. Nad nimi, w wodnym pyle rozbijanych fal widniały ogromne bazaltowe maskarony. Na pokładzie umilkły śmiechy i przekomarzania. Przesądni marynarze trwożliwie spoglądali na wielkie rzeźby. Pusty wzrok straszyleł wydawał się wpatrywać w okręt nieustannie. Docierać do duszy każdego na pokładzie. W pobliżu masztu pojawił się niewielki wir powietrza. Potężniał z każdą chwilą. Szarpał żaglem.

- Reja w dół – rozkaz bosmana został wykonany błyskawicznie. Wśród wirującego obłoku pojawiły się zarysy twarzy.

- Kogóż nam tu przywozisz kapitanie – rozległ się szept, przypominający szum morza a jednak mrozący krew w żyłach.

- Otóż i nie wiem. Pętak, szukający szczęścia na Arata-hoi. Płaci to i na własną zgubę sam płynie – zarechotał kapitan.

- Mistrz kręgu Niss Wielkiej Zachodniej Puszczy – odezwała się postać w habicie. Błede

ręce, znaczone siatką żył, odchyliły kaptur. Ciekawskim oczom marynarzy ukazała się twarz starca o wyblakłych niebieskich oczach i rzadkiej białej brodzie.

- Witaj Latoro – szept osłabł, nadal budząc grozę wśród marynarzy.

- Witaj Tularo – starzec uśmiechnął się, choć w oczach nie można było dostrzec wesołości.

- Miło wiedzieć, że przynajmniej jeden z nas pozostał na świętej wyspie.

- Wpływajcie... – wir powoli zanikał – po raz pierwszy kapitanie przywiozłeś na Arata-hoi coś rzeczywiście wartościowego... .

Starzec spoglądał na wir, póki się całkowicie nie rozwiął. Dłoń trzymająca się kostura, zacisnęła się mocno. Dostrzegł już kamienny pomost a na nim kilka postaci. Trzasnęły drewniane kładki, hamując całkowicie kogę. Dwie potężne cumy zawisły na wytartych knagach, owijając się wokół nich niczym żywe węże. Marynarze stłoczyli się na pokładzie w milczeniu i dopiero głos kapitana, rzucającego przekleństwami na prawo i lewo pobudził ich do działania. Huknęła otwierana kłapa ładowni. Starzec niepomyślnie na wszystko co działo się dookoła przestąpił na kładkę i krok za krokiem podążył na kamienne nadbrzeże. Trzy brodate postacie postąpiły krok naprzód.

- Witaj bracie – odezwał się jeden z nich. Był znacznie młodszy. Ale poza czarną brodą i długimi kruczymi włosami, wyglądał niemal identycznie jak przybysz. Latoro skłonił się nisko.

- Witajcie...

\*

Salę Maga wypełniał gwar rozmów. Potężne łuki podpór ginęły w mroku, skrywającym najstarsze malowidła Arata Hoi. Lekki wiatr omiatał wszystkie kąty, nie pozwalając by świece i kaganki zadymiały rozległą salę. Tego wieczoru zgromadzili się tu wszyscy znamienici mieszkańcy wyspy. Jedyne miejsce na Dicuti, gdzie cesarz Fryderyk mógł składać prośby i mieć nadzieję na ich pozytywne rozpatrzenie. Ubiory zebranych mieniły się wszystkimi kolorami tęczy. Rozmawiające grupy składały się z ras zamieszkujących kontynent. Wszędzie słychać było gwar rozmów i gdzieś tam wybuchy śmiechu. Ale atmosfera poważniała z każdą minutą. Wreszcie, gdy za wysokimi oknami zapanował mrok, na schodach rozległy się energiczne kroki. Wśród rozdyskutowanych grup pojawiła się wysoka postać kanclerza wyspy, elfa o siwych włosach i przedwcześnie postarzałej twarzy. Rozmowy poczęły cichnąć. Magowie rozpoznali w

idącej z kanclerzem postaci – druidzkiego mistrza, który odszedł z Arata-hoi niemal dwieście lat temu. Razem stanęli u kamiennego stołu Wielkiego Maga.

Na ogromnej sali zapadła przejmująca cisza. Kanclerz uniósł w górę dłoń na znak, iż pragnie mówić.

- Szanowni mistrzowie, bracia – głos mówiącego docierał do wszystkich, mimo tego, że nie był zbyt donośny.

- Nasz brat Loreto przynosi hiobową wieść, wraz z dowodem prawdy – przy stole pojawiła się kryształowa trumna, wniesiona przez ośmiu tęgich ludzi.

- Oto ciało księżnej de Hoer. Zginęła w wyniku buntu, który zgodnie potępiliśmy – zebrani kiwali głowami z aprobatą. Niektórzy spoglądali na siebie ze zdziwieniem.

- Nie to jest jednak straszliwe... .

- Po raz pierwszy od przeszło tysiąca lat mamy do czynienia z magią nekromancji – wszyscy jak jeden mąż spojrzeli najpierw na kanclerza a potem na ciało ukryte w kryształach. Słowa kanclerza spowodowały piorunujący efekt wśród zebranych. Magia nekromancji omal nie doprowadziła do zniszczenia magicznej emanacji Dicuti. Niemało Magów Świętej Wyspy zginęło zanim ostatni nekromanta został unicestwiony. Duża część tych, którzy brali udział w tamtej walce już odeszła. Kanclerz był jednym z nielicznych, którzy pamiętali te czasy. Z troską spoglądał na swych towarzyszy, tłoczących się wokół kryształowej trumny.

- Kto to taki? – rozległ się głos w tłumie. Zawtórowały mu pozostali.

- Musimy go znać – rzucił dziekan magicznego uniwersytetu, niski i krępy amien – nie ma możliwości, aby talent magiczny tej miary objawił się bez naszej wiedzy...

W górze pojawiły się dłonie Loreto. Na chwilę zapadła cisza.

- Księżna utraciła duszę, która została uwięziona tu, na Dicuti. Ten, który to uczynił musi mieć ogromną moc.

- Czy aby się nie mylicie mistrzu? – zapytał jeden z młodych Magów.

- Sprawdźcie sami – głos Loreto nabrał mocy. Rozejrzał się po zaciekawionych i przerażonych twarzach zebranych. Zrozumiał, że nie zdają sobie sprawy z zagrożenia.

- Od tysiąca lat nikt nie považował się na coś podobnego. Bariera oddzielająca nas od zaświatów została naruszona. Nie wiadomo, czy coś stamtąd nie pojawiło się tu, na Dicuti. Tylko jeden jest, który mógł to uczynić, a nie ma go wśród nas.

Zapadła cisza, po której rozległo się morze szeptów. Wzbierało niczym burzowy ocean by

wybuchnąć feerią pytań. Kanclerz uciął je krótko i spojrzał najpierw na druidzkiego mistrza a potem na zebranych.

- Jeden wyruszył , by bunt zdławić. I nie powrócił. – głos kanclerza zabrzmiał niczym grom, gdy rzekł wprost w zebrany tłum wpatrzony w jego postać.

- Mistrz de Travoï.

Wśród magów rozgorzała dyskusja. Szum rozmów niósł się daleko w burzliwe morze. Arata – hoi otoczyły potężne fale, broniące dostępu do jedyne go bezpiecznego miejsca na Dicut. Tylko Święta Wyspa Magów i jej mieszkańcy mogli próbować ocalić kontynent przed zagładą...